

TAJNA HISTORIA LUDZKOŚCI 1



KOD HITLERA

IGOR WITKOWSKI

5 kwietnia 1930 roku był w Bawarii pięknym wiosennym dniem. Dr Joseph Brandt szedł tego dnia do pracy na uniwersytecie monachijskim jak każdego zwykłego dnia, choć nie mógł jeszcze wiedzieć, że z perspektywy jego dalszego życia będzie to dzień szczególny, który będzie jeszcze wspominał nieskończoną ilość razy. Nad ranem nie jednak jeszcze tego nie zapowiadało. Był szczupłym blondynem, zamkniętym w sobie. Mógł przypominać studenta jednego ze starszych semestrów.

Szedł do pracy piechotą, mijając zadbane skwery, ludzi uśmiechniętych śpieszących w różne strony w sobie tylko znanych celach. Wiosenna atmosfera nastrojała trzydziestoletniego Brandta do refleksji i wywoływała nieco sprzeczne uczucia. Miło było patrzeć na naturę ponownie budzącą się do życia, pierwsze kwiaty na uniwersyteckim rabacie i rozmyślać nad pięknem tego świata. Zawsze pierwszy ciepły, słoneczny dzień nastroja optymistycznie. W sercu młodego, początkującego jeszcze naukowca było jednak sporo ukrytego zgorzknienia, teraz myśli te tłumił w sobie, przynajmniej do czasu. Chciał poddać się wiosennemu optymizmowi i zaczął zastanawiać się nad tymi nielicznymi rzeczami, które zdążył w swoim życiu osiągnąć, nad tymi ambicjami, które udało mu się zaspokoić. No cóż, bądź co bądź zdążył niedawno dorobić się stopnia doktorskiego, czerpał z pracy ogromną satysfakcję, jego prace naukowe na temat sanskrytu (starożytnego języka Tybetu i Azji Środkowej) oraz prehistorii Azji były, jak sądził, mimo wszystko doceniane przez kolegów na uniwersytecie. Wewnętrznie był przekonany, że pomimo młodego wicku nie jest najgorszy w swojej wąskiej specjalności i mógłby konkurować z wieloma uznanymi niemieckimi autorytetami.

Refleksje te nicuchronnie przywołały jednak także zgorzknienie, któremu tak bardzo chciał odmówić głosu. Był niezły – ale co z tego? Dziedzina, której chciał oddać zawodowe, a z pewnością częściowo i prywatne życie nie dawała świetlanej przyszłości. Miał wiele szczęścia, że w ogóle udało mu się zahaczyć na uniwersytecie, ale zarabiał bardzo mało. Mniej niż motorniczy tramwaju, na przejazd którym nie było go stać kilka razy dziennie.

ISBN: 83-88259-27-X

© Copyright by Igor Witkowski 2006

Wydawca:

WiS-2,

ul. Grzymaliów 9B/5

03-141 Warszawa

tel. (022) 436-50-41

<http://www.igorwitkowski.com>

Skład i lamowanie:


MILIMETERS
STUDIO
<http://www.B&Mstudio.com>

akt. 26/2006r.

Mieszkał w ciemnej suterenie i perspektywa radykalnej zmiany na lepsze coraz bardziej stawała się iluzją. Możliwości awansu już w zasadzie nie było. Nie widział siebie w roli profesora a znalezienie pracy, jako orientalista, poza własną placówką naukową nie wydawało mu się możliwe. Brandt coraz częściej widział siebie jak zdziera jedną parę butów po drugiej w swych wędrowniach do pracy, aż w końcu doczeka się skromnej emerytury. To – sądził – będzie jedyna zmiana w życiu, jaka go jeszcze czeka... Może gdyby miał szerokie kontakty w sferach naukowych, protekcje, pochodziłby z dobrze ustosunkowanej rodziny... Tego wszystkiego jednak nie było. Przy braku poparcia nie mógł też liczyć na jakiekolwiek poważniejsze prace badawcze, dzięki którym mógłby kiedyś zabłysnąć. Najbardziej frustrujące było to, że z konieczności musiał opierać się na pracach innych, a w każdym razie na tych, które znajdowały się w wydziałowej bibliotece. Nic zaskarbiał sobie tym uznania innych naukowców. Zła sytuacja finansowa komplikowała też plany osobiste.

Tego pięknego dnia postanowił zaproponować dziekanowi napisanie pracy naukowej na temat związków językowych pomiędzy sanskrytem a językami germańskimi, w której zostałyby one potraktowane łącznie z analizą skomplikowanej symboliki tybetańskiej i indyjskiej. Było to jedno z fascynujących go zagadnień, na analizę którego mógł sobie pozwolić przy dostępnych skromnych środkach, jednak dziekanowi najwyraźniej pomysł nie przypadł do gustu. Stwierdził, że propozycję da do zaopiniowania, ale już na pierwszy rzut oka widać było, że jest to tylko wymówka. Brandt starał się nie tracić pewności siebie i nie ulegać czarnym wizjom, z pełną energią zabrał się więc do studiowania literatury w bibliotece. W grubym zeszycie robił mnóstwo notatek, rysował coś na kształt schematów organizacyjnych dotyczących związków pomiędzy różnymi symbolami. Nie dopuszczał do siebie myśli, że już od dłuższego czasu praca, jaką musi wykonywać, jest w gruncie rzeczy nieco jałowa.

Nie była jednak aż tak jałowa jak mu się chwilami wydawało. Cały czas jego zasób wiedzy mimo wszystko powiększał się. Właśnie w chwilach przynębienia starał się bowiem dawać z siebie jak najwięcej.

Tak zaczynał się kolejny dzień pracy, który jednak wcale nie miał być dniem rutynowym.

Koło południa ciężkie drzwi biblioteki otworzyły się, stanęła w nich sekretarka dziekana. Rozejrzała się i wskazała na młodego Josepha. O, tu jest, jak zwykle – dodała ironiczną uwagę. Za nią ukazał się nieznajomy, na pierwszy rzut oka nie wyglądał wcale na naukowca, raczej na bankiera lub przemysłowca. Sekretarka wyszła a on został sam w drzwiach. Zamknął je

za sobą i wolnym, dostojnym krokiem ruszył w stronę nieco zdumionego Brandta otoczonego księgami. Gość nie pasował do uniwersyteckiej rzeczywistości w latach kryzysu. Połyskujący złoty sygnet, na dłoni zaciśniętej na gałce „arystokratycznej“ laski z kości słoniowej, nieco rzucał się w oczy. Podobnie jak błyszczące, jasnobrązowe buty i cała reszta ubioru tajemniczego przybysza. Po paru krokach podniósł on wzrok i spojrzenia obu panów spotkały się. Obaj próbowali przeniknąć się wzrokiem. Joseph, po dłuższej chwili nie dostrzegł jednak na twarzy nieznajomego pewności siebie czy napuszenia charakterystycznego dla członków kadry kierowniczej. Lawina myśli i skojarzeń, jakie przeszły przez jego głowę, nie dawała żadnego jednoznaczego obrazu. Człowiek, który powoli stawiał kroki na skrzypiącej, drewnianej podłodze, mógłby być w zasadzie każdym. Dystygowany wygląd i ruchy mogły być równie dobrze pozorem. Jego twarz miała jakiś nieodgadniony, niepowtarzalny wyraz, ale w żaden sposób nie pasowała do skojarzeń Josepha Brandta. Gdy gość podnosił rękę aby zdjąć kapelusz, naukowca ogarnęło odczucie, że jeszcze nigdy nie miał do czynienia z kimś tej kategorii. Był tym zbity z tropu i zaintrygowany.

Przybysz podał rękę i przedstawił się jako Georg Winter, prezes jakiejś fundacji zajmującej się badaniami nad Orientem. Nazwa fundacji, nawiązująca do jakiegoś „dziedzictwa“, nic Josephowi nie mówiła, mimo to zgodził się na rozmowę i zaproponował aby przeszli do pokoju znajdującego się na tyłach czytelnia, potocznie zwanego czytelnią profesorską – pokój był akurat wolny.

– Wiemy, że pracuje pan nad symboliką kultur Azji Środkowej, szkoda, że nie rozwinął pan śmiałej myśli o obecności symboliki sanskryckiej w dorobku innych starożytnych cywilizacji – Winter rozpoczął rzucając dosyć enigmatyczną uwagę.

Zwrot „wiemy“ wywołał dziwne skojarzenia – kto tak interesuje się działalnością nikomu nieznanego, podrzędnego doktora i zadał sobie trud zorientowania się w pracach, których żadne z kilku specjalistycznych czasopism naukowych nie chciało opublikować? Charakter pytania – ze zwrotem „wiemy“ był na pierwszy rzut oka typowo policyjny, choć z drugiej strony policyjnie nie mogły przecież interesować takie sprawy. Treść pytania wskazywała też, że Winter – jeśli był tym za kogo się podawał – jest na swój sposób znawcą tematu i to ten temat go właśnie interesuje.

– Tak, to dosyć obszerne zagadnienie, które możnaby rozwinąć, gdyby było nim większe zainteresowanie ze strony establishmentu naukowego, zagadnienie jest kopalnią niezwykłych informacji. A przepraszam, czy jest pan orientalistą? – odparł naukowiec.

- Na swój sposób.
- Taak... Nad wspomnianym przez pana zagadnieniem rzeczywiście pracowałem w pewnym okresie, ale niestety zmuszony byłem zająć się czym innym...
- odparł Brandt.
- A szkoda, bo jest to klucz do zrozumienia naszej historii a nawet współczesności, nie jestem przekonany czy wie pan, jak ważny klucz.
- No cóż, to zależy od tego co ma pan na myśli. Na pewno istnieją pewne związki naszej historii z historią Azji...
- Mam na myśli to, że istnieją przekazy nieznane wam, naukowcom, które zawierają informacje o niezwykłym znaczeniu dla nas wszystkich, o niezwykłym znaczeniu nawet dla zrozumienia naszej przyszłości. Sprawy najwyższej wagi...
- Czy mógłby być pan choć trochę bardziej precyzyjny?
- Mógłbym, ale nie chcę, gdyż mówiąc o tym byłbym gołosłowny. Musiałbym po prostu pokazać panu, panie Brandt, pewne rzeczy. Sprawa jest też zbyt skomplikowana, aby powiedzieć o niej tak tutaj, w bibliotece. Jeśli jednak miałoby do tego dojść, chciałbym być pewien pańskich kwalifikacji. Czy mógłby pan przygotować dla nas pewną analizę, powiedzmy na temat porównania najstarszych tybetańskich systemów zapisu. Zapłacimy panu godziwie za tą niezwykłą usługę. Spróbujmy na tym skromnym przykładzie...
- Winter otworzył skórzaną teczkę, z której wyjął duże odbitki fotograficzne.
- Jak pan widzi – kontynuował – mamy tu reprodukcje jednego z najstarszych systemów zapisu. Chciałbym, aby pan to przetłumaczył. Daję panu na to miesiąc i proponuję pięć tysięcy dolarów amerykańskich w charakterze wynagrodzenia. Proponuję umówić się na następne spotkanie u mnie, 7 maja o godzinie 18. Proszę, oto mój adres: Widenmayerstrasse 35 – Winter dołączył do odbitek swą wizytówkę.
- Co to jest, skąd pan to ma!? – Brandt nie mógł wyjść z osłupienia. Hieroglify widniejące na odbitkach były do tej pory tylko tematem plotek w środowisku orientalistów. Żadne czasopismo naukowe nie opublikowało jeszcze nic na ten temat. Brandt dostrzegał wprawdzie pewne analogie, ale nie ukrywał, że reprodukcje liści palmowych pokrytych dziwnymi znakami są prawdziwym wyzwaniem, trudnym wyzwaniem.
- To zaledwie próbka, w istocie niezbyt istotna. Jak powiedziałem, chciałbym jedynie wiedzieć z kim mam do czynienia. Oczywiście wierzę, że podejmie się pan tego zadania i podała mu. Dlatego też pozwalam sobie zostawić zaliczkę w wysokości jednej piątej wspomnianej kwoty. Zgoda?
- Oczywiście... – odparł Brandt z wahaniem w głosie.

A zatem do widzenia, uprzedzam jednak, że wymagamy absolutnej dyskrecji, proszę nikomu tego nie pokazywać...

Młody naukowiec aż zaniemówił z wrażenia.

Tajemniczy jegomość oddalił się równie niepostrzeżenie, jak pojawił się w bibliotece. Nie pozostało więc nic innego jak z miejsca zabrać się do pracy. Brandt z początku nie wiedział nawet od czego zacząć. Musiał odczytać niemiłe pismo! Po paru wieczorach doszedł jednak do wniosku, że pismo zawiera w większości znaki bardzo przypominające znaki sanskryckie oraz umiowane w tajemniczych do niedawna zapisach świątynnych, będących pozostałością po zapomnianej już religii Bon. To był już jakiś klucz, od którego można było zacząć. Liczył na to, że pozostałe znaki da się jakoś uzupełnić przez analogie z innymi językami.

No cóż, – pomyślał – będzie musiał teraz spędzać znacznie więcej czasu w bibliotece... Po dwóch tygodniach ciężkiej pracy po nocach pierwsze fragmenty tekstu zaczynały układać się w jakąś sensowną całość. Nie miał więc do czynienia z fałszerstwem, jak podejrzewał na początku. O dziwo, tekst nie miał jednak charakteru przekazu religijnego, a tak zdarzało się bardzo rzadko. Mowa w nim była o jakiejś podziemnej świątyni, w której coś ukryto. Co jednak – tego Brandt w żaden sposób nie mógł odczytać. Słowa spisuujące to niczego nie przypominały, pochodziły jakby z zupełnie innego języka. Brandt nie tylko nie widział żadnej możliwości znalezienia klucza do tego swoistego szyfru, ale nie miał nawet pojęcia gdzie go szukać, zwłaszcza że reprodukcje tajemniczych manuskryptów miał zachować tylko dla siebie.

Po pewnym czasie przyjął, z braku innych pomysłów, hipotezę roboczą że odczytane zapisy nie świadczą o przemieszaniu dwóch zupełnie różnych języków, z różnych epok, lecz że jest to jakiś rodzaj szyfru. No tak, ale jakiego zastanawiał się – skoro i tak znaki nie są do niczego podobne?

Najdziwniejsze wydawało się to, że są to skomplikowane wężyki, jakby kropki, zawijasy, przecinające się nieregularne linie itp. A może – przeszło mu przez myśl – to w ogóle nie są hieroglify, lecz fragmenty jakiegoś obrazka, może fragmenty mapy albo planu? Przerysował dokładnie tą część inskrypcji na kalkę, powycinał i próbował do siebie dopasować. Rzeczywiście całkiem zaczynała do siebie pasować. Powstawały ciągłe linie, cała płatanina, ale – jakby z dziurami, jakby pewnych fragmentów tej swoistej prehistorycznej układanki w ogóle nie było. Brandt nie zdawał sobie jeszcze sprawy jak blisko jest rozwiązania, jednak gdy już w końcu je dostrzegł, nie mógł się nadziwić, że nie zobaczył tego od razu. Brakujące fragmenty dziwnego ryzyku same w sobie były literami. Czytane od góry do dołu dawały jeden tylko wyraz: nazwę. Nie wprawdzie Brandtowi nie mówiła, niemniej brzmiała

gramatycznie, być może była to nazwa jakiegoś miejsca – miejscowości albo góry.

Zadowolenie, na dwa dni przed planowanym terminem, przyjął jednak z pewnym przerażeniem. Jeśli tak wyglądała „szkolna klasówka“, to co czeka go dalej? Na szczęście dla niego, miało się okazać, że „fundacja“ zainteresowała się obiecującym naukowcem z nieco innego powodu i przewidziała dla niego znacznie ciekawsze niż próby deszyfracji, choć jednak niebezpieczne zadania.

W umówionym dniu Brandt udał się na spotkanie z kompletem materiałów.

Willa Wintera znajdowała się na sporej posiadłości, nie rzucającej się w oczy od ulicy. Był to solidny kamienny dom porośnięty dziką winoroślą, nieco maskującą stylowe detale wieńczące poręcze schodów i krużganek. Nie była to właściwie typowa willa, raczej część kompleksu zabudowań ciągnącego się gdzieś dalej.

Zanim naukowiec zapukał, drzwi otworzyły się; otworzył je starszy lokaj, który wypowiedział rutynową formułę powitalną.

– Wierzyłem w pana! – odezwał się na powitanie sam Winter. Proszę, przejdźmy do gabinetu. Służący zrobi kawę i herbatę. Pana wzrok mówi mi, że poradził pan sobie z wyzwaniem...

– Chyba tak – niepewnie odparł przybysz – ale muszę przyznać, że nigdy wcześniej nie spotkałem się z czymś podobnym.

– Tak sądziłem, ale to właśnie zdolność do stawienia czoła zupełnie nowemu wyzwaniu świadczy najlepiej o pana predyspozycjach. Proszę pokazać – rzekł z wyraźnym podekscytowaniem.

Na hebanowym stoliku wylądowały odbitki wraz z arkuszami kalki i tłumaczeniem. Brandt zaczął żmudnie wyjaśniać wszelkie zawłości postawionego przed nim zadania. Ku swemu zaskoczeniu zorientował się w pewnym momencie, że odczytanie „szyfru“ stanowi dla gospodarza niemałe zaskoczenie, choć sam nic chciał tego powiedzieć. W międzyczasie Brandt odwrócił się i spostrzegł, że sporą część jednej ze ścian zajmuje jakiś fragment tybetańskiego ołtarza ozdobiony wielkim symbolem oryginalnej, buddyjskiej swastyki. Po zakończeniu rozmowy na temat tekstu i zawartego w nim szyfru gość zapytał o to.

Czy miał pan na myśli swastykę, mówiąc o związkach tej części świata z nami?

– O, nie, swastyka została tylko przez nas zapożyczona. Spotyka się ją na najstarszej ceramice ludów germańskich, tak jak w Tybecie, nawet na grotach włóczni, ale byłbym banalny gdybym miał właśnie to na myśli. Chodzi o sprawy o wiele poważniejsze. Pozwoli pan, że panu coś pokażę.

Winter zdjął z regału album ze zdjęciami. Ukazywały one jakby groteskową, gdzieś w Himalajach oraz mnichów przekładających zwoje w niej ukryte. Widać było opartą o ścianę jakąś niezwykle regularnie obrobioną płytę kamienną, jakby przykrycie jakiegoś włazu, przez który zwoje wyjęto z pomieszczenia leżącego głębiej. Kolejne zdjęcia ukazywały z kolei nie mniej niezwykle kamień z wyrytymi na nim symbolami. Kamień był ciemny, w kształcie jakby trójkąta o precyzyjnie zaokrąglonych krawędziach. Trzymany był w dłoni i na podstawie tego można było oszacować, że każdy z boków ma ok. 20 cm długości. Na kamieniu widniały identyczne symbole jak w pozostałkowo nieodeczytanych fragmentach manuskryptu. Podobne z wyglądu, ale jednak nieco inne.

Co to jest? – zapytał zaskoczony Brandt.

– Tego nie mogę jeszcze panu powiedzieć. Jeśli jednak przeszedł pan pozytywnie pierwszą część testu, jest pan na najlepszej drodze do poznania prawdy. Czy gotów jest pan poddać się kolejnej próbie, kolejnej i ostatniej? Muszę jednak pana uprzedzić, że jeśli raz przekroczy pan pierścień tajemnicy, nie będzie już od tego odwrotu i pod groźbą śmierci nie będzie panu wolno się z tego wycofać. Proszę mi uwierzyć, że zasada ta będzie służyła przede wszystkim bezpieczeństwu pana osoby. Ujawniając tajemnicę ściągnąłby pan na siebie gniew wrogów Niemiec. Oferuję panu dostęp do niezwyklej wiedzy, która jest w posiadaniu elitarnego, tajnego stowarzyszenia. Nie oczekuję natychmiastowej odpowiedzi. Jeśli zdecyduje się pan, to proszę do mnie zadzwonić.

Brandt przez chwilę się zastanawiał co powiedzieć, jednak szybko zdał sobie sprawę, że nie będzie w stanie oprzeć się takiej pokusie, choćby osobą z którą rozmawiał był prawdziwy Lucyfer – i że ukrywanie tego faktu nie ma sensu.

Zgadza się – odparł.

– W takim razie to ja skontaktuję się z panem.

Na tym spotkanie się zakończyło, młody naukowiec był bogatszy o równowartość kilku rocznych pensji i mnóstwo wrażeń. Teraz myślał przede wszystkim o odpoczynku.

Winter skontaktował się z nim już po dwóch tygodniach. Nie osobiście, przysłał napisane ręcznie zaproszenie, na papierze czerpanym, w którym widniała data: 26 maja. Brandt miał stawić się w miejscu tym samym co poprzednio, o godzinie 20.

W jego umyśle kołatały się teraz, gdy kości już zostały rzucone, słowa jakie ujął – o niebezpieczeństwie. Jako człowiek przyzwyczajony do monotonicznego, ustabilizowanego życia, zaczął się bać. Próbował wyobrazić sobie

wszystkie warianty możliwych zagrożeń, choć tak naprawdę nie miał pojęcia co kryło się za tymi słowami. Pomimo tego ani przez chwilę nie pomyślał poważnie o ewentualnym wycofaniu się ze „współpracy”. Winter dobrze go najwyraźniej znał i miał predyspozycje psychologiczne, wiedział że nie będzie w stanie odrzucić takiej pokusy. Na pewno zdawał sobie sprawę ze znaczenia „czynnika materialnego” przy podejmowaniu decyzji, być może wyczuwał też, że nawet bez względu na pieniądze naukowiec propozycji nie odrzuci. Najslabszą jego stroną w tym wypadku była niezaspokojona ambicja zawodowa, a w tej konkretnej dziedzinie również osobista. Tak, niby nikt go nie zmuszał do wykonywania określonych ruchów, ale czuł coraz bardziej – i bał się tego – że jest usidlonny na dobre. Praca na uniwersytecie szła mu zresztą coraz gorzej, jakoś nie mógł się skupić na rzeczach, które nagle wydały mu się banalne...

Czekał, i czekanie to wypełniało jego myśli bez reszty.

Nie wtedy jego patrzenie na otaczającą rzeczywistość ulegało największym zmianom gdy rozmawiał z tajemniczym człowiekiem, ale teraz – gdy pozostawiony był samemu sobie, dopiero teraz jego wyobraźnia zaczynała się przestawiać na zupełnie nowe tory. Czekanie było być może najważniejszym elementem gry, jakiej stał się obiektem. Przygotowywał się na nadchodzącą zmianę.

W końcu nadszedł 26 maja i Brandt znów znalazł się na kamiennych schodach prowadzących do domu obrośniętego dziką winoroślą. Tym razem zapukał. Otworzył już nie lokaj, lecz sam Winter, ubrany w czarny frak. Przywitał nowicjusza z wyraźną satysfakcją, może z zadowoleniem.

– Proszę za mną, wszyscy już czekają – gestem pokazał kierunek.

Brandt podążył za swym opiekunem. Minęli salon zastawiony starymi regałami z książkami, trofeami myśliwskimi i pamiątkami z egzotycznych, dalekich podróży. Przeszli do drugiego przedpokoju, roztaczającego widok na resztę posiadłości. Przed oczami ukazał się duży plac porośnięty dębami osłaniającymi z obu stron szeroką aleję. Z boku, w cieniu dębów stała mała budowla przypominająca kaplicę czy grobowiec. Oni jednak skierowali się „aleją dębów” w stronę widocznego dalej małego pałacyku, zbudowanego w podobnym neogotyckim stylu jak sama willa widoczna z ulicy. Pałacyk widoczny był tylko częściowo. Dopiero gdy obaj pokonali niewielkie wzniesienie ukazał się w całej okazałości. Była to trzykondygnacyjna, całkiem spora budowla wykonana w całości z ciemnobrazowego kamienia, ze spadzistym czarnym dachem nad którym górowała okrągła wieża z czymś z daleka przypominającym jakiś gabinet na górze. Obiekt nie był formalną siedzibą stowarzyszenia, ale jako że znajdował się na uboczu i nie był zbyt znany, tu właśnie odbywa-

ły się najważniejsze i najtajniejsze narady w zamkniętym gronie. Tu trzymało też bezcenne archiwum, tu znajdowała się tajna biblioteka. Przez cały czas spaceru byli sami, również gdy otwierali drzwi pałacyku nie było widać nikogo innego. Po zamknięciu drzwi okazało się, że jednak nie są sami. Z daleka docierał przytłumiony głos rozmów.

Podążyli tym śladem, przeszli przez duży salon jadalny, czy może salę narad, i doszli do drzwi na drugim końcu pałacu. Były otwarte. Za nimi znajdowały się wąskie schody kręcone, prowadzące całkiem głęboko – jak Brandt skonstatował – niżej niż w przypadku normalnej piwnicy. Zeszli po nich. To co Brandt zobaczył, przypominało raczej lochy niż piwnicę. Korytarz zwieńczony kamiennymi sklepieniami. Brak oświetlenia elektrycznego sprawiał wrażenie jakby obaj przenieśli się w czasie gdzieś może do Średniowiecza. Musieli przejść tym korytarzem aby, mijając coś przypominającego archiwum, dotrzeć do okrągłej sali na końcu. Wokół ustawionego na środku okrągłego stołu znajdowało się osiem foteli, na których siedziały dziwne postacie, teraz w milczeniu wpatrujące się w przybysza. Osoba siedząca po przeciwnej stronie stołu odsunęła fotel i wstała. W tym momencie Brandt poznał przedsmak atmosfery, jaka wypełniała to miejsce. Dźwięk odsuwanej fotela rezonował w okrągłej przestrzeni jak w jakimś grobowcu, za ścianami którego jest pustka. Kopuła zwieńczająca salę była najwyraźniej tak zaprojektowana aby wzmocniać i zniekształcać wszelkie dźwięki i nadawać im w ten sposób hipnotyczne niemal brzmienie. Brandt nie wiedział jeszcze jak trafne jest to ostatnie spostrzeżenie. U podstawy kopuły zamocowane były lampki oliwne z lustrami z brązu, będące teraz jedynym źródłem światła. Ogniki były przez lustra zniekształcone a ich światło koncentrowało się na stole, dając dziwną grę cieni.

Winter ze swym gościem stanął przy progu i przedstawił go zebranim.

– Proszę wybaczyć, że nie przedstawię panu wszystkich członków naszego zgromadzenia – zwrócił się do Brandta – na razie nie jest to jeszcze możliwe. Mogę jedynie powiedzieć, że osoba przewodnicząca zebraniu to dr Karl Maria Weisthor, natomiast pełną uroku młodą osobą siedzącą po jego lewej stronie jest nasza przewodniczka duchowa, jeśli mogę użyć takiego określenia, panna Gudrun Gaevert. Proszę zajmijmy miejsca. Podobnie jak pan, wszyscy jesteśmy członkami SS... Dlatego też nie wprowadzałem pana w szczegóły dotyczące działalności naszego towarzystwa, gdyż mogłem uznać niemal za pewnik, że nie będzie to kolidowało z pana światopoglądem. Mogę również zapewnić, że nie przeszkodzi panu w pracy...

Brandt był tak zaskoczony niecodziennym charakterem sytuacji, w jakiej się znalazł, że zupełnie nie mógł zebrać myśli. Pytania, jakie kołatały się w jego głowie jeszcze podczas spaceru „dębową aleją”, teraz jakoś się rozproszyły.

W ogóle nie wiedział co ma powiedzieć. Winter kontynuował...

– Czy słyszał pan kiedykolwiek o Towarzystwie Thule? – zwrócił się do gościa.

– Tak, czytałem coś kiedyś w gazetach, ale muszę przyznać że moja wiedza jest bardzo skromna.

– Jesteśmy, jeśli można to tak ująć, awangardą ruchu narodowosocjalistycznego. Jeśli by przyjąć że formacją elitarną stojącą za naszym Führerem jest SS, to my jesteśmy tajną elitą stojącą nad SS. Nie będę wymieniał prominentnych członków ruchu spośród jego przywództwa, gdyż jak każda grupa prawdziwie elitarna, mamy charakter zamknięty przed wzrokiem ogółu. Zapewniam jednak pana, że nie uzurpujemy sobie pojęcia „elitarny“ bezpodstawnie. Istota naszego istnienia wynika z faktu, że „ruch“ tylko na użytek szerokiej publiczności ma charakter wyłącznie polityczny. W rzeczywistości jest to tylko część prawdy. Siła nasza wynika bowiem z otchłani przeznaczenia sięgającej najgłębszych mroków prehistorii. Mamy tu do spełnienia pewną misję ideową. Jak pan chyba rozumie, wiedza o tym musi pozostać ukryta przed zwykłymi ludźmi.

Do rozmowy, czy przemowy, przyłączył się siedzący po drugiej stronie stołu „major SS“ Weisthor, odziany w czarny płaszcz z kapturem, upodabiający go raczej do średniowiecznego mistrza ceremonii czy jakiegoś Wielkiego Maga, jego twarz ozdobiona zmierzwioną brodą doskonale do tego skojarzenia pasowała. Brandt jeszcze nie wiedział, że za kilka lat osobnik ten awansuje do roli „Wielkiego Kapłana“ brązowego zakonu – SS.

– Zaprosiliśmy pana do naszego wąskiego grona ze względu na rekomendację Hauptsturmführera Wintera, który od lat typował pana do inicjacji – wzrok Weisthora na chwilę zatrzymał się na twarzy Brandta. Odczytanie przez pana szyfru Kalias dowodzi, że i tym razem intuicja naszego drogiego Georga okazała się nieomylna i niezastąpiona. Mam nadzieję, że i w toku dalszej służby naszej sprawie dowiedzie pan, że jest godzien pokładanego w nim zaufania.

– „Sprawie“... chciałbym wiedzieć jednak, czego się konkretnie ode mnie oczekuje.

– Do tego przejdziemy we właściwym momencie, na razie to my chcielibyśmy uzyskać od pana pewne informacje. Musimy wiedzieć, czy na pewno jest pan osobą powołaną do wypełnienia pewnego zadania... Gudrun, czy mogłabyś porozmawiać z panem...

Zapadła grobowa cisza. Siedząca obok Weisthora młoda, delikatnie uśmiechająca się dziewczyna o niebieskich oczach na pierwszy rzut oka nie pasowała do tego towarzystwa. Po chwili miało się jednak okazać, że jest jedną z najważniejszych osób w tym mrocznym zgromadzeniu.

Jasnowłosa Gudrun oparła łokcie na stole i skryła twarz w dłoniach. Poprosiła zebranych o ciszę i skupienie się „w tym wyjątkowym momencie“. Wszyscy jakoś w istocie, jednocześnie pogrążyli się w niezwykłym nastroju, jakby w transie. Ich oczy zdawały się być skupione na nieskończoności. Siła wzroku i Brandt uległ, z dziwną łatwością, tej sugestii.

Po jakichś dwóch minutach Gudrun opuściła dłonie i zaczęła mrugać, marnie coś pod nosem – bez żadnego łatwo czytelnego wyrazu, wpatrywać się w nowicjusza. W pierwszym momencie próbował on odgadnąć coś, co mogłoby być jakby sensem i treścią tego spojrzenia. Jakie uczucia ono wyraża, zainteresowanie czy może niechęć – rzecz normalna gdy mężczyzna siedzi naprzeciwko kobiety. Nie było jednak żadnej emocji, żadnego zauważalnego przekazu, jedynie siła samego wzroku. Dziewczyna nie mrugała oczami a na jej twarzy nie rysowała się teraz jakakolwiek mimika. Im dłużej Brandt wpatrywał się w tą twarz, tym mniej widział i w niej samej i dookoła.

Gudrun zaczęła wypowiadać oderwane słowa, jakby szukając czegoś po umacku. Miały one charakter niedokończonych pytań, pojedynczych wyrazów. Jej „partner“ nie odczuwał jednak, aby faktycznie były to prośby o odpowiedź, więc nie odpowiadał. Podświadomość podpowiadała mu raczej, że dziewczyna rozmawia sama z sobą i nie interesują jej w ogóle jego słowa. Tak jakby próbowała na oślep naprowadzić swój niezgłębiony umysł. Jej oczy przykuwały do siebie oczy Brandta i im dłużej to trwało, tym bardziej dostrzegał on w nich pełną uwagę, bystrość obserwacji. W istocie Gudrun z niezwykłą wnikliwością obserwowała niedostrzegalne dla postronnych, niemożliwe do zamaskowania drgania twarzy, ruchy powiek. Była tym pochłonięta bez reszty.

Po pewnym czasie – Brandt nie był w stanie stwierdzić czy było to po trzech minutach czy po godzinie – powiedziała tekstem, który on odebrał nieomylnie jako normalny przekaz słowny: „proszę patrzeć na moje ręce“. Jej dłonie rozsunęły się, trzymane były równolegle, mieszcząc wciąż nieruchome oczy dziewczyny między sobą. Chwilami były bliżej siebie, chwilami dalej, czasem zbliżały się nieco do twarzy Brandta, czasem oddalały. W końcu opadły na jego oczy. Palce opadły na czoło, jakby usiłowały je ogarnąć. Były zimne, podobnie jak wzrok błękitnych oczu. Sprawily, że chłopak pogrążył się w medytacji. Chłonał szeptem wypowiedane słowa, ich echo krążące w okrągłej komnacie.

Brandt ocknął się sam w pomieszczeniu. Pozostali znajdowali się w korytarzu obok. Gdy usłyszeli szurnięcie krzesła zawołali go. Okazało się, że nie mieli mu przeszkadzać w chwilach niezwykłej koncentracji i wyszli na lampkę wina. Zalecili mu krótki spacer wokół pałacyku. Brandt zdał sobie sprawę,

że jest środek nocy, jednak nie czuł żadnej senności. Najwyraźniej pozostali członkowie Towarzystwa również. Miał wrażenie jakby przeniósł się w czasie. Spojrzał na zegarek. Spędził przy stole cztery godziny? W pozycji siedzącej? Nie czuł ani zmęczenia brakiem snu ani psychicznego wyczerpania. Co się z nim działo przez cały ten czas? Nie wiedział tego, doszedł do wniosku, że musiał po prostu zasnąć a pozostali nie chcieli mu w tym przeszkadzać i wyszli.

Po spacerze czuł się doskonale. Prawdę mówiąc dawno nie czuł się tak zrelaksowany. Nie czuł żadnego napięcia, żadnych negatywnych emocji. Miał wrażenie jakby miejsce w którym się znalazł stało mu się bliskie, jakby było mu bliskie od zawsze. Nie czuł do niego żadnego dystansu. To dobrze – pomyślał – bał się tremy i tego, że trudno będzie mu się skupić na zasadniczych sprawach z powodu skrepowania. To wszystko minęło. Atmosfera dalszej części spotkania też uległa zmianie i stała się najzupełniej normalna. Ze strony gospodarzy zniknął ceremonialny ton. Rozmowa mężczyzn palących cygara na tarasie niczym nie różniła się od rozmowy osób stojących na przystanku. Po chwili ze strony Wintera padło pytanie: czy możemy kontynuować zebranie? Wszyscy byli zgodni, że tak. Nie było jedynie tajemniczej Gudrun a Brandt nie pytał co się z nią stało. Widocznie nie była już potrzebna...

Znów zasiedli do okrągłego stołu. Z twarzy członków stowarzyszenia emanowało zadowolenie. Na stole leżało coś w rodzaju wielkiego medalionu czy głowicy łaski z wygrawerowanymi symbolami Towarzystwa Thule – mieczem i liśćmi dębu.

– Zdał pan egzamin panie Brandt – powiedział Weisthor z nieukrywaną satysfakcją w głosie – czy zechce pan położyć dłoń na amulecie i złożyć przysięgę na wierność?

Brandt położył dłoń na metalowym przedmiocie i, odrzucając wahanie, przysiągł strzec tajemnicy Towarzystwa oraz służyć mu do końca swego życia...

Weisthor wyszedł z komnaty i po dłuższej chwili wrócił z płaskim, trójkątnym kamieniem, który Brandt widział wcześniej w jego albumie. Na czarno-białej fotografii wyglądał on na czarny, teraz jednak widać było, że w istocie ma odcień ciemno – fioletowy. Nowicjusz nie był wprawdzie geologiem, jednak nigdy wcześniej nie słyszał o podobnym mineralu. Wziął kamień do ręki. Wydawał się on niezwykle ciężki. Miał zaokrąglone krawędzie, jednak był obrobiony niewiarygodnie precyzyjnie, był idealnie symetryczny. Jego środek wypełniała jakby płaskorzeźba przedstawiająca koncentryczne koła, czy raczej kolisty obiekt. W najmniejszym kole widać było jakby zarys sylwetki ludzkiej siedzącej w pozycji kwiatu lotosu. Wokół i na odwrocie wygrawerowane były symbole, które wcale nie przypominały żadnego znanego pisma.

Jako żywo nasuwały skojarzenia z symbolami na arkuszach, których reprodukcje Brandt otrzymał wcześniej. Sprawiało to, że dziwny przedmiot nie przynosił do żadnego znanego nauce wzorca.

Uczestnicy zgromadzenia pozwolili, aby młody naukowiec zaspokoił swoją początkową ciekawość. Ciekawi byli jego opinii. Zapytał on:

– Cóż to jest takiego i skąd pochodzi? Dlaczego, do diabła, przypisujecie temu tak niezwykle znaczenie?

Odpowiedź, jaką usłyszał, wprawiła go w zdumienie.

– Nie będziemy ukrywać, że w istocie nic wiemy czym jest ten przedmiot. Skąd pochodzi i dlaczego uważamy go za ważny? Widzi pan, wiąże się z nim niezwykle historia, która byłaby zupełnie niewiarygodna, gdyby nie osoba właściciela kamienia. Jest nią nasz Führer, Adolf Hitler. Otrzymał kamień gdy przebywał jeszcze w Wiedniu, kilka lat przed Wojną Światową. Pewnego dnia do jego pokoju wszedł tybetański mnich, w każdym razie w czerwonym stroju mnicha i wręczył mu zawiniątko. Stwierdził, że kamień jest wiadomością przeznaczoną dla niego, której dostarczenie było jego zadaniem i w tym właśnie celu przebył długą drogę do Europy. Führer spojrzał na kamień i zapytał w jaki sposób ma odczytać tą wiadomość, gdyż nie zna tybetańskiego. Mnich odparł, że... wiadomość nie jest zapisana na kamieniu, lecz w nim i nie da się odczytać w normalny sposób. Dowie się o niej w odpowiednich okolicznościach gdyż potrzebna jest do tego odpowiednia osoba. Wiadomość ma być wskazówką...

– Tylko tyle? – zapytał Brandt.

– Zapewniam pana, że też chcielibyśmy wiedzieć więcej i dlatego właśnie zwróciliśmy się do pana. Oczywiście przedtem musieliśmy pana w sprawę wciągnąć, a nie mogliśmy tego zrobić bez złożenia przez pana przysięgi o dochowaniu tajemnicy.

Brandt nie był wcale pewien czy on jest tą właściwą osobą. Przecież jeśli nie chodzi o proste odczytanie wygrawerowanego przekazu napisanego sankrytem to, jak sądził, jego wiedza może okazać się niezbyt przydatna. Powiedział jednak:

– Mogę spróbować rozszyfrować zapisany tymi symbolami przekaz, trudno przecież przyjąć, że nie ma on żadnego znaczenia ani żadnej treści. Może mnich chciał powiedzieć, że nie jest to najważniejsza wiadomość zawarta w tym przedmiocie, jednak jeśli już jest, to wydaje mi się, że powinniśmy spróbować. Oczywiście może się to nie powieść, ale spróbujmy...

– Ile czasu może to zająć? Zdaje pan sobie chyba sprawę, że nie możemy panu dać kamienia... – z obawą w głosie zapytał Winter.

– Jeśli mógłbym zastosować metodę sprawdzoną już w przypadku poprzedniego szyfru, to mógłbym spróbować nawet teraz, tutaj. Potrzebowałbym jedynie zaostrzony ołówek i dobrą kalkę techniczną.

– Panie Winter, czy znalazłby pan kalkę? – odezwał się Weisthor.

– Nic wykonuję wprawdzie rysunków technicznych, ale wydaje mi się, że pewne manuskrypty w naszym archiwum przełożone są arkuszami kalki, lub w każdym razie czegoś bardzo podobnego. Myślę, że nie stanie im się wielka szkoda, jeśli przez jeden dzień zabraknie paru arkuszy...

– Proszę w takim razie przynieść, spróbujemy... – odparł Weisthor.

Winter zniknął na kilka minut. Brandt po raz pierwszy oderwał wzrok od kamiennego trójkąta i spojrzał na pozostałych. Wszystkie oczy, mimo bardzo późnej pory, wpatrzone były właśnie w niego. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jakiej sensacji stał się sprawcą. Wciąż bał się, że zaufanie i nadzieja, jakimi go obdarzono okazały się nieco przedwcześnie...

Po chwili na stole pojawiły się arkusze kalki i nożyczki a naukowiec zabrał się do dzieła. Przerysował bardzo starannie wszystkie symbole, po czym podcinał fragmenty kalki, starając się różne linie do siebie dopasować. Tak jak w przypadku „Szyfru Kalias“ pasowały one do siebie, czekała go jednak spora niespodzianka. Tym razem bowiem zawiły rysunek, jakie tworzyły, nie miał luk, które po uzupełnieniu mogłyby tworzyć jakies znaki. Przed oczami zgromadzonych pojawił się „pełny“, choć z lingwistycznego punktu widzenia pozbawiony jakiegokolwiek treści nieregularny rysunek. Tworzyło go tylko kilka linii. Przecinały się one w wielu miejscach, jednak wszystkie zbiegały się w środku. No cóż, mimo wszystko uzyskaliśmy jakiś wynik – powiedział raczej do siebie niż do pozostałych. Dziwny rysunek oglądany był przez wszystkich z różnych stron, łamany, oglądany z pomocą lustra. Bez rezultatu. Nic nikomu nie mówił.

Brandtowi przypomniła się pewna myśl, która naszła go już podczas prób rozszyfrowania poprzedniego przekazu, ale wtedy okazała się błędna.

– A może jest to rodzaj planu lub mapy? – powiedział.

– Być może, lecz obawiam się, że zweryfikowanie takiej hipotezy nie będzie wcale proste. Do czego można dopasować kilka zwykłych linii? – nie bez racji odparł Winter.

– Obawiam się panowie, że nie zdołamy tego teraz wyjaśnić. Proponuję przerwać nasze spotkanie i kontynuować je za tydzień. Niech każdy z nas do tego czasu postara się znaleźć jakiś materiał porównawczy, na przykład mapy obszaru, z którego Kamień może pochodzić – rzucił Brandt.

Tak też się stało. Wszyscy byli już zbyt zmęczeni i potrzebowali przerwy na uporządkowanie myśli. Następną zebranie miało odbyć się w tej samej sali.

Brandt wracał nad ranem do domu nieco szokowany, niezbyt jednak zmęczony – co go mocno dziwiło, widocznie medytacja zainicjowana przez tajemniczą niebieskooką Gudrun, czy raczej wywołany przez nią trans, wywołał taki efekt. Przez cały następny tydzień, oczekując na kolejną „sesję“, nieustannie zastanawiał się kim są ci dziwni ludzie, do czego zmierzają i kto za nimi stoi – choć jego pytania były nieco spóźnione. Czy tylko Hitler, a może w rzeczywistości ktoś zupełnie inny? Wszyscy byli członkami SS. czyżby ta organizacja miała dwa, zupełnie różne wydawałoby się oblicza? Towarzystwo Thule znał dotąd tylko jako radykalną organizację polityczną, być może nawet bardziej radykalną niż SS. Większość mieszkańców Monachium słyszała o jej dokonaniach w okresie tłumienia rewolucji komunistycznej w Bawarii, bezpośrednio po Wojnie Światowej. Członkowie Thule stanowili awangardę ruchu nacjonalistycznego i znana stała się pokazowa egzekucja jej członków przez komunistów na dziedzińcu Luitpold Gymnasium, co uczyniło z nich pierwszych, legendarnych później „męczenników“ rodzącego się narodowego socjalizmu.

Skąd jednak – zastanawiał się – ten wątek mistyczny? Jaki to miało cel, czy może raczej: gdzie miało swe korzenie? Na te pytania Brandt jeszcze nie mógł znaleźć odpowiedzi...

A może to nie aspekt polityczny był najważniejszy, lecz służył jedynie dojściu do jakiejś prawdy ukrytej gdzieś w Azji. Może rodzi się zupełnie nowy nurt wiedzy – myślał, starając się mimo woli widzieć siebie w centrum jakiegoś ważnych wydarzeń, w korzystnym dla siebie świetle. Wciąż bowiem był pod wielkim wrażeniem tego wszystkiego co zobaczył i usłyszał. Na razie przeczuwał jedynie, że znalazł się na tropie czegoś niezwykle ważnego, i że to być może właśnie on dokona jakiegoś odkrycia. Miał wrażenie, że klucz – w postaci ciężkiego, trójkątnego kamienia, już jest. Nie wiadomo jedynie gdzie szukać zamka, który miałby on otworzyć.

I cała ta tajemnica... Co się za nią kryje? Póki co był nawet z takiego obrotu spraw zadowolony. Utrzymanie jego członkostwa w tajemnicy oznaczało, że władze uniwersytetu nie dowiedzą się o jego mistycznych sesjach. Nie ryzykował więc, podczas gdy z drugiej strony jego nowi znajomi najwyraźniej wierzyli w jego talent bardziej niż on sam i byli gotowi płacić całkiem przyzwoite sumy za jego usługi.

Tak był pogrążony w tych rozmyśleniach, że prawie zapomniał o zadaniu, jakie otrzymali wszyscy członkowie „łóży“, związanym z próbą rozwikłania ewentualnego przesłania zawartego w przecinających się liniach, powstałych po połączeniu ze sobą znaków z kamienia. W tej kwestii nie przychodziło mu już nic ciekawego do głowy. Weisthor i Winter i tak wydawali się

usatysfakcjonowani wkładem pracy Brandta, więc postanowił, że teraz należy im dać szansę wykazania się...

Wrócił do swej zwykłej pracy akademickiej, choć oddawał się jej z coraz większą niechęcią. „Odkrycia“, jakich był świadkiem w pałacyku wydawały się teraz o wiele bardziej pasjonujące. Z radością i niecierpliwością szedł więc na drugie spotkanie.

Całe towarzystwo zjawilo się w dawnym składzie, brakowało jedynie Weisthora, który uprzedził, że się spóźni. Znowu zapełnił się okrągły stół w zwieńczonej kopułą kamiennej sali i znowu Brandt uległ temu samemu, paranormalnemu wręcz odczuciu, że znajduje się w miejscu wypełnionym jakąś niewidzialną energią. A może to tylko autosugestia? – pomyślał.

Okazało się, że Winterowi, pomimo dysponowania imponującą biblioteką i nie mniejszym archiwum z mapami, nie udało się symbolu graficznego z niczym powiązać. Nie było więc spodziewanego przełomu, chociaż sam zapewniał, że próbował wszystkich możliwych kombinacji. Miał dokładne mapy fizyczne Himalajów, wykonane przez najlepszych współczesnych kartografów, najbardziej dokładne, a mimo tego niczego nie znalazł, co mogłoby pasować do schematu...

– A może wcale nie tego należało szukać na mapach Azji – odezwał się jeden z członków Towarzystwa, w czarnym mundurze SS. A może to miejsce jest gdzieś koło nas, albo w Austrii, gdzie przebywał nasz Führer?

– A może wcale nie o to chodzi – rzucił Brandt – nie zapominajmy, że według przesłania wiadomość jest w kamieniu „ukryta“ i nie można jej odczytać w normalny sposób...

– No tak, ale co właściwie ma z tego wynikać? – zapytał Winter.

– Może powinniśmy poprosić o pomoc naszą przyjaciółkę o niezziemskich zdolnościach medialnych, pannę Gudrun? – nieco ironiczne pytanie zadał Brandt.

– Co pani na to, czy podjęłaby się pani takiej próby? – zapytał Winter. Sprawa jest niezwykle wagi, jestem przekonany, że pani pomoc zostałaby należycie doceniona.

– „Niezwykłej wagi...“ ale może też uwolnić niezwykle siły, nad którymi nie zdołam zapanować, panie Winter – odparła dziewczyna. Ale spróbuję, podejmę to ryzyko, mam nadzieję że Führer nie miałby nic przeciwko temu.

– Proszę to zrobić na moją odpowiedzialność, Führer powierzył nam ten „amulet“, jak nazwał kamień, właśnie po to, abyśmy rozwikłali ukryte w nim przesłanie.

Gudrun pokazała, że jej umiejętności wykraczają poza to, co zademonstrowała tydzień wcześniej. Wzięła kamień w dłoń, poprosiła o zachowa-

nie szalowanej ciszy i zgaszenie świateł, z wyjątkiem jednej małej świeczki ustawionej na stole, a następnie zamknęła oczy. Z jej ust zaczął wydobywać się mroczny, basowy dźwięk buddyjskich mantr, recytowanych ku zaskożeniu Brandta w sanskrycie. Gudrun wyobraziła sobie trójkątny przedmiot o nieznanej, czarna otchłań, w którą ma się zagłębić.

Kilkanaste minut zajęło jej wprowadzanie swego umysłu i ciała w stan ekstazy, w czasie których trzymała kamień na pewnej wysokości nad stołem, jakby kręcąc się w rytm mantr z zamkniętymi oczami. Po tym nastąpiła kilka chwil ciszy, stan niezwyklej koncentracji. Widać było, że gałki oczne Gudrun poruszały się pod zamkniętymi powiekami, jakby błądziły w niezmiernym, odległym przestrzeni. W pewnym momencie upuściła kamień i nagle powróciła do normalnej rzeczywistości. Zamknęła jeszcze raz oczy, jakby chciała jeszcze utrwalić w pamięci, uporządkować rzeczy, które zobaczyła w tym umysłem. Ukryła twarz w dłoniach i łamiącym się głosem zaczęła relacjonować swą paranormalną podróż.

– Wzięłam tego, kto chyba był kiedyś właścicielem tego przedmiotu. Jest to młody człowiek o ciemnej skórze i azjatyckich rysach twarzy. Ubrany w ciemne szaty, do których przymocowane były jakby deseczki z wygrawerowanymi inskrypcjami, przypominające drewnianą broję. Człowiek sprawiał wrażenie czarownika czy kogoś takiego, miał długie i brudne włosy, sterzące na wszystkie strony. Nic więcej o nim nie wiem. Jeśli chodzi natomiast o ten kamień, to odebrałam coś w rodzaju przekazu, że jest on łącznikiem pomiędzy przeszłością, bardzo odległą, a przyszłością, że ma wyjątkowe znaczenie dla przyszłości. Człowiek ze sterzącymi włosami też na swój sposób łączył w sobie przeszłość – należał do niej, oraz przyszłość. Przekaz zawarty w tym kamieniu nie pochodzi od ludzi, nie wiem jednak od kogo, pochodzi z bardzo odległej przeszłości i dotyczy lśniącego, srebrnego i gorącego metalu, znajdującego w jakimś naczyniu. Niezwykle lśniącego, przypominał płynną plasmę czy coś takiego. Miał niezwykle, niezemską moc, jakby moc pioruna, potężną moc.

Metal ten miał znaczenie magiczne? – zapytał Winter.

Tego nie mogę powiedzieć, wiem tylko, że wyzwalał naprawdę potężną siłę i nie był związany z ludźmi. Niestety to wszystko. Odczułam coś w rodzaju mgły pojawiającej się i otaczającej wszystko, jakby rodzaj sztucznej mgły, uniemożliwiającej spojrzenie dalej, głębiej. Wiem, że takie rzeczy nie zdarzają i w takich wypadkach należy zaprzestać dalszego sondowania. Próbuję mówiąc, i tak jestem zaskoczona, że udało mi się zobaczyć tak wiele. Proszę jednak nie nakłaniać mnie do ponowienia próby.

Do pomieszczenia wszedł służący, który zaanonsował przybycie Weisthora. Ten śpieszył się... Jego wzrok wskazywał, że coś się wydarzyło. Szybko zajął miejsce przy stole i oświadczył, że udało mu się odczytać symbol powstały przez połączenie wygrawerowanych symboli. Położył na stole starą mapę, wyrysowaną na wygarbowanej skórze jakiegoś zwierzęcia.

– Jest to bardzo stara mapa Tybetu – powiedział. Otrzymałem ją od profesora Haushofera. Wyraźnie różni się od map współczesnych, gdyż pokazuje nie tylko szlaki dawno nieistniejące, ale i dawne linie magiczne związane z mistyką pierwotnej religii Bon. Może nie jest tak dokładna, jak te, które znamy dzisiaj – mówił – kiedyś nie znano przecież zdjęć lotniczych, jednak to właśnie do niej pasuje odkryty przez naszego kolegę symbol. Proszę porównać!

Położył na skórze kawałek kalki z przerysowanym, powiększonym w stosunku do oryginału symbolem.

– Pasuje jak ulał!

– Rzeczywiście, nie ma co do tego wątpliwości – zauważył Brandt. A co to jest za miejsce?

– Udało mi się ustalić, że przed wiekami w tym właśnie miejscu była tybetańska wyrocznia państwowa. Być może stąd niezwykle kamień pochodzi...

Wszyscy przypomnieli sobie słowa Gudrun, która mówiła o związku „czarownika“ zarówno z przeszłością, jak i z przyszłością. Pojawiło się logiczne przypuszczenie, że człowiek z jej wizji był dawną wyrocznią – o którym Weisthor chwilę później usłyszał.

Winter podsumował te spostrzeżenia z pewną nutką triumfu w głosie:

– Mieliliśmy w rękach klucz nie wiedząc, do czego on pasuje. Być może w końcu wiemy przynajmniej dokąd nas on prowadzi!

– Wygląda na to, że przestaniem jest wskazanie miejsca i, jeśli wierzyć wizji, – wskazówka, że miejsce to zawiera wiedzę o jakimś metalu dającym niezwykłą moc... – podsumował Brandt.

– No tak, to już jest coś – zauważył Weisthor. Sądzę, że należy niezwłocznie powiadomić o tym naszego zwierzchnika.

– Kogo? – spytał naukowiec.

– Heinricha Himmlera.

Himmler

„Wielki Mistrz Czarnego Zakonu“ (choć wtedy jeszcze mało znanego, liczącego (spółem) kilka tysięcy członków) – *Führer der SS*, Heinrich Himmler nie od razu dostrzegł znaczenie odkrycia dokonanego w pałacyku Towarzystwa Thule, a może po prostu Weisthor nie mógł się z nim skontaktować bezpośrednio; dość, że pierwsza wiadomość od niego, pierwszy odzew, dotarł dopiero po miesiącu – w czerwcu 1930 r. Taki stan rzeczy odebrany został przez mistyków z Thule jako wyraz braku zainteresowania, nawet zlekceważenie zaszyfrowanego przekazu związanego z „Kamieniem Hitlera“. Wielce się jednak mylili; Himmler był nie mniejszym okultystą niż oni sami, przyjeżdżał do Tybetu, i wszystkim co się do niego odnosiło, interesował się szczególnie; bardziej niż ktokolwiek z Towarzystwa Thule, przynajmniej wtedy...

W połowie czerwca Brandt otrzymał telegram wzywający go na kolejną sesję w pałacyku i nie przypuszczał jeszcze, podobnie jak przy pierwszym powołaniu, że zaważy ona na całej jego późniejszej karierze. Telegram nie zawierał żadnej informacji o celu wezwania, naukowiec domyślał się jedynie, że chodzi o przedyskutowanie dotychczasowych odkryć i określenie kierunku dalszych działań. Tak jak wcześniej, udał się więc oznaczonego dnia podany już adres, tym razem wziął ze sobą wyniki swych dotychczasowych prac naukowych na temat Azji Środkowej, a w szczególności analiz językoznawczych języków, jakimi niegdyś posługiwano się w Tybecie. To one przede wszystkim umożliwiły mu odczytanie tajnych kodów, zapisanych w udostępnionych mu manuskryptach i na Kamieniu. Chciał w ten mało subtelny sposób nieco ugruntować swą pozycję, bardzo odpowiadającą jego ambicji – „szlachetnego“ lingwisty Towarzystwa Thule. Materiały te zajmowały całkiem sporo miejsca w skórzanej teczce, rulony zawierające liczne, wiernie skopiiowane teksty, pierwotnie spisane na drewnianych tabliczkach i liściach palmowych, wchodziły z teczki nadając Brandtowi wygląd typowego badacza. Badacza kultur i dawno zapomnianych cywilizacji. Taki styl życia, sprawami dla zwykłych ludzi zupełnie nieznaczącymi i przebrzmiałymi, był dla Brandta środkiem samorealizacji i spełniał jego potrzeby w zakresie romantyzmu życia

strzegali go współpracownicy na uniwersytecie, od których mógł oczekiwać co najwyżej lekceważącego spojrzenia. Ten swoisty „przekaz”, jaki miał dotrzeć do uczestników zebrania został odebrany, choć – co Brandtowi trudno byłoby przewidzieć – został odebrany zupełnie inaczej niż sądził przed spotkaniem. Nie z punktu widzenia jego pasji, lecz przydatności młodego talentu do realizacji niezwykle konkretnych, przyziemnych celów.

Naukowiec przekroczył próg kamiennej posiadłości „jak zwykle”, we wczesnych godzinach wieczornych i jak poprzednio został skierowany od razu do okrągłej „sali posiedzeń”. Tym razem nie było gospodarza – Wintera. Za stołem siedział niezwykle przejęty SS-Hauptsturmführer Karl Maria Willigut, zwany Weisthorem, tym razem w czarnym mundurze – jakże kontrastującym z wcześniejszym strojem kapłana! – oraz niepozorny, młody, na oko trzydziestoletni człowiek w polowej koszuli, o małych szarych oczach wpatrzonych w gościa. W przytłumionym świetle okrągłej „krypty” Brandt dopiero po chwili rozpoznał w nim szefa mało jeszcze znanej organizacji, której i sam był członkiem – SS. Położył przyniesione przez siebie materiały na stole i dopiero wtedy stuknął obcasami i wyciągnął prawą rękę z pozdrowieniem – *Heil Hitler!* Himmler wskazał jedynie ręką krzesło po drugiej stronie stołu i odparł:

– Poinformowano mnie, że to panu zawdzięczamy odczytanie przesłania zawartego w kamieniu naszego Führera. Proszę mi szczerze powiedzieć, panie Brandt, czy zdaje pan sobie sprawę jak wielkie znaczenie ma to odkrycie? Bardzo mnie ta odpowiedź interesuje...

Brandt przez chwilę nie wiedział co powiedzieć. Jego samego nicco zaszokowało takie postawienie sprawy. Nagle zrobiło mu się wstyd, że on, uważający się za naukowca kierowanego jakimś przebłytkiem, nie zastanowił się naprawdę nad możliwymi konsekwencjami odkrycia, nad sensem tak dociekliwego poszukiwania prawdy przez członków Towarzystwa, nad celem zaangażowania jego samego do współpracy. Po prostu nad tym nie pomyślał, zadowolając się powierzchownym, nie wypowiedzianym nawet wytłumaczeniem, że próby te powodowane były tylko zwykłą ludzką ciekawością. Wiedząc, że ma do czynienia z osobą może niepozorną, małymówną, ale – jak już wiedział – o wzroku przenikliwym i umyśle analitycznym, odpowiedział szczerze:

– Prawdę mówiąc, *Herr Führer*, nie zdaję sobie sprawy...

Nastąpiła chwila przerwy, w czasie której Himmler starał się rozpracować umysł swego rozmówcy, zaklasyfikować go w ramach jednej z określonych kategorii osób. Zastanawiał się co powinien, co może mu powiedzieć, a co nie

względna, jak na niego, szczerością:

– Kamień i związany z nim ukryty przekaz mają wiele znaczeń, drogi kolego. To, czego wy tu dotknęliście, to tylko jeden z aspektów tej rzeczywistości, tylko wskazówka dotycząca dalszej drogi, którą z pewnością w końcu podążymy. To jest ważne, bardzo ważne, to klucz do przeznaczonej nam tajemnicy, ale to nie wszystko. Świat wkracza w najbardziej przełomowy moment, najbardziej przełomowy proces w całej swej historii, choć wiedzą to tylko nieliczni; i to z tego punktu widzenia należy widzieć *klucz*, jaki przez chwilę miał pan w rękach. Niech pan pamięta moje słowa, choć więcej nie mogę na ten temat powiedzieć. To jest pierwszy wymiar związanej z kamieniem tajemnicy – klucz do wiedzy. Jak na razie mamy tu zaledwie jedną wskazówkę, którą wraz z Gudrun odczytaliście – punkt na mapie. Bez tego być może nie posunęlibyśmy się naprzód, ale to jeszcze bardzo niewiele. Drugi wymiar tajemnicy jest zupełnie inny. Jest nim dotarcie do naszych źródeł.

– Na twarzy Brandta pojawił się wyraz wielkiego zdumienia...

Nam zawsze leżało na sercu wspieranie nauki niemieckiej, prawdziwej nauki niemieckiej, która będzie mogła cofnąć nas do źródeł najwyższej rasy ludzkiej, do czasu gdy nasz lodowy Księżyc nie krążył jeszcze wokół Ziemi, a ona sama dopiero wyłaniała się z otchłani chaosu, gdy rasa nordycka była jedyną rozwiniętą rasą na naszej planecie...

Brandta ogarnęło osłupienie, czyżby się przesłyszał. Kim jest ten człowiek? – pytał siebie. Nie przypuszczał jeszcze, że nadejdzie czas gdy podobne historie będą się rozwijać w sposób nieskrępowany a jego rozmówca-okultysta stanie się jedną z najpotężniejszych osobistości w państwie – i wynurzenia w lodowej teorii Wszecchwiała wcale nie będą jego ostatnim słowem...

Nadejdzie czas, panie Brandt – rozmarzył się Himmler – gdy damy Niemcom, a może i światu, nową ideologię, nową wiarę. Jej wiarygodność, która w dużej mierze znajduje się obecnie w pana rękach, zależy bezpośrednio od możliwości „zakotwiczenia” jej w odległej przeszłości. Zakotwiczyła jej w korzeniach ludzkiej cywilizacji, cywilizacji, której dawcami byli bogowie, biały mesjasz aryjczyków, który zstąpił na Ziemię. Jeśli to nam się uda, ludzie będą widzieć nasze przesłanie jako spełnienie proroctwa sprzed tysięcy lat. To zakotwiczmy naszą **nową wiarę** w mrokach prehistorii – jeśli uda nam się dowieść, że nasza rasa jest kontynuacją rasy pierwszych mędrców, mędrców zapomnianej ludzkiej cywilizacji! To drugi aspekt przekazu związanego z kamieniem. Teraz już pan go zna. Przyjdzie czas gdy odkryjemy i tę kartę, ale na razie musi pan to traktować jako ścisłą tajemnicę, w przeciwnym razie będzie miał pan ~~wrogów~~ wielu wrogów. Tajemnice związane

z kamieniem są bowiem strzeżone a zadanie, jakie będzie pana czekać będzie zadaniem niebezpiecznym... Może pan jednak być pewny, że nadejdzie jeszcze czas aby do tej arcyważnej sprawy wrócić, a my bynajmniej o niej nie zapomnimy. Doprowadzenie jej do końca będzie zawsze moim najwyższym priorytetem.

Po tak zaskakującym „expose“ Brandt znowu nie wiedział co powiedzieć. Nigdy by nie przypuszczał, że spotkanie oko w oko z tym człowiekiem będzie dla niego tak przytłaczające i całkowicie zburzy równowagę jego myśli. „Ale się wpackowałem“ – pomyślał. Czy jest w stanie podolać tym niejasno określonym zadaniom, czy chce tego, czy w ogóle daje mu się prawo decyzji w tej sprawie? Tego niestety również nie wiedział, przez co było mu wstyd jeszcze bardziej... Najwyraźniej obserwacja jego reakcji, jego myśli była w tych chwilach głównym zadaniem obu pozostałych „rozmówców“, być może właśnie po to tu w ogóle przyszli. To wprawiało młodego naukowca w coraz większe zakłopotanie i sprawiało, że stawał się dogodnym, przewidywalnym obiektem manipulacji drugiej strony. Był w pewnym sensie idealnym, dyspozycyjnym członkiem swej mrocznej organizacji, w której przecież nie na indywidualizm kładziono największy nacisk.

I znowu, jak przed spotkaniem, percepcja samego siebie przez niego całkowicie rozminęła się z widzeniem jego osoby przez oficerów SS, jakimi przecież byli obaj rozmówcy. Sam Brandt wyszedł skonsternowany, z wrażeniem, że nie dorasta do sytuacji, w której znalazł się przecież w gruncie rzeczy zupełnie przypadkowo.

Dla Himmlera natomiast jego wybór nie był ani przypadkowy, ani błędny. Był jedynie drobnym fragmentem większej układanki, której charakter znacznie wykraczał poza zakres kompetencji młodego, początkującego naukowca.

Brandt wrócił do domu i nieco zdegustowany spotkaniem z szefem SS przestał się udzielać na spotkaniach mistycznego *Towarzystwa*, którego cele – jak dopiero teraz dostrzegł – były wielce niejasne, podobnie jak powiązania polityczne i menażeria dziwnych osobników skrywających się za jego fasadą. Owszem, tematyka tybetańska go bardzo zafrapowała i zaprzyjaźnił się nawet z Winterem, wielokrotnie z nieukrywaną przyjemnością oddawał się wspólnym rozważaniom nad fascynującą historią tej wciąż prawie nieodkrytej części świata. Atmosfera pogawędki przy kominku, w otoczeniu starych map, woluminów i pamiątek z licznych podróży, bardzo odpowiadała jego upodobaniom – pamiątek z podróży, których sam nigdy nie mógł odbyć. To był powrót do romantyki, która sprawiła, że przed laty rozpoczął studia orientalistyczne. To była na obecnym etapie główna motywacja w jego życiu – zawodowym i prywatnym. Dyskusje z Winterem rzadko nawiązywały do nie-

zwyczajnego epizodu związanego z „Kamieniem Hitlera“. Niewiele można było dodać do tego co już zostało powiedziane, nie było żadnych nowych źródeł informacji a samo Towarzystwo nie dawało więcej tak lukratywnych zleceń jak na początku. Najwyraźniej – myślał Brandt – chodziło im o uzyskanie odpowiedzi tylko na to jedno pytanie, z którym się kiedyś do niego zwrócili.

Nigdy już nie spotkał jasnowłosej Gudrun. Mijały lata a sprawa zdawała się stopniowo przycichać, choć wszędzie wokół następowały zmiany i to w coraz szybszym tempie.

Grób Chrystusa i aryjski mesjasz

Dr Joseph Brandt wiodł życie samotnika i nie był przyzwyczajony do niezapowiedzianych wizyt. Tym bardziej nie o szóstej rano. Tego dnia, latem 1933 roku obudziło go głośne pukanie do drzwi. Brandt natychmiast zerwał się na równe nogi, podejrzewając że zdarzyło się coś wyjątkowego i poszedł otworzyć. W drzwiach stało dwóch podoficerów SS w mundurach.

Zakomunikowali mu, że przyjechali na osobisty rozkaz Reichsführera Himmlera i mają za zadanie dostarczenie Brandta na pilne spotkanie z nim. Dali mu piętnaście minut na umycie się i ubranie. Wtargnięcie wysłanników Himmlera podziało go jak zimny prysznic. Naukowiec natychmiast odzyskał trzeźwość umysłu i przygotował się do podróży, jeszcze zanim zdążył sprawę na dobre przemyśleć. Czas na refleksje i rozważania miał za to w samochodzie, podczas jazdy krętymi uliczkami. Po jakichś trzydziestu minutach czarny Mercedes dotarł do obrzeży Monachium i skręcił w brukowaną drogę, prowadzącą, jak pokazywał drogowy znak, do nowych koszar SS, które Reichsführer miał właśnie uroczyście otworzyć. Koszary były zaiste potężne, przypominające jakiś wielki, przytłaczający średniowieczny zamek – w końcu SS miało być traktowane jako nowożytny zakon rycerski. Samochód minął bramę wjazdową, przemknął obok oddających hitlerowskie honory strażników w galowych mundurach i dotarł do obszernego wewnętrznego dziedzińca. Tu esesman kierujący ruchem otworzył drzwi i skierował przybyłych do jednego ze skrzydeł nowego kompleksu. Całość była niezwykle imponująca i odzwierciedlała nie tylko awans narodowego socjalizmu po zdobyciu władzy kilka miesięcy wcześniej, nie tylko niebywały wzrost wpływów Himmlera, ale też gigantomanię, megalomanię przywódców nowego reżimu. Wkrótce Brandt miał się przekonać, że za imponującą fasadą kryje się też niezwykle treściwa, wielkie plany również ideowej przebudowy Niemiec, które byłyby z pewnością niezwykle szokujące dla społeczeństwa, być może nawet nie do przyjęcia, gdyby tylko mówiono o nich otwarcie i społeczeństwo by je znało. Himmler bowiem, i oczywiście nie tylko on, był w tych sprawach niezwykle dyskretny. Zwykli ludzie nie mieli zielonego pojęcia, że oprócz kierowania

SS i policją siedzi on po uszy w mistic i okultyzmie, kieruje się nieprzemyślanymi wizjami, które będzie miał zamiar wprowadzać w życie bez względu na koszty. Nawet Hitler, krytycznie podchodzący do tych inklinacji, nie mógł znać całej prawdy. Zresztą prawdopodobnie nie było nigdy takiej osoby, która byłaby całkowicie wtajemniczona we wszystkie mistyczne przedsięwzięcia szefa SS.

Brandt i towarzyszący mu esesmani przeszli przez drewniane drzwi wejściowe o wysokości 3.5-4 metrów i znaleźli się w wyłożonym kamieniem długim korytarzu. Dotarli nim do wielkiej hali sportowej gdzie zgromadzili się już wszyscy brunatni oficjele, oczekujący na przemowę swego wodza. Po kilku minutach wszedł on na mównicę i rozpoczął od przedstawienia zarysów nowej ideologii, w wersji dla wtajemniczonych. Mówił o konieczności sięgnięcia do korzeni wiary dawnych Germanów, wiary w siły natury, widzialne i niewidzialne, w przeznaczenie ludzi i całych narodów – to wszystko co nazywał germańskim słowem Wralda. W niebo wypełnione gwiazdami i światłokręplą wody, w której przejawiają się pierwotne siły życia. Nie trzeba było szczególnej wyobraźni aby uzmysłowić sobie, że jest to przygrywka do rozprawy z Chrześcijaństwem, nawoływanie do przyjęcia jakiejś naturalistycznej – okultystycznej nowej religii pogańskiej, wymyślonej w oparciu o stare wzorce przez specjalistów w czarnych mundurach. Brandt nie zapamiętał wszystkiego i nawet nie słuchał, ale utkwily mu w pamięci słowa wypisane na kamieniu w tle, najwyraźniej mające służyć za credo ideowe „czarnego zakonu”:

„A gdyby pękł Krzyż, panujący talizman...

*Wówczas z szaleńczym, dzikim rykiem nadciągnęliby
dawni jego obrońcy...*

*Talizman ów jest kruchy i nadejdzie kiedyś dzień,
w którym się złamie.*

*Powstaną starzy, kamienni bogowie
i strząsną z oczu pył tysiącleci.*

*A Thor, idąc przed siebie z ogromnym młotem
rozbije w proch gotyckie katedry.”*

Do przemowie, po której zebrani wzniesli kilka razy okrzyk *Sieg Heil!*, Himmler zszedł z podwyższenia i zniknął gdzieś z tyłu. Ochrona z SS poprowadziła dr Brandta w kiczonku bocznego korytarza i po dwukrotnym sprawdzeniu jego tożsamości zostawiła go samego. Został umieszczony w obszernej, nowoczesnej wyposażonej poczekalni, wraz z kilkoma innymi ludźmi. Po chwili otworzyły się jedne z wielkich dębowych drzwi otaczających pomieszczenie ze wszystkich stron i ukazał się w nich adiutant Himmlera z jego

osobistego sztabu. Prosił do gabinetu poszczególne osoby na rozmowę, każdego pojedynczo, aż w końcu przyszła kolej i na Brandta.

Himmler wstał zza biurka i uściśnął mu rękę, jakby nie widział go od paru tygodni czy miesięcy, a nie lat. Nie wyłożył od razu kart na stół, lecz spytał najpierw czy naukowcowi spodobała się wcześniejsza przemowa. Brandt był tym pytaniem nieco skonsternowany, gdyż neoreligijny charakter SS docierał do niego bardzo powoli i wcale nie ukrywał swego zakłopotania. Zapytał szczerze, tak jak miał w zwyczaju:

– Jak zamierza pan zastąpić w ciągu kilku czy może kilkunastu, nawet parudziesięciu lat Chrześcijaństwo, które przecież jest tak mocno zakorzenione w kulturze, tradycji europejskiej i co tu dużo mówić – oparte jest na mocnych podstawach...

– No cóż, będziemy się bardzo starali i między innymi dlatego pana tu wezwałem, ale o tym za chwilę – Himmler uśmiechnął się szeroko. Co do mocnych podstaw jednak, to ja ich wcale nie znajduję. Musi pan wziąć pod uwagę, że w istocie Chrześcijaństwo jest tworem sztucznym, który nie wytrzyma żadnego mocniejszego uderzenia! Myśli pan zapewne, że oburzający jest nasz powrót do pogaństwa. A przecież Chrześcijaństwo też wzięło tradycję i wszystkie główne elementy z religii przedchrześcijańskich. Począwszy od pogańskiego drzewka życia, które kupuje pan w grudniu – gdy dzień zaczyna się wydłużać, zwiastując odrodzenie przyrody, a skończywszy na jajku jako pogańskim symbolu odrodzenia życia, które pewnie święci pan mniej więcej w czasie równonocy wiosennej. Cały Stary Testament jest, drogi panie, kompilacją całego mnóstwa starszych religii bliskowschodnich, które rzekomo Chrześcijanie zwalczali. A modlitwa „Ojcze nasz“... jak mi niedawno doniósł mój bezcenny pomocnik, profesor Sven Hedin, jest to **wiernie** przepisana z egipskiej Księgi Zmarłych modlitwa do boga Amena – czyli Amona. Nie, drogi panie, wcale nie uważam, że ta składanka ma mocne podstawy. Ma wiele słabych punktów, za które zamierzamy się wziąć – tu będę liczył na pańską pomoc. Organizujemy właśnie ekspedycję do Azji Środkowej, która będzie miała za zadanie uzyskanie odpowiedzi na wiele ważkich pytań i mam nadzieję – dostarczenie wielu przełomowych dowodów.

– Związanych z Chrześcijaństwem??? niedowierzająco zapytał Brandt.

– Jak już panu kiedyś powiedziałem, wyjaśnienie tajemnicy trójkątnego kamienia, *Kodu Führera*, jest wciąż dla nas najważniejsze; i będzie dopóty, dopóki przekaz nie zostanie całkowicie odczytany. Pojedzie pan w składzie tej ekspedycji. Powierzam panu osobiście sprawdzenie tropu związanego z tybetańską wyrocznią państwową o jakiej, jak pewnie pan pamięta, mówili zawarty w kamieniu przekaz. Tam musi być klucz do tej tajemnicy...

– Czy kamień mamy wziąć ze sobą?

O nie, to jedna z naszych tajnych relikwii, trzymany w skarbcu Rzeszy. Będzie pan musiał dotrzeć do wyroczni niestety tylko z jego zdjęciem i tym wszystkim, co pan wie.

– Rozumiem...

– Drugim zadaniem ekspedycji będzie zbadanie tropu, śladu do którego klucz również znajduje się w Tybecie, związanego z najstarszą rasą aryjską, będącą prairódkiem wszelkich cywilizacji na naszej planecie. Wyjaśni to panu SS-Hauptsturmführer dr Bruno Beger, który jest ekspertem w tej dziedzinie. Trzecim zadaniem będzie natomiast polegać na odnalezieniu grobu Chrystusa.

– Grobu Chrystusa???

O tak, drogi panie, wszystko wskazuje na to, że Chrystus spoczywa w grobie. Oficjalna wersja, jaką Kościół karmi swoje baranki mówi o tym, że żydowski mesjasz zmartwychwstał i wstąpił do nieba. Jest ona jednak nieścisła. Istnieje bardzo wiele dowodów na to, że Chrystus przebywał w Azji, a konkretnie w Kaszmirze i tam właśnie dokonał swego żywota – w mieście Srinagar. Tam jest czczony przez miejscowych muzułmanów grobowiec, opatrzony inskrypcją „*Tu spoczywa słynny prorok Juzu, prorok dzieci Izraela*”. Nasi najlepsi agenci dotarli ostatnio do bardzo starego archiwum państwowego w Srinagarze, w którym znajduje się wiele dokumentów, nawet sprzed pięciuset lat. Rzucają one na sprawę bardzo ciekawe światło. Zawierają między innymi zapis słów tego, który został tam pogrzebany. Słowa te, w formie manuskryptów były przez całe wieki przechowywane na dworze jednego z miejscowych władców i tak doczekały czasów współczesnych.

Himmler sięgnął do szuflady biurka i wyciągnął z niej fotokopię jakiegoś dokumentu i napisane na maszynie tłumaczenie.

Twierdził on na przykład – Himmler założył okulary – cytując: „*Urodziła mnie pewna kobieta. Wędrowałem i nauczałem w Palestynie prawdy, sprzeciwiając się niszczeniu tradycji. Nazywano mnie tam Mesjaszem. Nie pokochał jednak mojej nauki, odrzucili tradycje i skazali mnie. Bardzo cierpiełem w ich rękach*”. Chrystus uciekł z Bliskiego Wschodu, gdyż nie mógł znieść tego co zasnął ze strony Żydów! Czy zdaje Pan sobie sprawę jaki w tym tkwi dla nas potencjał!? – Himmler potrzyasał kartką maszynopisu, jego twarz aż kipiała od emocji.

No tak, ogromny...

– Sprowadzimy doczesne szczątki tego osobnika do Niemiec i umieścimy w muzeum! Można zasadniczo rzecz biorąc eksploatować ten wątek na dwa sposoby: albo możemy pokazać, że ten kogo chrześcijanie uważają za Boga był tylko człowiekiem, albo możemy pokazać, że był Bogiem, który umarł.

A potem damy światu mīt aryjskiego Mesjasza!

Na twarzy Reichsführera drugi raz pojawił się bynajmniej nie ukrywany uśmiech samozadowolenia.

– Jak rozumiem, grobowiec jest pilnowany, więc jak zdobędziemy te szczątki?

– Tak, jest pilnowany. Pozyskamy miejscowe plemię i mamy nadzieję uzyskać przychylność niektórych jego członków. Nasz wywiad już nad tym pracuje. To jednak wy musicilibyście wywieźć szczątki Chrystusa i dostarczyć je do Rzeszy. Będzie to zadanie niebezpieczne, gdyż będziecie działali na terytorium kontrolowanym przez Anglików. Na szczęście nie są oni zbyt lubiani przez miejscową ludność. Zobaczysz pan jednak, jak już będzie po wszystkim, że cały wysiłek był tego wart. Wtedy będziemy ostatecznie mieć Chrześcijaństwo w ręku...

– Widzę, że będziemy mieli pełne ręce roboty... i jak z tego wynika, cały czas będziemy musieli się mieć na baczności.

Tego już Himmler nie skomentował, wydawało się to aż nazbyt oczywiste. Dodał jedynie na pożegnanie:

– Cała wyprawa jest już przygotowana, tu są rozkazy dla pana.

Brandt otrzymał kilka kartek papieru z nadrukiem „tajne“, na których wyszczególniono harmonogram całego przedsięwzięcia i rzeczy, które naukowiec miał ze sobą zabrać, dołączono dokumenty przeznaczone dla władz uniwersytetu, związane z załatwieniem urlopu.

– No to powodzenia, niech Opatrzność czuwa nad panem! – w ten sposób Reichsführer wypowiedział słowa pożegnania.

No tak, wpakowałem się w niezłe bagno – pomyślał Brandt idąc z powrotem długim, pustym już korytarzem – chciałbym wiedzieć, czy w ogóle wrócę żywy z tego przedsięwzięcia... Zastanawiał się jak rozplanować sobie krótki czas, który pozostał mu na przygotowania.

Ekspedycja

Wszyscy uczestnicy wyprawy poznali się dopiero przed samym rejsem. Wynikało to m.in. z dążenia do zachowania w tajemnicy niektórych jej aspektów, a zwłaszcza faktu uczestnictwa niektórych osób. Ukryto również fakt, że wyprawa była finansowana głównie z funduszy SS. W związku z tym nie nadawano jej wielkiego rozgłosu. Podróż miała być wyjątkowo długa: kilkanaście tysięcy kilometrów parowcem *Germania* do Szanghaju, następnie ponad półtora tysiąca kilometrów statkiem poprzez Chiny w górę rzeki Jangcy. W chińskiej prowincji Sinkiang zamierzano przeprowadzić badania związane z pozostałościami po wymarłej rasie białych ludzi, których z góry uznano w Niemczech za „boskich aryjczyków“. Później wyprawa miała skierować się na zachód i na południe – do Tybetu; w celu dotarcia do legendarnej wyroczni orłowej a następnie w kierunku Srinagaru, ku „mauzoleum Chrystusa“. Ekspedycja miała wyruszyć z Hamburga późną jesienią 1933 roku – tak aby dotrzeć do Tybetu późną wiosną następnego roku i zdążyć zrealizować program w ciągu paru letnich miesięcy, jedynych gdy najważniejsze przełęcze nie są pokryte śniegami. Łącznie miała trwać prawie rok.

Zbranie ekipy w pełnym składzie nastąpiło dopiero na tydzień przed wyprawą do Niemczech, w Hamburgu. Oczywiście sami organizatorzy znali się od dawna i cały czas utrzymywali ze sobą ścisły kontakt: Ernst Schäfer i Bruno Beger, podobnie jak wszyscy ci, którzy przygotowywali przedsięwzięcie od strony technicznej – organizowali niezbędne zezwolenia, przygotowywali sprzęt itp.

Brandt nie należał jednak do ścisłego kierownictwa wyprawy i podobnie jak paru innych uczestników dołączył dopiero w końcowej fazie przygotowań. Na pierwszym spotkaniu roboczym, które odbyło się w hamburskim hotelu *Austria* wszyscy zostali sobie przedstawieni. Prym wiódł młody SS-Unterscharführer Ernst Schäfer, nieco obcesowy, bardzo pewny siebie weteran podobnych przedsięwzięć, zaufany człowiek Himmlera i bezkompromisowy polityk. Świątynię wygłosił ubrany w czarny skórzany płaszcz. Kieliszek

szampana podniósł tak śmiałym ruchem, że omal go nie wylał, z charakterystycznym tylko dla siebie ledwo zauważalnym, szelmowskim uśmiechem zdradzającym niezwykłą pewność siebie. Mówił głośno i z łatwością zdominował otoczenie nawet w tej, hotelowej sali. Sprawiał wrażenie kogoś, kto wiele już przeszedł, miał ugruntowane kontakty w regionie i nie bał się zapuszczać w rejony słabo jeszcze zbadane przez białego człowieka. Jednym słowem, pomimo niezbyt dyplomatycznego charakteru, czasami wywołującego wrażenie arogancji, był typowym samodzielnym badaczem, kimś w rodzaju „Indiany Jones'a Trzeciej Rzeszy”. Sam siebie przedstawił jako poszukiwacza śladów po wymarłych kulturach i zapalonego myśliwego. W istocie dał się później poznać jako zbieracz trofeów myśliwskich z egzotycznych krajów. Jego wielką ambicją było upolowanie bardzo trudnej już wtedy do wytropienia pandy. Na pierwszy rzut oka było widać, że choć ma on naturę do pewnego stopnia konfliktową, bezpośrednią, egocentryczną, posiada też wyraźne predyspozycje przywódcze i pomimo tych wad, dało się odczuć bardzo wyraźny autorytet, jakim darzyli go pozostali, nawet ci, którzy nie czuli do niego osobistej sympatii. Przede wszystkim jednak Schäfer posiadał duże doświadczenie, takie, jakiego nie miał prawie nikt spośród pozostałych uczestników. W pełni równoważyło ono brak kwalifikacji naukowych, którymi mogli poszczycić się wszyscy inni.

Po wygłoszeniu samoprezentacji Schäfer przedstawił swego najbliższego współpracownika, wybitnego eksperta, również (wtedy) podoficera SS, antropologa dr Bruno Begera, nieocenionego w kwestii wiedzy o pradawnych cywilizacjach Azji. Jego specjalnością, a także osobistą wielką pasją były badania śladów dawnej rasy białej, z powodów politycznych zwanej wtedy „aryjską” – w Azji. Był on w tej dziedzinie chodzącą encyklopedią i posiadał wiedzę, jakiej w większości przypadków trudno byłoby szukać we wszelkiego rodzaju podręcznikach i encyklopediach. Schäfer mówił o nim w samych superlatywach, jako o naukowym szefie wyprawy i swojej prawej ręce: Z pewnością bez drogiego Bruno to ambitne przedsięwzięcie nie doszłoby do skutku, względnie nie możnaby liczyć na znaczące odkrycia. „To on, stojący tu przed państwem gwarantuje swoją przygniatającą wiedzą odpowiednią jakość wyników naukowych” – rozwodził się Schäfer.

Beger nie robił jednak wrażenia kogoś zapatrzonego w swą własną legendę, w odróżnieniu od samego Schäfera. Zdradzał krytyczny umysł i obiektywizm. W odróżnieniu od tego drugiego mówił zwykle krótko, rzeczowo i spokojnie. Rzeczywiście – pomyślał Brandt – może ta para się właśnie doskonale uzupełnia, może właśnie taka kombinacja charakterów i kwalifikacji daje największe nadzieje na sukces...

Ale cóż – dokończył Schäfer – będziecie jeszcze mieli panowie okazję poznać lepiej naszego antropologa podczas rejsu...

Po tym przedstawił jeszcze kilku innych uczestników, w tym samego Brandta i „eksperta w sprawach religijnych”, dr Herberta Pazingera, który jak się okazało, miał koordynować głównie działania związane z „pozyskaniem” doczesnych szczątków Chrystusa. Ta część wyprawy była do czasu jej zrealizowania tajna i o samym Pazingerze Schäfer nie mógł zbyt wiele powiedzieć. Nikt go w zasadzie nie znał, wiadomo jedynie było, że jest to były ksiądz, naukowiec, który z niejasnych powodów przeszedł na służbę „czarnego zakonu” Himmlera. Pazinger nie sprawiał wrażenia osoby gadatliwej czy wylewnej i ciekawość członków wyprawy musiała na razie pozostać niezaspokojona.

Brandta nieco zdziwiło to, że zarówno pierwsze spotkanie, jak i następne przed rejsem, odbyły się w ścisłym, zamkniętym gronie. Nie zorganizowano żadnej konferencji prasowej – jak z pewnością stałoby się chociażby w Ameryce, żadnych spotkań z sympatykami. Nie brakowało przecież wielbicieli historii przygodowych, Karol May był wciąż jednym z najbardziej czytanych autorów w Niemczech, nie... Prasa pisała o przygotowaniach do wyprawy niewiele, a nazwiska niektórych uczestników w ogóle się nie pojawiały – jak Brandt zdążył zauważyć. Oczywiście ani słowem nie wspomniano o roli Reichsführera SS, ani w ogóle o praktycznych celach przedsięwzięcia.

Najbardziej młodego naukowca zastanowiło jednak, że podczas wchodzenia na pokład statku ekipę zęgnęła tylko niewielka grupka ludzi, dało się wśród nich zauważyć paru panów w długich płaszczach, wyróżniających się surowym wzrokiem. Było paru fotoreporterów, ale nikt nie zadawał zbyt wnikliwych pytań. Widocznie – pomyślał Brandt – tajna policja, będąca jedną ze służb SS, o wszystko już zadbała. Widocznie chciano uniknąć zbędnego zamieszania, przecieku informacji nie przeznaczonych dla szerszego ogółu...

Pierwsze dni na statku Brandt spędził samotnie, zgodnie ze swoją naturą, chociaż częścią jego natury był też ścisły umysł naukowca, poddający fakty dokładnej analizie. Dzięki temu był w stanie dostrzec nieco więcej niż inni. W pierwsze dni długiego rejsu postanowił przeznaczyć na czytanie książek i uporządkowanie myśli. Im dłużej się nad całą sytuacją zastanawiał, tym bardziej wydawała mu się dziwna. Zgodnie z prastarym chińskim przysłowiem: „Jego czystość była nieskalana, a jednak wszystkie psy w mieście na niego szczekały. Psy bowiem szczekają na to, co im się dziwnym zdaje”. Tą „dziwność” bowiem raczej instynktownie wyczuwał niż byłby w stanie udowodnić. Próbował ogarnąć całość kontekstu i stworzyć jakiś jeden spójny obraz tego co się działo. Im dłużej zastanawiał się, tym silniejsze miał

wrażenie, że ma do czynienia z czymś w rodzaju teatru cieni, w którym nawet ukryci za sceną aktorzy nie znają powodów, dla których poruszają marionetkami. Czymże była cała wyprawa – zastanawiał się. Dla zwykłych ludzi, którzy przeczytali jakieś wzmianki w prasie była ona wyścigiem do przygody, realizowanym przez kilku zapaleńców, może naukowców-pasjonatów. Dla tych bardziej wtajemniczonych, może dla wszystkich uczestników z wyjątkiem Schäfera i Begera, była ekspedycją naukową, wyrazem jakiejś obsesji rasowej czy psudoreligijnej Himmlera. A dla niego samego? Może była jeszcze czymś innym?

Cały czas Brandt miał przed oczami niepozorną twarz Reichsführera, jak ją widział podczas rozmowy w monachijskich koszarach SS. Człowiek, który w innym kraju czy w innym czasie mógłby przejść na ulicy bez zwracania czyjejkolwiek uwagi. Ktoś pomyślałby – może to nauczyciel szkoły powszechnej? Zwykła twarz bez wyrazu, wąskie, anemiczne usta. Dla społeczeństwa Rzeszy był to z kolei człowiek – mit. Czarny mundur i tajemnicza otoczka wszechwładzy. Szef policji. Inna perspektywa i obraz zupełnie inny. Brandt widział jeszcze jedno oblicze, zupełnie inne od poprzednich – Himmlera – mistyka i okultystę, uganiającego się za nieuchwytnymi tajemnicami sprzed tysięcy lat. Ale czy to wszystko. Stopniowo dochodził do wniosku, że to była w zasadzie tylko fasada. Za tym kryło się jeszcze coś innego. Mistyczna treść tego, a może i innych przedsięwzięć, kontrastowała z wrażeniem niezwykłego pragmatyzmu, jakie Brandt odniósł w trakcie rozmowy. Ten dwulicowy czy czwórlicowy człowiek nie miał w sobie nic z owładniętego chorobą pasją romantyka, jak pozornie należałoby się spodziewać. Wręcz przeciwnie. Odnosił wrażenie, że cały ten mistycyzm też był jedynie fasadą, tylko łatwo zauważalną formą. Wszelkie wypowiedzi wskazywały, że człowiek ten w istocie stawia sobie najzupełniej przyziemne cele, do spełnienia których stosuje jedynie nawet najbardziej niekonwencjonalne środki, że działa wielotorowo, że ukrywa bardzo umiejętnie swe cele rzeczywiste. Nawet dostarczenie ewentualnych szczątków Chrystusa miało znaczenie tylko z punktu widzenia celów materialnych i politycznych, podobnie jak cała przygotowywana rozprawa z dotychczasową religią. Ale na pewno nie jest to człowiek bujający w chmurach – myślał – chociaż jego skuteczny umysł wydaje się przez to jeszcze bardziej przerażający. Brandt wiele czytał o coraz częstszych ekscesach członków nazistowskiego aparatu władzy: o pijackich burdach organizowanych przez działaczy partii, o awanturach, pojedynkach czy skandalach homoseksualnych członków bojówek SA. Nie mógł sobie natomiast wyobrazić Himmlera wplatanego kiedykolwiek w jakąś aferę. On przede wszystkim gmatwał wszelkie swe działania do tego stopnia, że nikt nigdy nie byłby

w stanie zorientować się, że w ogóle miała miejsce jakakolwiek aferę...

Im dłużej Brandt zastanawiał się nad tym wszystkim w ciszy okrętowej kajuty, i im dłużej przyglądał się szczególnym typom charakterologicznym i jakimi przyszło mu dzielić los, tym częściej nachodziły go myśli na temat celu przedsięwzięcia, w które bez pytania o zgodę został wplątany. Po co ta cała tajemniczość? O co w tym wszystkim naprawdę chodzi? Co jest tak ważnego w tym planie? Dlaczego wyprawa sprawia wrażenie jakby była tajnym przedsięwzięciem wagi państwowej? Czy np. przekaz zawarty w kamieniu może mieć jakieś praktyczne znaczenie dla państwa? Krótkie chwile spędzone z Himmlerem dały mu przecucie, że całość ma znaczenie bardzo konkretne i bynajmniej nie mistyczne. Myśli te rozwijały się, rozchodziły się właściwymi drogami jak fale na wzburzonym oceanie. Wywoływały z zakątków umysłu lęk.

Brandt postanowił w końcu, po „przygotowaniu“ swego umysłu, z kimś wieczorowo porozmawiać o szczegółach, o tym co ich wszystkich czeka. Od pewnego czasu miał na oku antropologa Begera, jako dobrze poinformowanego a zarazem wystarczająco rzeczowego i – w odróżnieniu od Schäfera – również naukowca. Spotkanie się z nim na całe popołudnie nie było na zamkniętym pokładzie statku żadnym problemem. Jak się okazało, też chciał poznać kolegę po fachu i ciekawie spędzić czas, przynajmniej jeden z wielu długich się w nieskończoność dni. Wybór był więc dobry...

Beger wydał się teraz fachowcem pozbawionym emocji, z uwagą wpatrującym się w oczy Brandta – a może to jego wzrok zdradzał podobne zainteresowanie lub ciekawość. Obaj zamówili kawę do kajuty i przeczuwając dłuższą rozmowę, rozsiedli się wygodnie w wielkich, skórzanych fotelach. Brandt zadał pierwsze pytanie wprost: „coż takiego jest niezwykłego w naszej wyprawie, że cała prawda o niej jest najwyraźniej ukrywana?“ – i było to w zasadzie jedyne pytanie, jakie zdażył zadać. Przez całą resztę wieczoru i dużą część nocy Beger rozwijał jedynie frapujący monolog, nie dając zbyt wiele czasu na zadawanie dalszych pytań.

– Jak pan już zapewne słyszał – rozpoczął Beger – jedna z najbardziej intrygujących tajemnic związanych z Tybetem dotyczy legendy o krainie zwanej *Sambalą* lub *Aghartą*. Określenia te naprawdę odnoszą się nie tyle do legendy, co do pewnej cywilizacji. Miała ona istnieć przed wieloma tysiącami lat i stała się źródłem wszelkiej cywilizacji na naszej planecie, w czasie gdy Europa była jeszcze jedną wielką puszcza. Cywilizacja ta miała być na tyle wysoko rozwinięta, że ogarniała swym wpływem nie tylko Azję, ale i inne kontynenty. Była w stanie, według legendy, realizować przedsięwzięcia prawdziwie globalne. Pradawna legenda mówi również, że mieszkańcami

Szambali byli biali ludzie (choć czasami mówi się też o czarze lekko błękitnej), rasa pół bogów, pół ludzi. Wiele podań i mitów tybetańskich zawiera informację, że ludzie ci pozostawili po sobie pewną pamiątkę – dowód swych niezwykłych możliwości, pewien ślad, który nazywany jest *Osią Świata*. Jeszcze do niedawna nie było wiadomo czym ona naprawdę była lub jest, chociaż mity mówią także o pewnym symbolu, czy jakby pomniku tej prawdziwej Osi. Jest nią, nawet według współczesnych, miejscowych religii, góra znajdująca się w Tybecie o nazwie *Kalias*, miejsce corocznych pielgrzymek Tybetańczyków, którzy czczą ją właśnie pod nazwą *Osi Świata*. Czasem nazywana jest też górą *Meru* lub *Sumeru*. Ona ma być czymś w rodzaju centralnego punktu legendarnej *Szambali*, chociaż wiadomo, że ta realna *Oś* znajduje się w jakimś innym miejscu. Tyle mówi sama legenda i przekazy religijne. Sprawa wydała nam się interesująca z paru powodów. Wymieniłem tylko dwa: pierwszy dotyczy przekazu wiedzy, jakiego możnaby się po takiej przeczącej wszelkim regułom, zapomnianej cywilizacji spodziewać. Uważamy, że mogłaby to być wiedza jak najbardziej przydatna nawet dla naszego własnego rozwoju, jeśli chociażby w legendzie jest połowa prawdy – a pewne informacje na to wskazują. Drugi to, jak pewnie się pan domyśla, sprawa białej, całkowicie zapomnianej rasy azjatyckiej, która mogłaby być przydatna ze względów propagandowych. Uzasadniałaby nasze własne teorie rasowe a przede wszystkim: uzasadniałaby nasze koncepcje geopolityczne i wojskowe względem Azji.

– No tak, ale przecież cały czas odwołujemy się do legendy, co do której nie wiadomo w ogóle czy zawiera jakiegokolwiek ziarno prawdy. Pan mówi o wiedzy, która mogłaby być przydatna dla nas, dzisiaj, a przecież poruszamy się wyłącznie w sferze mitów.

– Otóż tu właśnie myli się pan, drogi kolego... Jedną z tajemnic naszej ekspedycji jest właśnie to, że będziemy się starali podążać śladami i dowodami pokazującymi, że za legendą kryje się prawda. Nasi naukowcy zebrali niezbite dowody na istnienie prawdziwej Osi Świata i na to, że przed tysiącami lat w Azji istniała niezwykle rozwinięta cywilizacja białych ludzi. Powtarzam: niezbite, niepodważalne dowody. Nie afiszujemy się z tym, gdyż nie chcemy aby ktoś nam przeszkodził w realizacji tej niezwyklej, epokowej misji, w doprowadzeniu jej do końca.

– A więc znaleźliście jakiś klucz, przeoczony przez innych?

– Tak właśnie się stało. Cóż więc takiego udało nam się znaleźć? To bardzo długa i skomplikowana historia, ale postaram się ją streścić. Resztę może zobaczy pan sam, na miejscu. Jeśli cofniemy się do okresu poprzedzającego najstarsze znane cywilizacje indyjskie czy chińskie to okaże się, że wtedy

w Azji istniało tylko jedno, w dodatku bardzo niezwykle centrum cywilizacyjne, prawdopodobnie starsze niż imperium Sumerów, być może nawet starsze niż starożytny Egipt. Była to cywilizacja Doliny Indusu, z głównym ośrodkiem w postaci miasta Mohendžo Daro.

Nigdy nie słyszałem...

Niech pan słucha, najciekawsze dopiero przed panem. Jak odkryli niedawno nasi najlepsi naukowcy, twórcami Mohendžo Daro nie byli wcale ci sami ludzie, którzy dzisiaj zamieszkują południową Azję, ale rasa zwana protodrawidyjską, mówiąc prościej – ludzie biali. Kiedyś były bowiem dwie zupełnie różne migracje białej ludności z Azji – jedna to ta, z której i my pochodzimy, która wyruszyła na zachód. Druga natomiast pozostała w Azji a następnie ruszyła w drugą stronę – na wschód i południowy-wschód. Ta w ciągu wielu tysięcy prawie całkowicie wymarła, a może raczej wymieciała się z innymi ludami. Zbudowała być może najstarsze miasto świata – właśnie Mohendžo Daro, miasto niezwykle rozwinięte, z wodociągami, basenami, kanalizacją, ulicami pokrytymi asfaltem. Proszę tak na mnie nie patrzeć – rzucił w międzyczasie Beger – to nie jest żaden żart, to szczerą prawdą popartą dowodami naukowymi... Jak na wybitnie rozwiniętą cywilizację przynależało, dorobiła się ona własnego pisma, a ponieważ wszystkie okoliczne ludy pisma jeszcze nie znały, nie było jeszcze, jakby to powiedzieć, wymiany językowej w formie pisanej, więc w efekcie pismo to zupełnie nie przypomina innych pism azjatyckich. Język Protodrawidów był zresztą zupełnie inny niż języki ciemnoskórych mieszkańców okolicznych terenów. Mieliśmy więc prawdziwą zagadkę. Ale tylko do czasu... Okazało się, że pismo to było bardzo ciekawym śladem. Odkryto bowiem pismo identyczne na pewnej małej wyspie na południowo-wschodnim Pacyfiku, na Wyspie Wielkanocnej, która jest skrawkiem lądu najbardziej odizolowanym geograficznie od wszystkich innych lądów. Problem polega na tym, że oba te punkty: wyspa i miasto Mohendžo Daro leżą dokładnie w przeciwnych punktach globu. Gdyby połączyć je linią prostą, byłaby ona osią świata. Obie wersje pisma różnią się tylko tym, że stanowią względem siebie lustrzane odbicia, co również nie może być przypadkiem i stanowi wskazówkę, że pojawienie się „osi“ należy traktować jako przekaz. Oczywiście dowodzi to, że przed wieloma tysiącami lat istniała cywilizacja, która mogła takie globalne przedsięwzięcie zrealizować, potrafiła na kuli ziemskiej, powtarzam: na kuli, wyznaczyć dwa punkty dokładnie naprzeciw siebie itp. Aby jeszcze dobitniej oddalić ewentualne przypuszczenia, że całość jest tylko jakimś nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności, postanowiono stworzyć na mapie naszej planety jeszcze trzeci punkt charakterystyczny, który znajduje się dokładnie w połowie

odległości pomiędzy miastem a wyspą i w dodatku w języku protodrawidyj-
skim, po przetłumaczeniu, jego nazwa brzmi „Połowa drogi“. Dzisiaj znane
jest jako chyba najbardziej niezwykle ruiny na Ziemi, jako Nan Madol. Zbu-
dowane zostało na wodzie, z wielkich, sześciokątnych bloków kamiennych.
Odkrycie „Osi“ jest wielkim przełomem w naszym rozumieniu początków
cywilizacji w ogóle. Łamie wszelką podręcznikową wiedzę. Jak nitka do
kłębka doprowadziło nas do odkrycia śladów wymarłej białej rasy w wie-
lu innych miejscach leżących po drodze. Nie wiem czy pan o tym słyszał, ale
pierwsi budowniczy posągów na Wyspie Wielkanocnej mieli według notatek
pierwszych kronikarzy skórę tak jasną jak Europejczycy. Nawet Nan Madol
zostało zbudowane, jak się niedawno okazało, przez białych. Odkryto gro-
bowiec jednego z królów tego miasta, który został przebadany przez antro-
pologów australijskich. Jak się zresztą okazało, miał za życia 2,30 m wyso-
kości. To również nie jest żart, zapewniam pana! Może mi pan też wierzyć,
że śladów takich jest znacznie więcej a najciekawsze zamierzamy sprawdzić
właśnie podczas tej ekspedycji, w samym Tybecie i w zachodnich Chinach.
Ale cóż, rozgadałem się, a pan zdaje się zaprosił mnie w związku z jakąś
sprawą...

– Tak, choć po części już udzielił mi pan odpowiedzi. Chciałem porozma-
wiać o tym, czym naprawdę jest nasza ekspedycja, gdyż wydaje mi się ona
przedsięwzięciem nad wyraz tajemniczym, jakby nie poinformowano mnie
o najważniejszych elementach układanki, którą mamy ułożyć.

– No, oczywiście, że nie musi pan wiedzieć wszystkiego i bardzo bym się
zdziwił gdyby od razu informowano pana o wszystkim. To przecież służy
naszemu bezpieczeństwu. Jestem jednak przekonany, że jeśli doszuka się
pan tu jakiejś konspiracji czy spisku, to jest pan w błędzie. Nie ma takich
spraw, które na przykład stanowiłyby tajemnicę państwową...

– Miałem na myśli to, że cele naszego wyjazdu są, jakby to powiedzieć,
trochę okultystyczne. Nie daje mi np. spokoju atmosfera niezwykle tajem-
niczności otaczająca kamień, ten trójkątny kamień подарowany Führerowi
w Wiedniu...

– Jaki kamień?

– No ten, związany z głównym celem naszej misji.

Zdziwienie Begera było niepomierne, jak czarne fale oceanu szumiącego
za burzą. Brandt nie przypuszczał, że Himmler wtajemniczył w sprawę kodu
Hitlera tylko jego samego. Jak więc miał zająć się tą sprawą, jak miał ją wy-
jaśnić, jeśli sam naukowy szef wyprawy nie był w ogóle wtajemniczony,
w istocie o niczym nie wiedział. Przy takim obrocie spraw Brandt doszedł do
wniosku, że być może nie powinien o kamieniu zbyt dużo mówić. A w każdym

chwile postanowił mówić tylko tyle, ile będzie w danych okolicznościach ko-
lasyzno. Atmosfera w kajucie nagle stała się dosyć dziwna, rozmowa przesta-
ła się kleić i z uwagi na późną porę obaj naukowcy postanowili ją przerwać
w następnego dnia zdążyć na śniadanie.

Pomimo frapującego opowiadania Begera, Brandt tylko utwierdził się
w przekonaniu, że bierze udział nie tylko w ciekawym, ale także wyjątkowo
niebezpiecznym, może nawet podejrzanym przedsięwzięciu. W dalszym ciągu
nie miał jasnego obrazu sytuacji, może nawet był on jeszcze mniej jasny niż
przed rozmową.

Kolejne rozmowy podczas rejsu wcale nie dały odpowiedzi na najważ-
niejsze pytania, przy czym sam Schäfer był najmniej ze wszystkich skłonny
do udzielania przekonujących wyjaśnień. „Patowa“ sytuacja utrzymała się
wtedy aż do dotarcia do Szanghaju.

Wrogowie

Germania miała kilkudniowe opóźnienie, co wprawdzie nie pokrzyżowało żadnych planów, ale wywołało niezwykle pośpicich bezpośrednio po dotarciu do Szanghaju. Trzeba było zdążyć z przeładunkiem na mały statek rzeczny, co było o tyle istotne, że znajdował się on we władaniu niemieckiego armatora i miał kapitana Niemca. Dzięki temu wciąż, aż do osiągnięcia środkowych Chin, członkowie ekspedycji znajdowali się niemal na niemieckim gruncie...

Ten odcinek podróży wydawał się z początku jeszcze bardziej monotony niż poprzedni, pomimo zmieniających się jak w kalejdoskopie widoków z burty. Nie tym jednak żyli członkowie ekspedycji, lecz gorączkowym omawianiem szczegółów samej wyprawy. Schäfer wręczył Brandtowi, dopiero teraz, zalakowaną kopertę od samego Himmlera z dokładnymi rozkazami. Jak się okazało, nieco różniły się one od planu całej reszty ekipy. W prowincji Sinkiang, w północno-zachodnich Chinach, miał on odłączyć się od reszty i w tajemnicy, samodzielnie (tylko z tragarzami) udać się w kierunku Lhasy, gdzie znajdowała się tybetańska wytocznia państwowa, „wskazywana“ zarówno przez szczyt zapisany na powierzchni trójkątnego kamienia, jak i przez przekaz medialny. Być może Himmler nie chciał narażać Brandta na spore ryzyko związane z planami dotarcia do grobowca Chrystusa, a może po prostu nie chciał aby pozostali wiedzieli zbyt wiele na temat najbardziej niezwyklej tajemnicy Trzeciej Rzeszy.

Dni na pokładzie, bo ciasne kabiny nie stwarzały atmosfery zachęcającej do pobytu, upływały w nieco surrealistycznej atmosferze, tym bardziej że członkowie ekspedycji byli jedynymi gośćmi na statku. Dzięki temu przynajmniej nie trzeba było martwić się o drogi sprzęt spoczywający w ładowni... Atmosfera zdradzała coraz większe rozpręczenie wywołane beczynościami. Piękne, egzotyczne widoki najwyraźniej wcale jej nie poprawiały. Wiele razy dochodziło do kontaktów, najczęściej niezbyt przyjemnych, z miejscowymi rybakami. Rzeka ta była dla Chin główną magistralą komunikacyjną, skupiającą w sobie całą egzotykę życia tego kraju. Bywało, że statek spychany do

przez wiry zrywał sieci, przez co parę razy oddano nawet w jego kierunku strzały z broni palnej. Utrapieniem byli też handlarze oferujący najrozmaitsze towary na sprzedaż. Lawirując swymi dżonkami stwarzali całkiem spore zagrożenie, na szczęście za każdym razem doświadczonemu kapitanowi udawało się „o włos“ minąć obcą łódź. Raz pojawili się nawet rzeczni piraci, którzy zamierzali obrabować statek. „Na szczęście“ Schäfer był wielkim pasjonatem polowań, do pewnego stopnia traktował nawet wyprawę jako jedno wielkie polowanie. Wyposażony był w doskonały karabin snajperski, który w sytuacji zagrożenia okazał się o wiele bardziej użyteczny niż najlepszy karabin maszynowy. Piraci wykonali pierwsze podejście, w pełnym nurcie rzeki, w czasie którego próbowali przerzucić trap na pokład. Dzięki udanemu manewrowi kapitana nie udało im się i obie jednostki się na pewien czas oddaliły od siebie. To wtedy właśnie, z bezpiecznej odległości ponad stu metrów Schäfer mógł popisać się swoim sprzętem. Obyło się więc bez ofiar po własnej stronie. Chiny były w owym czasie krajem bezprawia, przypominającym wciąż średniowieczne królestwa feudalne z Europy sprzed kilkuset lat.

„jeszcze nie wyszliśmy na ląd a już ledwo uszliśmy z życiem“ – pomyślał Brandt. W istocie, jego najgorsze przeczucia potwierdziły się już dwa dni później. Statek stał przycumowany do jakiejś prowincjonalnej przystani na nocleg (rzeka była już w swym górnym nurcie zbyt zdradliwa aby płynąć dalej), gdy pokładem wstrząsnął potężny wybuch. Jego huk nałożył się na szum rozrywanej blachy i krzyki załogi. Wszyscy naturalnie w mgnieniu oka wybiegli na korytarz i zszokowani próbowali zorientować się w sytuacji. Była właściwie jeszcze noc, około czwartej. Na pokładzie, a zwłaszcza pod nim, zapanał nicopisany chaos. Nikt dokładnie nie wiedział co się stało. Na początku załoga przypuszczała, że statek został staranowany. Wkrótce okazało się jednak, że stało się coś o wiele gorszego. W przedziale maszynowym, na rufie pojawił się ogromny przeciek i statek momentalnie zaczął nabierać wodę. Na korytarz wydobywał się gęsty dym. Rufa zaczęła tonać, aż w końcu osiadła na dnie i sytuacja się ustabilizowała. Woda była na tyle mętna, nieprzezroczysta, że bardzo trudno było dociec, co było przyczyną katastrofy. Już było oczywiste, że chodziło o silny wybuch, ale nie było sposobu, aby odsłonić fragment dna gdzie gruba blacha została rozerwana i nie można było stwierdzić czy wybuch nastąpił wewnątrz przedziału silnikowego, czy na zewnętrznej kadłuba. Załoga nie dysponowała żadnym sprzętem do nurkowania, a nawet gdyby go miała, niewiele by pomógł. Rufa pograżyła się w rzecznej muli i bez podniesienia jednostki ocena uszkodzeń była niemożliwa. Właśnie lepiej sprawy wyglądały od strony samego zalanego przedziału. Eksplozja rozerwała jakies zbiorniki czy przewody z paliwem i mętna woda była

dotatkowo pokryta grubą warstwą ropy. Nie było ochotnika, który gotów byłby zanurkować w takiej breji.

Na szczęście, jak Schäfer i Beger wkrótce ustalili, woda nie dotarła do ładowni, w której znajdowały się skrzynie z wyposażeniem i zaopatrzeniem wyprawy – ulokowane głównie na dziobie. Przystań była o tej porze praktycznie opuszczona, znajdowała się w zakolu rzeki z dala od jakiegoś zauważalnego osiedla, a nawet gdyby można by liczyć na jakąś pomoc, to nie było bynajmniej oczywiste, że to w jakikolwiek sposób polepszy sytuację. Na razie kierownictwo ekspedycji było i tak względnie zadowolone, że ładunek i ludzie nie doznali żadnego uszczerbku. Po chwili przyszła rzecz jasna refleksja nieco bardziej ponura. Było już oczywiste, że ktoś ma zamiar stoperdować całe przedsięwzięcie i może spróbować jeszcze raz, w bardziej sprzyjających okolicznościach.

Brandt dopiero zaczynał rozumieć dlaczego misja związana z tajemnicą „kamienia Hitlera“ była jego wyłączną domeną a Himmler zachował informacje o niej w tajemnicy, przynajmniej przed niektórymi członkami wyprawy. Zaczynało do niego też docierać dlaczego nie przekazał Brandtowi żadnych szczegółowych instrukcji w tej sprawie. Teraz nie było to już potrzebne. Najwyraźniej Reichsführer uznał, że naukowiec sam dojdzie do wniosku, że utajnienie jest zasadne i zacznie działać zgodnie z właściwymi zasadami w trosce o własne bezpieczeństwo.

Gdy zaczęło świtać a ładunek został już zabezpieczony i częściowo przeniesiony na górny pokład, Brandt zorientował się, że Schäfer i Beger – dwaj najważniejsi ludzie na pokładzie, rozpoczęli tajną naradę w sąsiedniej kajucie na temat dalszych działań. Najwyraźniej podejrzewali, że sabotażysta ukrywa się wśród załogi – pomyślał Brandt. Teraz, gdy silniki już nie pracowały, statek wypełniała cisza i Brandtowi udało się podsłuchać sporą część rozmowy. Dotarło do jego uszu, że wciąż rozpatrywano dwa warianty: albo był to atak z zewnątrz, albo ładunek wybuchowy podłożył ktoś z ludzi im znanych. Zastanawiali się nad poszczególnymi osobami. Siebie samych wykluczyli, gdyż znali się od dawna wystarczająco dobrze. Rozmawiali na temat Brandta, ale z uwagi na rekomendację Reichsführera uznali, że on jest sprawcą mało prawdopodobnym. W rozmowie pojawiały się i inne nazwiska. Najwięcej podejrzeń dotyczyło dwóch: zamkniętego w sobie archeologa Webera oraz specjalisty od religii Wschodu, Pazingera. O tych dwóch ludziach wiedzieli z kolei zbyt mało, aby dyskusja mogła zaowocować jakimiś konkluzjami. Wyrazili zadowolenie, że ani jeden, ani drugi nie mieli dostępu do wszystkich dokumentów wyprawy, w szczególności do map i w związku z tym mieli zbyt mało danych, aby w szczegółach zaplanować ewentualny

Kolejny zamach. W Rzeszy – stwierdził Schäfer – natychmiast przekazalibyśmy sprawę Gestapo albo służbie bezpieczeństwa SS, a tutaj nie było nawet możliwości powiadomienia Berlina, nie mówiąc nawet o odebraniu jakichkolwiek informacji... Ostatecznie nie ustalono niczego, poza tym, że trzeba będzie rozpocząć podróż drogą lądową przez Sinkiang znacznie wcześniej niż planowano. Było przy tym oczywiste, że w grupie obowiązywać będzie większa niż dotychczas czujność. Brandt szybko jednak uzmysłowił sobie, że przy braku możliwości otrzymania jakiegokolwiek znaczącej pomocy i przy chwilowym braku nadziei na łączność z Rzeszą, przewaga będzie leżeć po stronie przeciwnika, który de facto będzie miał względną swobodę działania. Nie był wprawdzie specjalistą od dywersji ani od stosowania materiałów wybuchowych, lecz pomimo tego szybko doszedł do wniosku, że zamach, jakikolwiek miał cel, przeprowadzony został przez amatora. W tej konkretnej sytuacji nie mógł przecież wyrządzić poważnych szkód, tak jakby sprawca, jeśli była to jedna osoba, nie zdał sobie sprawy, że rzeka w tym miejscu jest niewiele głębsza niż zanurzenie okrętu, który w związku z tym po nabraniu wody raczej nie zatonie...

Po „naradzie tajnej“ na pokładzie, odbyła się narada jawna, z udziałem całej załogi. Było jasne, że trzeba będzie wyjść na brzeg, że ktoś będzie musiał iść z „misją zwiadowczą“ w celu zdobycia jakichś środków transportu. Na szczęście ekspedycja dysponowała wystarczającymi finansami się ponieść dodatkowy koszt związany z wynajęciem ciężarówek czy wozów. Wciąż „parametrem krytycznym“ był jednak czas. Poszukiwania w Tybecie miały zostać zrealizowane przed opadami śniegu w górach.

Brandt zgodził się na ochotnika do przeprowadzenia „zwiadu“ w związku z doskonałą znajomością języków wschodnich, choć jego „kandydatura“ opierała się ze sceptycznym przyjęciem Schäfera, który nie chciał powierzać tak kluczowego zadania osobie młodej i niedoświadczonej. Ostatecznie on sam zdecydował się wyruszyć na ląd, i to niezwłocznie. Cała ekipa zjadła wspólne śniadanie na pokładzie, korzystając ze sprzyjającej, ciepłej pogody i słońca, po czym Schäfer wziął plecak z podstawowym wyposażeniem i wyruszył w stronę najbliższej wioski. Zadeklarował, że wróci w ciągu trzech dni, w przeciwnym razie pozostali mieli rozpocząć jego poszukiwania. Początek wyprawy nie zapowiadał się więc zbyt zachęcająco. Brandt miał wrażenie, że w miarę zagłębiania się w coraz mniej cywilizowane tereny, takie jak zachodnie Chiny i Tybet należało zdecydowanie uznać, zagrożenia którą stawały się coraz większe.

Rozpoczął się więc okres niepewności i oczekiwania. Zgodnie postanowiono, że w tym czasie nikt nie będzie opuszczał statku a broń będzie trzymana

w pogotowiu, pod strażą samego Begera, w jego kajucie. Roztropnie ustalono, że lepiej będzie nie dawać jej do ręki osobom uważanym za niesprawdzone. Po uporządkowaniu sprzętu wszyscy zajęli się swoimi sprawami, niektórzy udali się nawet do swoich kajut aby kontynuować przerwany sen. Brandt zauważył jednak, że Beger nie jest wcale w nastroju do snu i korzystając ze względnej spokoju postanowił go zagadnąć w najbardziej aktualnie nurtującej kwestii – ustalenia tożsamości ewentualnego sabotażysty, mogącego być przecież wraz z nimi na pokładzie. Zaproponował mianowicie, aby pod jakimś pretekstem pozbyć się na pewien czas najbardziej niepewnych ludzi i skrycie przeszukać ich bagaże. Jeśli – tłumaczył – ktoś taki podłożył spory ładunek wybuchowy, to najprostszym sposobem sprawdzenia czy nadal stanowi zagrożenie będzie sprawdzenie, czy nie posiada kolejnych ładunków, względnie podobnie niebezpiecznych przedmiotów. Pomysł ten wywołał pewne zaskoczenie, tak jakby Beger był wciąż zbyt zszokowany aby trzeźwo analizować sytuację, jednak spotkał się z pozytywnym przyjęciem. Obaj ustalili, że zajmą się tym osobiście, i to jeszcze tego samego dnia – przed powrotem Schäfera i ewentualnym przeladowywaniem sprzętu. To przecież stwarzałoby kolejną okazję do podłożenia ładunku wybuchowego, wyrzucenia map do rzeki czy wyrządzenia innych szkód.

Beger wyznał przy tej okazji swojemu koledze w tajemnicy, że „szef” – czyli Schäfer przewozi w swym bagażu kopie akt personalnych wszystkich członków ekipy, w tym w szczególności tych najsłabiej znanych, jednak nie konkretnego z nich nie wynika. Weber jest tam opisany jako zagorzały narodowy socjalista, archeolog współpracujący z organizacją Deutsches Ahnenerbe. Dotychczas był zaangażowany w wykopaliska na terenie pogańskich miejsc nadnaturalnej mocy, znanych jako Externsteine (dosłownie: niezemskie skały lub kamienie). W miejscach tych przed tysiącami lat odbywały się ceremonie religijne, podczas których składano ofiary świadczące o tradycji i kulturze dawnych Germanów. Poza tym Weber wydawał się być „normalnym” archeologiem, w kartotece nie odnotowano kompromitujących kontaktów czy wydarzeń. W przeciwnym razie nie zostałby rzecz jasna zaangażowany...

Jeszcze mniej było informacji o Herbercie Pazingerze, w dużej mierze dlatego, że nie był członkiem SS. Wiadomo było w zasadzie tylko, że jest religioznawcą studiującym religie Wschodu i byłym księdzem, wykluczonym z Kościoła za otwarte poparcie ideologii nazistowskiej. Było to zdecydowane nie za mało aby można było sformułować jakiegokolwiek zarzuty, czy nawet podejrzenia. Brandt i Beger zaczęli się zastanawiać nad pretekstem, który mógłby posłużyć do czasowego pozbycia się obu z pokładu stojącego na

mieliznie statku. Żaden z nich nie znał chińskiego, więc wysłanie ich w celu nawiązania kontaktu nie wchodziło w grę. Trochę się nad tym zastanawiali, aż w końcu przyszedł im do głowy pomysł najprostszy z możliwych – wysłać ich aby rozejrzeli się po okolicy i ustalili dokąd prowadzi droga od zaplanowanej przystani. Mieli rozejrzeć się w promieniu kilometra i wrócić w ciągu godzin... Nie pozwolono im zabrać żadnej broni – „w obawie przed spowodowaniem jakiegoś incydentu”. Pod nieobecność „szefa” rolę najwyższej inżynierii pełnił Beger i obaj, chcąc nie chcąc, musieli wykonać polecenie bez żadnej dyskusji.

Przekazano im je dopiero około południa, aby uniknąć atmosfery pilności i zbędnego napięcia. Oczywiście istniała też możliwość, że sabotażysta ukrywa się wśród samej załogi statku, ale ponieważ nie wiedzieli oni aż do ostatniej chwili jakie zadanie będą realizować, i dla kogo, zagrożenie z tej strony wydawało się znacznie mniej prawdopodobne. Weber i Pazinger wyszli więc na ląd i wkrótce zniknęli za bambusowymi zaroślami porastającymi brzozy. Jeden z budzących zaufanie marynarzy obserwował ich jeszcze z ukrycia aby upewnić się, że faktycznie oddalili się na bezpieczną odległość. Beger i Brandt zabrali się więc wspólnie do „pracy”, zaczynając od kajuty Webera. Była ona wprawdzie zamknięta na klucz, okazało się jednak, że kapitan, który w tej sytuacji zmuszeni byli obdarzyć zaufaniem, miał drugi komplet kluczy – nie było więc problemu z otwarciem. Naukowiec zabrał w podróż tylko dwie ciężkie, skórzane torby. Trochę ubrań i książek leżało w różnych rogach kajuty. Obaj ostrożnie otworzyli torby i wyjęli ich zawartość. Ujrzeni ubrania, sterty notatek, sprzęt do wykopalisk archeologicznych i... niewiele więcej. Skoncentrowali się więc na przewertowaniu notesów z zapiskami archeologa, ale i tu nie zauważyli niczego podejrzanego. Nic nie wpadło im do głowy... Zajrzeli więc pod łóżko i we wszelkie zakamarki. Nic. Pośpiesznie pakowali więc wszystko z powrotem, tak dokładnie jak tylko mogli – gdyż musieli nagli i opuścili ciasną kajutę. Przeszli do pomieszczenia zajmowanego przez drugiego z „podejrzanych”. Tu znaleźli torbę z ubraniami i plecak. Przeknięcie całości również nie zajęło zbyt wiele czasu. Większość bagażu stanowiły książki, biblia i drobny sprzęt w rodzaju noża, scyzoryka typu amerykańskiego, zapalek, naboje do rakiety – jednak bez niej samej, parę sznurek grubej liny, grube skórzane rękawice... Jednym słowem nic, co mogłoby stanowić jakiegokolwiek dowód. Brandta uderzył wprawdzie w nozdrza jakiś dziwny zapach, jakby pasty do butów czy czegoś podobnego. Na dnie torby znajdowały się zapiski odręczne w jakimś niezwykłym języku, nieznanym Brandtowi. Jedynie one wzbudziły większą uwagę, ale również nie mogły być żadnym dowodem. Obaj „śledczy” zastanawiali się później, czy

nie był to jakiś szyfr, jednak uznali, że równie dobrze mógł to być jakiś materiał do analiz, który badacz wziął ze sobą. Przeszukanie w najmniejszym sposób nie przybliżyło więc ich do wyjaśnienia tajemnicy a na bardziej drobiazgowo śledztwo nie było ani czasu, ani warunków.

Po mniej więcej godzinie obaj wysłani na zwiad wrócili z pocieszającą wieścią, że – jeśli dobrze zrozumieli miejscowych – znajdują się zaledwie o pół dnia marszu od miasta Fengdu, leżącego już w górnym biegu rzeki. Z mapy wynikało, że cel ich śródlądowego rejsu znajdował się niewiele ponad sto kilometrów dalej. Było nim duże miasto Czungking. Tam znajdowało się lotnisko, skąd wydzierżawiony samolot miał zabrać ekipę do Sinkiangu, na północ od Tybetu. Oczywiście jeśli informacje dostarczone przez zwiadców okazały się zgodne z prawdą...

Na szlaku Pierwszej Tajemnicy

Wszystkie dni cała grupa spędziła na rozpatrywaniu wariantów, opartych na założeniach sformułowanych na podstawie dostępnych informacji. Pierwsze wnioski nie wyglądały źle. Na razie nie mieli jeszcze poważnego opóźnienia i wciąż była nadzieja na realizację ekspedycji zgodnie z planem. Wszyscy rozpatrywali więc Schäfera i niecierpliwie oczekiwali na wieści od niego. Nie zastala ich na rozważaniach i dopiero następnego dnia rano sprawa się wyjaśniła. Na horyzoncie pojawił się najpierw tabun kurzu, po kilkunastu minutach dał się słyszeć warkot samochodów ciężarowych. Schäfer wrócił.

Wynajął dwie miejscowe ciężarówki z kierowcami. Zapewnił też kapitan statku, że wkrótce powinien dotrzeć do opuszczonej przystani holownik, dzięki któremu będzie możliwa naprawa uszkodzonego kadłuba. Okazało się, że statki znajdują się w miejscu ustalonym przez „zwiad“ i jest szansa dotrzeć do Czungkingu jeszcze tego samego dnia, 2 marca 1934 r. W mgnieniu oka kilkanaście ciężkich skrzyń z wyposażeniem i bagaże osobiste uczestników znalazło się na ciężarówkach. Przerwany został spokój oczekiwania na portowiu. Grupa miała zanurzyć się w egzotycznej rzeczywistości kraju, różniącego nie tylko inną kulturę niż Europa, ale stanowiącego zupełnie inny świat, inną cywilizację. Odbyło się uroczyste, acz pospieszne pożegnanie z załogą statku i oba pojazdy wkrótce zniknęły za horyzontem. Nie dla wszystkich było miejsce w kabinach, więc Brandt i Weber musieli odbyć podróż wśród skrzyń. Mieli okazję „delektowania się“ widokami chińskiej prowincji, choć w potwornych tumanach kurzu, który już po godzinie szczelnie pokrył skrzynie grubą, brązową warstwą. Widok „za oknem“ zdominowały pola uprawne z małymi chatkami w oddali i kolorowymi, stożkowymi parasolami zakrywającymi głowy tubylców. Wąskie uliczki prowincjonalnego miasta Fengdu pokonali bez zatrzymywania się. „Głębsze“ zetknięcie z miejscową rzeczywistością nastąpiło dopiero w Czungkingu. Ciężarówki musiały przeciskać się przez tłumy podobnie ubranych Chińczyków szczelnie wypełniających ulice. Nie naliczyli zbyt wielu samochodów osobowych. W większości składało się w większości z małych, drewnianych i parterowych

zabudowań. W oddali wznosiły się dymiące kominy. Całość robiła przygnębiające wrażenie drewnianego mrowiska, przykrytego blachą falistą i pośladowanymi dachówkami. Co jakiś czas zmysły podróżników uderzały ostre zapachy, pochodzące z niezliczonych kuchni ustawionych na otwartym powietrzu i straganów, na których oferowano najbardziej egzotyczne przysmaki: od psów pieczonych na ruszcie i węży żywcem obdzieranych ze skóry bezpośrednio przed przyrządzeniem, po szczury nadziane na patyki i małe jak wróble nietoperze. Uzupełniającym źródłem bukietu zapachowego były śmiecie zalegające uliczne zakamarki. Chiny pierwszej połowy dwudziestego wieku widziane z perspektywy ciężarówka były jednak niczym w porównaniu z wrażeniami, jakie wszystkich czekały po dotarciu na miejsce. Hotel, do którego prowadził ich Schäfer był jednym z niewielu solidnych, murowanych i wielopiętrowych budynków w mieście. Wyraźnie zaprojektowano go w oparciu o wzorce europejskie i zapewne głównie dla Europejczyków. Tak przynajmniej wyglądało to z zewnątrz. Z bliska okazało się, że być może takie były założenia architektoniczne, w środku nie było jednak żadnego śladu europejskiej cywilizacji. Najwyraźniej miał on najlepsze lata dawno za sobą. Skrzynie zostały na ciężarówkach, które wydzierżawione były aż do następnego dnia. Noc wszyscy mieli spędzić w hotelu natomiast przed hotelem wkrótce pojawiło się dwóch policjantów do pilnowania cennego ładunku – a odzwierciedlało to zaledwie część zdolności organizacyjnych Schäfera! Na parterze budynku, od strony ulicy znajdowała się miejscowa restauracja, choć raczej przypominała średniowieczną gospodę w chińskim wydaniu. Wszyscy Niemcy, zmęczeni podróżą i głodni, wkroczyli do tego „lokalu” przez wahadłowe jak w „westernowych” saloonach drzwi, chociaż tutaj pomalowane na jaskrawy kolor czerwony. W gęstej od dymu i tłustych oparów atmosferze ich obecność nie została najwyraźniej od razu zauważona. Prawie wszystkie stoły, znacznie większe niż w Europie i okrągłe, wypełnione były mężczyznami, w większości w tradycyjnych pikowanych kaftanach. Przy jednym ze stołów tłoczyła się cała rodzina z pięciorgiem małych dzieci. Inni zajmowali jacyś przyjeźdźni o bardziej niż pozostali skośnych oczach i w jedwabnych mongolskich strojach – tradycyjnych terłykach. Grupa zajęła jedyny wolny stół w rogu, blisko kuchni i głodni podróżni z dalekiego, egzotycznego dla miejscowych kraju, zaczęli zastanawiać się nad wyborem jakichś potraw – a wszystkie wyglądały wielce tajemniczo. Postanowiono raczej ukradkiem przyjrzeć się co jedzą inni, niż wybierać cokolwiek „metodą opisową”, z uwagi na ryzyko niespodzianek. W końcu Brandt, jako najlepiej władający miejscowym dialektem, otrzymał „polecenie służbowe” zamówienia na próbę porcji ryżu z mięsem i warzywami, jaki dostrzeżono przy sąsied-

niemu „mongolskim” stole. Nie próbowano dociec co konkretnie zmieszane jest z ryżem, jednak ofiara eksperymentu nie uskarżała się, w związku z czym wartyści poszli w jego ślady. Zamówiono po porcji herbaty, jednak ku zaskożeniu większości okazało się, że zwykła, czarna herbata jest tu zupełnie nieznaną. Oczekując na upragnione dania wszyscy ciekawie chłonęli widoki egzotycznych scen rozgrywających się dookoła. Niektórzy dyskretnie obserwowali parę starszych, ubogo ubranych Chińczyków zajmujących drugi z sąsiednich stołów. Oboje jedli skuleni, jakby z namaszczeniem, cierpliwie i powoli podnosząc do ust każde ziarenko ryżu, jakie upadło na niezbyt czysty stół. Na cudzoziemców w ogóle nie spoglądali. W ogóle nie podnosili wzroku, nie rozmawiali. Zresztą w całym lokalu panował hałas i półmrok. Oboje stwarzali wrażenie przysłowiowych myszy kościelnych. Jednak tylko do czasu. Po paru minutach skończyli. Weber akurat dzielił się jakimiś filozoficznymi refleksjami, pozbawionymi konkretnej treści w rodzaju „co kultura to kultura” gdy jeden z owych cichych biesiadników zakończył posiłek. Powoli odsunął od siebie talerz, zebrał się w sobie i gdzieś z dna własnych trzewi, przeżartych gruźlicą płuc (a może tylko przepalonych opium...), wydobyl straszliwy skarkot i nie ruszając się z krzywego krzesła splunął soczyscie w bok. Nie spoglądał się szczególnie po otoczeniu, a może w ogóle słabo widział, dość że trafił w ścianę tuż obok stołu zajmowanego przez wysłanników Tysiącletniej Floty. Drugi rychło postanowił pójść w jego ślady i dotrzymać kroku, dla dodatnia powagi sytuacji dodatkowo głośno pociągając nosem. Oznaczało to, że porządnie się najedli a posiłek im smakował. Nie byli zainteresowani reakcją siedzących przy sąsiednich stołach, a i pozostali, miejscowi goście lokalu gastronomicznego nie zwrócili na ten incydent najmniejszej uwagi. Przybycie z dalekiej Europy poczuli się wyjątkowo nieswojo. W końcu przyniesiono posiłki na zabytkowych, według standartów europejskich, porcelanowych talerzach. Okazało się jednak, ku przerażeniu niektórych, że nie przewidziano sztućców. Co bardziej przewidujący wyjęli z kieszeni blaszane niezbędne sztućcami, pozostali zmuszeni zostali do wzięcia pierwszej – i nie ostatniej – lekcji posługiwania się drewnianymi pałeczkami. Wśród obsługi i pozostałych gości wywołało to ironiczne uśmiechy, skwitowane grymasami twarzy oraz niezbyt zrozumiałym nawet przez Brandta słowem *lomoza!* – przypuszczał jedynie, że oznacza „szmate”. Mimo wszystko posiłek był jak najbardziej strawny, choć rodzaju mięsa nie ustalono, a w kraju tym możliwości w tym względzie były nieskończone. Całe szczęście pomyśleli niektórzy – że w mieście tym mieli spędzić tylko jedną noc (dotarli do niego dołownie w ostatnim momencie). Dalej może będzie lepiej...

Noc, która z uwagi na natężenie różnego rodzaju bodźców atakujących zmysły, byłaby w normalnych warunkach niespokojna, tutaj przyniosła szybki i głęboki sen. Rano, jeśli pojazdy wraz z towarem nie rozplyną się do tego czasu, mieli udać się na połowę lotnisko, na północ od miasta, gdzie podobno już czekał na nich samolot.

Brandt pomimo zmęczenia z poprzedniego dnia wstał jednak o świcie. Jego mózg starał się uporządkować chaotyczne informacje wzbudzające podświadomy niepokój. Przez okno obserwował budzące się do życia miasto. Małe drewniane wozy zaprzężone do koni i osłów, uwijające się po ulicach. Niektóre z drewnem, inne z deskami, „skarbami“ wyselekcjonowanymi ze stert odpadów... Przeszedł się na korytarz aby sprawdzić czy ciężarówka wciąż stoi. Stały, choć policjanci spali w najlepsze pomiędzy skrzyniami. Zgodnie z uzgodnieniami z poprzedniego wieczoru, nie było żadnego zbiorowego śniadania, każdy miał konserwy, które wraz z sucharami miały zaspokoić poranny głód. Starano się spożywać miejscowe potrawy tylko gdy to będzie konieczne lub z jakiegoś powodu wskazane; i wyłącznie te gotowane lub smażone. Wykluczono spożywanie czegokolwiek, zwłaszcza nieznanego, na surowo.

Po „frontowym“ śniadaniu wszyscy zebrali się na dole, przy okienku staronowiącym odpowiednik recepcji. Po załatwieniu formalności i obudzeniu kierowców śpiących w szoferkach, wrócili „na szlak“. Mieli tego dnia przystąpić do właściwej eksploracji, w tym przypadku poświęcając się badaniom „rasowym“ w Sinkiangu, odległym o ponad 1600 km. W porównaniu z przeżyciami z poprzedniego dnia, przejazd na lotnisko wydał się monotony. Zajął nie więcej niż pół godziny, choć okazało się, że termin „lotnisko“ jest sporo przesadzony. Była to po prostu wielka zielona płaszczyzna z drewnianym budynkiem i stadem owiec pasących się nieopodal. Za budynkiem stał stary samochód ciężarowy przerobiony na cysternę, po samolotach jednak nie było żadnego śladu. Trochę czasu upłynęło zanim znaleźli kogoś z obsługi. Był nim, jak się okazało, Amerykanin, przedstawiciel chińsko – amerykańsko – niemieckiej firmy przewozowej, do której miał należeć teoretycznie stojący na lotnisku *Dornier*. Nie było więc przynajmniej problemu z dogadaniem się. Amerykanin, jeszcze zanim zdążono go zapytać, uprzedził żeby nie przejmować się samolotem. Pilot całą noc naprawiał jeden z silników i polecał sprawdzić, czy działa jak należy. Powinien wrócić w ciągu kilkunastu – kilkudziesięciu minut. Grupa rozładowała wszystkie skrzynie i inne bagaże i rozsiadła się na nich wypatrując ciemnego kształtu na horyzoncie. Brandta naszła niemiła refleksja. Jeśli – pomyślał – wśród nas wciąż znajduje się sabotażysta, to największe możliwości popisania się będzie miał przeciw-

właśnie teraz, w czasie lotu, kiedy ewentualny zamach z pewnością położyłby definitywny kres ekspedycji. Pocieszał się jedynie myślą, że człowiek ten może nie zechce zostać samobójcą. Refleksje te znów wprawiły go jednak w niezbyt wesoły nastrój. Znajdowali się tak daleko od kraju, w samym środku pustkowia...

Lotownie, jak zapowiedział przedstawiciel kompanii transportowej, po kilkunastu minutach dał się słyszeć warkot silników lotniczych a chwilę później wśród drzew wyłonił się ciężki *Dornier*. Łagodnie dotknął kołami trawiastej powierzchni i podkołował do miejsca w którym rozstawiono cały ładunek. Pilot, również Amerykanin, był w doskonałym humorze. Najwyraźniej jego sprzęt sprawował się w czasie lotu znakomicie. Przywitał się ze wszystkimi. Tak się okazało, znał nawet trochę niemiecki, zbyt często wykonywał zlecenia dla licznych firm niemieckich działających w tym kraju. Ponaglił jednak całą grupę i stwierdził, że jeśli wszyscy mają bezpiecznie dotrzeć do celu przed zmrokiem należy pośpieszyć się z załadunkiem i wystartować w ciągu pół godziny. Rozpoczął się więc pospieszny załadunek drewnianych skrzyń, które wciągano do kadłuba przy pomocy lin po drewnianej pochylni, jaką pilot wystawił przez boczne drzwi maszyny. Człowiek z „obsługi naziemnej“ podjechał rozklekotaną cysterną i rozpoczął tankowanie. Rozpoczynał się kolejny etap niezwyklego przedsięwzięcia...

Ładunek znalazł się w tylnej części kadłuba, natomiast pasażerowie zajęli miejsce za kabiną pilota. Brandt usiadł przy oknie. Patrzył jak zielona murawa coraz szybciej przesuwa się pod skrzydłami, choć po minucie zaczął mieć poważne wątpliwości, czy obciążony do granic możliwości samolot w ogóle będzie oderwać się od ziemi. Toczył się coraz szybciej, co chwila podskakując na nierównościach, ale istotnie wzniesienie się w powietrze nie było zadaniem łatwym. A może – pomyślał – silniki jednak nie działają jak należy? Rozbieg był przeradzającą się w przerażenie długim, ale mimo wszystko start się powiódł, chociaż tuż po tym, załadowie parę metrów pod skrzydłami przemknęły blaszane dachy miejscowych zabudowań. Zaczęło się, w końcu – jeszcze raz Brandt uległ nerwowej atmosferze. Jak usłyszał od Begera jeszcze podczas rejsu Germania, z tym etapem podróży ekipa wiązała bardzo duże nadzieje, a jego rozmówca, choć antropolog, traktował to jako główny jej cel. Już od pewnego czasu kierownicy himmlerowskiej organizacji paranaukowej *Deutsches Ahnenerbe* otrzymywali sygnały, m.in od współpracujących z nimi Chińczyków, że na wschodzie niemal zapomnianej przez naukowców europejskich zachodniej prowincji Sinkiang już od pewnego czasu znajdowane są pozostałości jakiejś dawnej kultury, w niczym nie przypominającej znanych cywilizacji azjatyckich. To samo twierdził „nadworny orientalista“ Hitlera i Himmlera, Szwed

Sven Hedin, który wielokrotnie podejmował wyprawy w ten rejon i był jednym z największych autorytetów europejskich w tej dziedzinie. Na podstawie tych strzępów informacji pojawiła się nadzieja, której sprawdzenie było dla Himmlera sprawą prestiżową – że może uda się dotrzeć do materialnych dowodów istnienia nieznanego wcześniej odłamu białej rasy w Azji centralnej. Pikanterii poszukiwaniom dodawała bardzo ważna zarówno dla szefa SS, jak i dla szwedzkiego profesora okoliczność, że Sinkiang stanowił najbardziej prawdopodobną lokalizację mitycznej Agharty – vel Szambali, będącej tematem niezliczonych opowieści ukrytej krainy, zamieszkałej kiedyś rzekomo przez „rasę mędrców”. Świadomość, że ekspedycja zapuszczała się w wyjątkowo słabo skażoną cywilizacją część świata wywoływała atmosferę oczekiwania na potencjalnie przełomowe odkrycie, które samemu przedsięwzięciu było przecież bardzo potrzebne. Nawet Brandt, chociaż był w tych sprawach najslabiej zorientowany, zaraził się tym gorączkowym nastrojem, podnieceniem i napięciem, jakie niemal unosiło się w powietrzu.

W czasie pięciu godzin lotu niektórzy po pewnym czasie zasnęli, pomimo przerażającego warkotu pracujących na maksymalnej mocy silników. Brandt jednak nie spał, podobnie jak siedzący obok niego Bruno Beger. Ten ostatni poprosił Brandta na krótką rozmowę i obaj przeszli w stronę ogona, do części bagażowej, gdzie byli praktycznie niesłyszalni przez pozostałych. Beger powiedział jedynie swemu koledze, że jeszcze w Czungkingu Schäferowi udało się wysłać do Niemiec telegram, w którym poinformował osobistego adiutanta Himmlera, SS-Sturmführera Karla Wolffa o problemie z sabotażem. Prosił o dokładne sprawdzenie tożsamości uczestników, ze szczególnym wskazaniem na Webera i Pazingera oraz zastrzegł, że w sytuacji zagrożenia będą działać „stosownie do potrzeby chwili”. Telegram był, zgodnie ze słowami Begera, raczej formalnością, jako że nie było bynajmniej jasne kiedy i jak można będzie odebrać jakąkolwiek wiadomość zwrotną z „centrali”. Beger uznał za stosowne poinformowanie o tym swojego kolegi, co ten odebrał jako dowód obdarzenia go pełnym zaufaniem. Obaj wymienili jeszcze „rutynowe” uwagi; o tym, że należy cały czas pilnie obserwować obu „podejrzanych”.

Czas na rozedrganym i hałaśliwym pokładzie samolotu dłużył się niemiłosiernie. Na szczęście przynajmniej pogoda dopisała, no i silniki pracowały póki co zgodnie z planem. Po pięciu godzinach, dokładnie zgodnie z obliczeniami pilota, *Dornier* zaczął się zniżać. To jednak nie oznaczało jeszcze dotarcia do celu, rozpoczęło się bowiem krążenie w poszukiwaniu lądowiska. Słońce chyliło się już ku zachodowi, zapasy paliwa były na wyczerpaniu, a cały czas za oknami widać było jedynie niekończący się, jałowy step,

strzony jedynie niewielkimi wzniesieniami i stadami bliżej nie rozpoznawalnych zwierząt. Pilot, jak się okazało, szukał... miasta, osady jaka miała znajdować się gdzieś w tym rejonie. W końcu coś podobnego pojawiło się z polu widzenia, choć lądowanie odbyło się ze zwyczajnej konieczności wywołanej brakiem paliwa, a nie z przeświadczenia, że cel został odnaleziony.

„Miasto” bowiem, noszące mongolską nazwę Cherchen, okazało się być jedynie większą stepową osadą. Cel został więc odnaleziony niejako przez przypadek, co wydawało się olbrzymim łutem szczęścia na tym bezkresnym i porzwanym cech charakterystycznych pustkowiu. Samolot wykonał ostatni krąg nad jakimiś jurtami, pomiędzy którymi w wieczornym mroku coraz ostrzej odcinały się płomienie koczowniczych ognisk, kiedy... zgasty silniki, każdy po jednym, a chwilę po tym drugi. Po chwili kadłub wypełniła cisza jak wakiem zasiał. Na szczęście maszyna nie wytraciła prędkości na tyle, aby nie była w stanie wylądować. Niewątpliwie było to zasługą doświadczonego pilota, który z pewnością miał już na koncie wiele lądowań w przygodnym terenie. Nie było to jednak lądowanie miękkie i należało uznać za prawdziwy cud, że przykre konsekwencje ograniczyły się jedynie do nieco mocniejszych niż zwykle wstrząsów. Za to bezpośrednio po otwarciu drzwi jakiś miejscowy pastor siał gromy w stronę metalowego potwora, któremu zawdzięczał rozproszenie pasącego się w miejscu lądowania stada.

Ponieważ samolot i tak nie mógł wystartować tego samego dnia, i w ogóle nie mógł się ruszyć z miejsca przed „zorganizowaniem” paliwa, w jakiś jeszcze zupełnie nieznanym sposobie, a atmosfera na zewnątrz nie wydawała się sprzyjająca, wszyscy podjęli zgodnie decyzję o spędzeniu nocy wewnątrz kadłuba. Tu mogli jeszcze czuć się względnie bezpiecznie i obyło się bez rozkładania namiotów na jedną tylko noc. Na tą jedną noc wysłużony *Dornier* stał się ich domem... Jedynie Schäfer zdecydował się wyjść na zewnątrz, zabierając ze sobą Brandta jako językoznawcę, w celu załagodzenia szykującego się konfliktu z miejscowymi i zebrania paru informacji. Wzięli ze sobą jeden z „obowiązkowych” zestawów podarunkowych, jakie szczelnie wypełniały jedną ze skrzyń, w tym przypadku lśniący karabin snajperski Mausera wraz z amunicją i rozpoczęli poszukiwania przywódcy miejscowego plemienia czy szczepu. Zniknęli na dobre kilka godzin, wzbudzając niepokój w samolocie-obozowisku. Kacyk został bowiem odnaleziony a Mauser przypadł mu do gustu...

Noc upłynęła jeszcze raz na próbach zorientowania się w miejscowych warunkach, a szczególnie możliwości dotarcia do rejonu prac archeologicznych. Obawy w tym względzie były całkowicie uzasadnione. Istotnie okazało się, że transport przy pomocy ciężarówek jest tu zupełnie nierealny.

Rano wszystkich zbudziło... bęczenie baranów „za oknem“. Okazało się, że kacyk, właściciel nowego Mausera, poczuł się zobowiązany do wzajemności, zgodnie z miejscową tradycją. Nieznane było tu zjawisko dawania prezentu ot tak, dla zyskania samej tylko przychylności. Kacyk przysłał więc nad ranem pasterza ze stadem baranów, które jako pożywienie miały stanowić formę zapłaty. Nie sposób było odmówić – tym bardziej, że chwilowo członkowie ekspedycji i tak nie mieli dokąd pójść. Pasterz rozpałił ognisko a następnie rozpoczął rzeź kilku sztuk. Dostał polecenie ugoszczenia gości. Gdy Niemcy wyszli z samolotu, mieli więc gotowe śniadanie, chociaż intuicja mówiła im, że zanosi się raczej na nieco dłuższy pobyt w tym miejscu. Rozpoczęli konsumpcję palcami, popijając przygotowaną przez „sługę“ herbatą, zieloną, zaprawioną zjełczalym masłem i kobyliim mlekiem. Mieszkaniec stepu podawał czarki z takim namaszczeniem, że zlekceważenie jego oferty byłoby wielce niebezpiecznym nietaktem. Tym bardziej, że jak się okazało, herbatę europejską uważa się tu jako niegodną spożycia. Z tego samego powodu zmuszeni byli znieść hurtowe ilości czosnku dodawanego do baraniny. To był zaledwie wstęp. Po jakimś czasie przybył sam kacyk, i to z niemalą, kolorowo odzianą delegacją sąsiednich plemion: Kazachów i Derbetów. Tym razem należało przejść na drogę dyplomatyczną – zadecydował Schäfer. Z pomocą Brandta rozpoczął negocjacje mające na celu wybrnięcie z impasu, w jakim cała grupa się znalazła. Za kolejne prezenty (fami o poprzednich najwyraźniej daleko się rozniosła) udało mu się wyjednać wypożyczenie całej karawany wielbłądów, wraz z przewodnikiem, oraz umożliwienie pilotowi pozyskania paliwa.

Tym stosunkowo tanim sposobem można było ruszyć naprzód. Znacznie mniej zadowolone z takiego obrotu spraw były wprawdzie wielbłądy, gdy grubymi powrozami z wełny jaków mocowano im po bokach ciężkie ładunki. Ryczały przeraźliwie, ale w końcu mogły jedynie wyrazić protest... „Wierchowce“ za żadne skarby nie chciały się podnieść, objuczone skrzyniami i tobołami. Jeden z nich ugryzł swymi krzywymi zębami doktora Webera pomagającego w mocowaniu pakunków. Wzrok zwierzęcia przepełniony był trudnym do opisania jadem. Wielbłąd przełykał spienioną ślinę cały czas spoglądając spode łba na Niemca. Nie trzeba było eksperta aby odczytać to zachowanie jako wyraźną groźbę oplucia. Zwierzęta wydawały dziwne, choć równie jednoznaczne odgłosy. Weber spojrzał „buntownikowi“ prosto w oczy a ten z kolei rozpoczął chrząkanie i coś w rodzaju bulgotu, układającego się jakby w całe frazy i przypominającego przez to jakiś niezrozumiały plugawy język. Brzmiało to niemal jak wiązki przekleństw. Wszyscy byli to demonstracją braku współpracy nieco przerażeni. Miejscowy przewodnik

szybko jednak rozwiązał problem. Zademontrował środek ostateczny, przewidziany na taką okoliczność. Był nim sznur przywiązany do drewnianego kołka przelożonego przez nos wielbłąda. Jedno mocniejsze pociągnięcie kończyło bunt i zwierzę wstawało bez ociągania się. Później, już w trakcie przemarszu wydarzenia te zainspirowały długi spór na temat mentalności zwierząt. Roskownicy dali upust swym zdolnościom analitycznym dzieląc zwierzęta na sympatyczne, optymistyczne, antypatyczne, złośliwe itp. Gęsi na przykład uznano zgodnie za wrogie w stosunku do wszystkiego co chodzi...

Dla prawie wszystkich uczestników była to niezapomniana przygoda, choć raczej kłopotliwa. Jedynie Schäfer sprawiał wrażenie jakby znalazł się w siódmym niebie, najwyraźniej dopiero teraz uważał wyprawę za rozpoczętą. Noc spędzono jeszcze na pochyłym pokładzie samolotu, ale już o świcie następnego dnia można było rozpocząć wymarsz wielbłądziej karawany. Do partycia było „zaledwie“ może dwieście, może więcej kilometrów. Dystans ten udało się pokonać w zaledwie cztery dni. Każdej nocy trzeba było rozbić prowizoryczne obozowisko, co jednak miało i tą zaletę, że pozwalało codziennie spożywać gorący posiłek. Step sprawiał monotonne wrażenie. Miał wprawdzie też pewną zaletę – do podróży, przy braku normalnych dróg, pasował się doskonale. Główną wadą były z kolei duże dobowe różnice temperatur – gorąco w południe i temperatury około zera w nocy. Na szczęście gorące napoje i... wódka pozwalały przynajmniej częściowo rozwiązać ten problem. Pomimo wielu przeciwności, tym razem szczęście całej grupie sprzyjało – obeszło się bez jakichkolwiek nieprzyjemnych „incydentów bombowych“. Ewentualny dywersant czy zamachowiec, jeśli nadal im towarzyszył, nie dawał o sobie znać. Być może zdawał sobie po prostu sprawę, że w tym niegościnnym terenie pozostawiony sam sobie wydałby na siebie krok śmierci.

Krajobraz zmienił się dopiero w momencie zbliżania się do doliny rzeki Jato, gdzie miały znajdować się stanowiska archeologiczne. Jałowy step ustąpił miejsca zielonej, wiosennej trawie, a w końcu terenom podmokłym. Przeszanie się w tym rejonie było bardzo trudne i niebezpieczne, więc wybrano przemieszczanie się w pewnej odległości od samej doliny, pobliskimi łańcuchami wysokimi wzgórzami. Stąd też znacznie lepiej było widać teren, zwłaszcza na drugim brzegu, gdzie pozostałości nieznanego jeszcze cywilizacji zostały odkryte. Przez cały ten czas Niemcy nie natknęli się na jakiegokolwiek oznaki cywilizacji współczesnej, tak jakby państwo chińskie w tym rejonie nie obejmowało Sinkiangu swoim zasięgiem. Jak na razie nikt im nie przeszkadzał w realizacji wyznaczonych jeszcze w Berlinie zadań.

Pod koniec ostatniego dnia wielbłądziej podróży, na horyzoncie, po drugiej stronie rzeki w polu widzenia pojawiła się niewielka osada. Pierwsza na jaką natrafiono w dolinie. Wyliczenia doświadczonego Schäfera były najwyraźniej dokładne, bo była to właściwa osada. W pobliżu znajdował się bród do przekroczenia rzeki i wieczorem, czwartego dnia, na obrzeżu osady rozbito obozowisko. Rzeka pozwalała uzupełnić zapasy słodkiej wody. Krystalicznie czysta i ciepła woda stwarzała wręcz uzdrowiskowe warunki do odpoczynku i kąpieli. W środku niegościnnego pustkowia znajdował się wąwóz – oaza, lśniący świeżą zielenią. Tak, to brzmi logicznie – pomyślał Brandt – tu mogła istnieć przed wiekami jakaś kultura, jakaś cywilizacja. Przecież dolina rzeki doskonale wpisuje się w schemat starożytnych „magistral komunikacyjnych” odkrywanych na osi wiodącej ze wschodniej do zachodniej Azji i Europy. Dopiero wtedy zrozumiał wielkie zalety tej, z pozoru tylko dziwnej lokalizacji. Przecież wiele tysięcy lat temu nie było dróg pokrywających całe części kontynentów i podróżowanie stepem, wzdłuż życiodajnej rzeki, było rozwiązaniem idealnym. Same Indie – na przykład, były wtedy nieprzebytą puszcza, gdzieś tam tylko upstrzoną polami uprawnymi lub pasmami górskimi. Step natomiast był jedną wielką autostradą...

Zmęczona podróżą i relacjami z wielbłądami ekipa położyła się do snu nie nawiązując kontaktów z miejscową ludnością. Rano jednak wieść o ich przybyciu rozniosła się lotem błyskawicy i doprowadziła do nieoczekiwanej pobudki. Pierwszy zbudził się odpowiedzialny za wielbłądy przewodnik, być może bardziej wyczulony na dziwne odgłosy. Podniósł alarm, który błyskawicznie wypłoszył z namiotów pozostałych.

Ich zdziwienie nie miało granic gdy ujrzeni przed sobą białego mężczyznę w garniturze i z laską w ręku. Kogoś, kogo można by się raczej spodziewać na ulicy któregoś z miast Europy. Był to przybyły ze Szwecji, samolotem przez Związek Radziecki, profesor Sven Hedin. Okazało się, że Niemcy mieli niezbyt aktualne informacje. Doszło bowiem do prawdziwego przełomu, wręcz przewrotu w naukach o prehistorii człowieka. Była to jednak rewolucja tajna. Hedin wypowiadając się przed kamerami kroniki filmowej powiedział jedynie enigmatycznie: „zawsze wierzyłem, że w środku pustyni, gdzie nie można spotkać żywej duszy, gdzie nie było dróg, można było znaleźć ślady starej cywilizacji”. Wprost o dokonanej rewolucji, o odkryciu tej cywilizacji, nie powiedział. W obliczu przełomu powody, czysto propagandowe, jakie skłoniły Himmlera do poszukiwania śladów białego człowieka w Azji zeszły na daleki plan i ustąpiły miejsca tajemnicy, nadziei na to że uda się dojść do pradawnej, zapomnianej dawno temu a jednak wciąż przydatnej niezwykle wartościowej wiedzy. Nagle zbyt żywa stała się legenda o Szam

ów i Agharcie – o tej „azjatyckiej Atlantydzie”. Tak niezwykle perspektywicznie odkrycie roztoczyło, tak było inne od tego, czego się w gruncie rzeczy spodziewano. Tak bardzo odbiegało od kanonu wiedzy akademickiej. Dopiero ponad dziesięć lat później (!!) cywilizację z Sinkiangu odkryto ponownie. Dziś jej istnienie nie stanowi już żadnej tajemnicy, ale również nie mówi się o wszystkich – tym razem aby nie przyciągać bez potrzeby nielegalnych łowców zabytków, choć w istocie oni tam byli już wcześniej. Ale wróćmy do lat sześćdziesiątych...

Hedin dał się zaprosić na wspólne śniadanie, podczas którego nowoprzybyli siedzieli zasluchani w niesamowite opowieści i spoglądali na profesora szeroko otwartymi oczami. Nie dali się więc długo namawiać na wycieczkę do pobliskiego miejsca prac. Zdecydowali się przenieść tam cały obóz. Przed ich oczyma ukazał się surrealistyczny widok. Teren prac był głębokim na kilka metrów, kwadratowym wykopem, w którym tkwiły mniejsze pagórki – to były obiekty jakie odkryto, przede wszystkim grobowce. Profesor Hedin potrafił zafascynowanym przybyszom wszystkim chyba znaleźć. Najbardziej fascynującym był dr Beger, w końcu była to jego domena, z jego punktu widzenia główny punkt wyprawy. Znalezione niewiele przedmiotów codziennego użytku, za to mumie (!) i tkaniny, jakimi je okryto znajdowały się w nieprzeobrażalnie dobrym stanie. Niektóre wręcz nie sprawiały wrażenia starych i stały były kolorowe, ukazywały niezwykle, głównie czarne, czerwone i białe ornamenty. Skóra mumii była zbrązowiała i pomarszczona, w niektórych miejscach odeszła od kości, jednak już włosy wyglądały „jak nowe”. A były to głównie włosy jasne – nie wypłowiałe, lecz blond. Niektóre mumie miały włosy ciemno rude. Byli to biali ludzie! To można było stwierdzić bez żadnych wątpliwości dzięki konserwującemu wpływowi pustynnego piasku, charakteryzującego się znaczną zawartością soli. Schäfer zamienił się na czas swojej wykopaliśk w dyżurnego fotografa wyprawy. Beger – antropolog spoglądał się mumiom zaskoczony, z wyraźnie rozszerzonymi źrenicami. Spoglądał się w oczy ich wysokie czaszki – „o nordyckich cechach”, jak ten się skwitowało. Brandtowi jednak nie kojarzyły się wcale z czaszkami Szwedów czy Skandynawów, lecz z wysokimi, płaskimi z przodu głowami Mongołów z Wyspy Wielkanocnej, którymi zainteresował się po wcześniejszej wyprawie Begera na temat Osi Świata – na pokładzie Germanii. W każdym razie wyraźnie kontrastowały one z niskimi czaszkami Mongołów zamieszkałych w późniejszych wiekach ten rejon, mającymi bardzo wyraźnie opadające łuki brwiowe i pochyłe, cofnięte czoła. Na temat mumii wywiązała się bardzo ożywiona rozmowa, głównie pomiędzy Hedinem a Begerem. Wskazywał ten drugi:

– Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że mamy do czynienia z odnalezieniem pozostałości nieznanego wcześniej odłamu rasy białej.

– Rasy nordyckiej drogi doktorze – „poprawił” go profesor.

– Co do tego nie byłbym wcale taki pewien – odparował uwagę zwolennik teorii związanej z Osią Świata.

– A to dlaczego?

– Dlatego, że nie jest to dokładnie taki sam typ antropologiczny, jaki widzimy dziś w Europie Północnej. Czaszki są nieco inaczej ukształtowane, przypominają raczej odmianę aimoidalną, znaną z północnej Japonii, z elementami nieistniejącej już odmiany protopolinezyjskiej, tak jakby była to jakaś wspólna, starsza gałąź. – Beger mógł popisać się swą niezwykłą wiedzą antropologiczną.

Przecież w Japonii nie ma białej ludności!

– Oczywiście, że jest – właśnie Ajnowie, choć dziś żyje już ich niewiele i są trochę przemieszani genetycznie z ludnością napływową, późniejszą.

Hedin, który wkroczył na „pole antropologiczne” szybko zmuszony był ustąpić tego pola znacznie bardziej kompetentnemu specjalście...

– Ale jak to jest możliwe, że istnieje tak wielka różnica pomiędzy tymi mumiami a ludnością mongoidalną, że ta ostatnia nie zdradza żadnych cech tej pierwszej, że nie doszło do żadnego wymieszania obu ras w Azji? – rzucił Hedin.

– To znaczy po prostu, że migracja „biała” miała miejsce i zniknęła ze sceny jeszcze wtedy, gdy nie było tu ludności mongoidalnej, względnie gdy jej przedstawiciele byli jeszcze stosunkowo nieliczni. Pokazywał pan nam intrygujący fragment drewnianego koła, może od jakiegoś wozu, a przecież wiadomo chociażby, że Mongołowie nie znali koła aż do czasów nowożytnych. Mamy dwa zupełnie różne światy. Ta cywilizacja, którą tu odkryto, była cywilizacją rolniczą. Widzimy resztki stałych zabudowań. Widzimy tkaniny z włókien roślinnych. Różni się od późniejszych kultur koczowniczych tak bardzo, jak to tylko można sobie wyobrazić.

– Jak to możliwe, że nie było żadnej „wymiany kulturowej”, no i tej genetycznej? To by musiało znaczyć, że biali dotarli tu jeszcze przed epoką lodowcową...

– Dokładnie tak, nie ma innego wyjaśnienia. W czasie gdy w pogoni za mastodontami skośnoocy myśliwi zapędzili się w te tereny, ta cywilizacja już dawno nie istniała. Już wtedy te mumie tu leżały, w kamiennych grobowcach ukrytych pod warstwą piasku. Być może przetrwały epokę lodowcową w stanie zamrożenia a klimat stawał się suchy jeszcze przy ujemnych temperaturach. Spowodowałoby to idealne odwodnienie ciał – idealną mumifi-

Widać przecież, że są to kompletne ciała, a pomimo tego nie zgniły, nie zmieniły się nie zdeformowały. Proszę zarazem zwrócić uwagę na grube ubrania, które całkowicie okrywają całe ciała.

Wspomnianymi zadziwiającymi elementami tej niezwykłej łamigłówki wyłaniającej się spod ziemi były dziwne ubrania – płaszcze, długie spiczaste kamizelki ze skóry i solidne, długie buty sznurowane wokół nóg. Dodawały one wyjątkowości, gdyż obraz jeszcze mniej pasował przez to do czegokolwiek znanego, nawet z Europy. Po rozmowie Hedin wrócił do „oprowadzania” gości po terenie:

– Jak widzicie, jesteśmy jakby na obrzeżu jakiegoś kompleksu cmentarnego może świątynnego. Można odnieść wrażenie że liczba grobowców zwiększa się w miarę zbliżania się do tego wzgórza – wskazał na niewielki pagórek w odległości, może sto metrów dalej. Cały czas posuwamy się więc w tamtą stronę. Właśnie dotarliśmy chyba do fragmentów jakiegoś kamiennego muru.

– A może całe wzgórze to kolejny grobowiec, tylko masywniejszy? – rzucił ktoś z tłumy Brandt.

– No, zobaczymy...

Podłoże wzgórza wydawało się intrygujące, gdyż odsłaniało płytę kamienną, która precyzyjniej obrobiona niż te widziane wcześniej.

W końcu, po godzinie okazało się, że to nie mur, lecz fragment dużego sarkofagu, wykonanego z jednego bloku granitu. Czegoś takiego wcześniej tu nie widziano, więc zrozumiałe było, że najnowsza sensacja przykuła wzrok wszystkich nowoprzybyłych. Być może kolejny przełom dokona się na ich oczach? Może dotrą do mumii jakiegoś władcy czy kapłana? Nie brakowało więc ochłonnych do pomocy przy odsłanianiu kamiennego bloku i przesiewaniu piasku w poszukiwaniu jakiś przeoczonych przedmiotów, fragmentów kości, skorup ceramicznych itp. Nawet Hedin nie był w stanie ukryć podekscytowania. Uwaga wszystkich skupiła się na tym jednym miejscu. W końcu odsłonięto całe masywne wieko sarkofagu. Miało ze dwadzieścia centymetrów grubości i ponad dwa metry długości.

Nie sprawdziły się jednak przewidywania większości badaczy. Wewnątrz nie było żadnego dostojnika, ani nawet wojownika, lecz... mumia dziecka. Miało mieć w chwili śmierci nie więcej niż pięć lat. Ubrane było nieco lepiej niż mumie widziane w innych grobach, choć miało podobne spiczaste nakrycie głowy. Tułów okrywał wełniany płaszczyk ozdobiony różnymi wzorami. Chociaż nie był to noworodek, u jego stóp ułożono podczas pogrzebu przedmioty towarzyszące dziecku za życia. Wśród nich wyróżniała się kunsztownie wyrzeźbiona zabawka drewniana, przedstawiająca może młodego konia oraz... butelka na mleko, ze smoczką z wymięcia owcy. Butelka była

skórzana. Wszyscy patrzyli na wnętrze kamiennego grobowca, otwartego być może po raz pierwszy od wielu tysięcy lat, z niemym skupieniem. Im dalej szli, tym ostrzej widzieli, że ich odkrycie zupełnie nie przystaje do znanych dotychczas schematów. A może wyraz zadumy wynikał z tego, że każdy próbował sobie wyobrazić wydarzenia, jakie się wtedy w tym miejscu rozgrywały – po drugiej stronie niezmiernego oceanu czasu. Obraz jaki się w wyniku tych rozważań wylaniał zmuszał do wyciągnięcia wniosku, że ludzie którzy to wszystko stworzyli reprezentowali zaskakująco wysoki poziom rozwoju. W podstawowych sprawach wydawali się operować podobnymi pojęciami jak ludzie współcześni.

– Wygląda na to, że oni dosyć mocno wierzyli w życie pozagrobowe – rzucił nie udzielający się dotychczas Pazinger.

Dla pozostałych ciekawsza była jednak refleksja na temat cech kultury, która pozwoliła im osiągnąć tak niezwykle postęp, w niczym nie porównywalny do dorobku innych ludów na tym kontynencie. Gdy tak wpatrywali się w otwarty sarkofag, czujny wzrok Schäfera spoczął jakby na odbłyśku światła od dziecięcego płaszczka. Jeszcze przez dłuższą chwilę Schäferowi wydawało się, że błysk wywołał jeden z kryształków kalcytu, jakie wyrosły na wewnętrznej powierzchni kamienia, spostrzeżenie jakby zepchnął na margines. Jednak, gdy błysk powtórzył się, choć był ledwo zauważalny, wzbudził już zastanowienie.

– Tam coś jest. – powiedział.

– Co? – zapytał ktoś inny.

– Tam coś jest pod płaszczem.

Wszyscy nachylili się nad mumią, aby lepiej się przyjrzeć, ale tylko Schäfer widział, że pod warstwą tkaniny znajduje się jakiś metalowy przedmiot.

– Przynieście szczypcę! – dodał.

Po chwili przybiegł jeden z archeologów, który odchylił połę ubrania.

– Rzeczywiście! – niemal krzyknął, walcząc ze zrywającym się nagle wiatrem, „próbującym“ zasypać odkryty grobowiec.

Napięcie w grupie rosło. Archeolog chwycił swym przyrządem coś wykonanego ze złota. Nie mógł jednak tego wyciągnąć, gdyż wyglądało na to, że przedmiot jest w jakiś sposób przymocowany. Zawieszony był na rzemieniu spoczywającym na szyi dziecka. Przyniesiono nożyczki i odcięto rzemień. To, co wydobyto, zdziwiło wszystkich, choć z różnych powodów.

Był to rodzaj złotego krzyża, choć raczej należałoby mówić o wielokątnej figurze geometrycznej. Wielokąt przypominający kwadrat o schodkowych brzegach – miał 28 boków i przy odrobinie wyobraźni mógł przypominać krzyż, jakby szereg wpisanych w siebie krzyży.

– Na pewno nie jest to tylko ozdoba, to musi być coś ważnego – zauważył Schäfer.

– Myślę, że wiem co to jest, choć to zaskakujące znalezisko... – enigma tyżnie dodał Beger.

– Co takiego?

– To niezwykle ważny symbol religijny, znany jednak z zupełnie innych części świata. To pradawny znak ucieleśnienia boga, charakterystyczny dla miejsc znajdujących się wzdłuż Osi Świata. Znalczono go w Mohendžo Daro i w innych miejscach znaczących szlak najstarszej migracji w poprzek naszego globu, przez Pacyfik. To znak najstarszej ziemskiej cywilizacji. W Południowej Azji nazywany jest „Krzyżem Awatara“ – czyli boga, który zstąpił na Ziemię oraz przyniósł prawa i wiedzę dla całej ludzkości. W Ameryce Południowej znany jest jako „Krzyż Andyjski“ lub „Chakana“. Ten symbol, i może ten kogo uosabiał, prowadził ich nicomylnie przez pół świata. To tajemnicze przesłanie...

To musiało to być jakieś bardzo ważne dziecko – niezbyt elokwentnie zauważył jeden z archeologów.

Dali mu to co mieli najcenniejszego, to był dla nich największy skarb. Tak, to nie był więc jakiś zagubiony na pustyni szczerp. Mamy odprysk czegoś znacznie większego...

„Krzyż“ znajdował się w idealnym stanie. Brandt wziął go do ręki przepełniony wrażeniem fizycznego kontaktu z przeszłością, niewyobrażalnie daleką przeszłością, tak odległą, że odkrywana na nowo od podstaw. Przedmiot był wykonany precyzyjnie, choć w gruncie rzeczy był prosty. Coś z nim jednak było. Brandt nie potrafił jeszcze powiedzieć co, na razie przeżywał dopiero coś niezwykłego. Podświadomie był przekonany, że to najważniejsza chwila podczas całego pobytu w dolinie Tarim, że miał w ręku kolejny klucz do historii.

Przez chwilę przypomniła mu się legenda o kłątwie faraona... Chętnie oddał więc złoty przedmiot profesorowi, który najwyraźniej był pod równie silnym jego wrażeniem.

Zakończył się dzień pełen wrażeń, czas było wracać do obozowiska. Brandt zdawał sobie zresztą sprawę, że nie mogą w Sinkiangu pozostać zbyt długo. Czas było udać się „do źródła“ – do Tybetu...

Rano, przy ognisku doszło do ożywionej wymiany poglądów na temat wydarzeń z poprzedniego dnia, przy czym Brandt wdał się w emocjonującą dyskusję z Pazingerem. Pelzające ognie dotykały czarnej powierzchni garbusa, w którym parzyła się „normalna“ herbata, przywieziona z Europy. Brandt sprzyjał refleksjom na temat przeszłości, ulotności czasu i pamięci

o cywilizacji istniejącej przed tysiącami lat. Brandt miał wrażenie, że dzięki darowi losu znalazł się jakby w punkcie zetknięcia się przeszłości z czasem obecnym, w unikalnym momencie strząśnięcia pyłu tysiącleci i przywrócenia zamierzonej rzeczywistości do życia. Nie był pewien, czy siedzący obok Pazinger podzielał te myśli, ale postanowił to sprawdzić. Obaj wypili po kieliszku koniaku i Brandt liczył na to, że dzięki temu jego opinie będą nieco bardziej spontaniczne niż dotychczas, że nieco rozwiąże to jego język. Zapytał go, pół żartem:

– Wygląda na to, że chrześcijański zbawiciel nie był tym pierwszym...

– Może, chociaż jestem zdania, że wcielenia zbawiciela mogą być różne, ale Bóg jest zawsze ten sam.

Tak, ale czy można przenosić schemat judeochrześcijański do rzeczywistości funkcjonującej na zupełnie innych zasadach, wyznających zupełnie inną religię i służącej innym celom?

Co pan przez to rozumie?

– Mam na myśli to, że oni nie wyznawali przecież takich samych dogmatów jak współczesny Kościół, który też zresztą odszedł od zasad społeczności żydowskiej sprzed dwóch tysięcy lat. Święte księgi odrzucone przez Kościół, apokryfy, łamią przecież ten współcześnie wyznawany stereotyp. Ale mniejsza o to. Zgodnie z pana rozumowaniem należałoby dojść do wniosku, że inspiracje wszystkich religii były w gruncie rzeczy takie same, a przecież tak nie było.

Na ascetycznej, ogorzalej twarzy Pazingera pojawił się jedynie grymas konsternacji, chyba też rozdrażnienia. Nie odpowiedział na to, może zbyt wile pytanie. Brandt kontynuował:

– Jak pan sądzi, czy nasze odkrycia, a raczej odkrycia Hedina, wywołają rewolucję w naszym rozumieniu początków ludzkiej cywilizacji. Chodzi mi o to, czy rozumienie tych początków przez świat ulegnie zmianie?

– Nie liczyłbym na to. Nie sądzi pan chyba, że świat na skinienie waszego palca porzuci Chryścijaństwo i zacznie wierzyć w Aryjskiego Mesjasza o niebieskich oczach, któremu świat zawdzięcza pierwszą falę postępu.

– Mówi pan tak, jakby wszyscy podchodzili do historii przez pryzmat religii i dostosowywali do religii otaczającą ich rzeczywistość. Naprawdę myśli pan, że tak właśnie jest?

Tajemnicza twarz Pazingera znowu pozostała milcząca. Brandt nie miał okazji dalszego ciągnięcia tej, niezręcznej ku jego zaskoczeniu dyskusji, która się wyraźnie nie kleiła. Zwrot „na skinienie waszego palca“ wzbudził jednak jego zastanowienie. Do ogniska podszedł dr Beger. Wziął garnuszek z herbata i zaprosił siedzących do głównego namiotu, gdzie omawiano plany na kolejny dzień. Brandt przez chwilę został sam spoglądając na pobliskie

swym wykopalisk, chwilowo opuszczony i usiłował uporządkować myśli, wyrobić sobie jakieś zdanie na temat nastawienia swego rozmówcy. Pazinger natomiast, natomiast Beger zajął się dogaszaniem żarzących się szczap, co Brandt wykorzystał na podzielenie się przemyśleniami z nim:

– Wie pan, ten religioznawca mnie coraz bardziej intryguje. Trochę sobie porozmawialiśmy. Nie chciałem być zbyt dociekliwy, ale odniosłem niecodzienne wrażenie, że człowiek ten ani nie podziela entuzjazmu dotyczącego naszego odkrycia tutaj, ani nie wyzbył się kościelnego sposobu myślenia. Jak to właściwie było z jego przejściem na służbę narodowego socjalizmu?

– Będę szczery – nie wiem. Rozmawiałem kiedyś na temat jego włączenia w skład wyprawy z Schäferem, ale on tego też nie wiedział. Pazinger został włączony na wniosek jakiegoś oficera z osobistego sztabu Himmlera. Słyszę, że oni sami to już sprawdzają po otrzymaniu telegramu. A co konkretnie tak pana zaniepokoiło?

– Uderzyło mnie, że człowiek ten wyraził swą opinię o odkrytej kulturze niemal więcej w takim duchu, że nie uda nam się przemycić wersji o aryjskim kulturowym, bo i tak nie wygramy z Chryścijaństwem.

No cóż, był księdzem, pewnie coś w nim z tej indoktrynacji zostało...

– Nie potrzebujemy tu księdza – to po pierwsze, a po drugie podobno i tym zerwał i właśnie dlatego Kościół się go pozbył. To jednak jest tylko mało istotny szczegół. Pomyślałem sobie, że jeśli ma on takie nastawienie do historycznych wykopalisk, to jakie musi mieć w stosunku do próby wywiezienia do Niemiec szczątków Chrystusa ze Srinagaru?

Tak, to rzeczywiście ciekawe...

– Mówiąc wprost: może to jakiś szpieg, który zamierza nam w tym przedsięwzięciu. W końcu jaki interes w podkładaniu bomby mógłby mieć Weber?

– Czyj na przykład szpieg?

– Nie mam pojęcia, może Watykanu albo jakiegoś tajnego bractwa? Słyszałem kiedyś, że Watykan ma służby specjalne, małe i głęboko zakonspirowane, ale ma. Jest jakiś urząd będący spadkobiercą dawnej Świętej Inkwizycji, który się tym zajmuje. Wie pan, Pazinger był ostatnimi wydarzeniami nie zbudowany jak my wszyscy, lecz raczej rozdrażniony. Trochę wypił, więc mógł się zdradzić. Pewnie teraz tego żałuje... W każdym razie mogę się zastanawiać, że ta wersja światopoglądu jaką można było odtworzyć na podstawie wyznań po koniaku, to nie było to samo co dotarło do Osobistego Sztabu Himmlera przed wyjazdem.

– To ma sens, co pan mówi, ale nie jest jeszcze dowodem. Zastanawiam się, czy moglibyśmy z tym fantem zrobić, ale nic ciekawego nie przychodzi mi do głowy.

– A ja chyba mam pewien pomysł. Może jest i głupi, ale powiem. Do przecież coś zrobić musimy, w przeciwnym razie wkrótce może nas nie być... Jeśli teraz, przy ognisku dał się trochę sprowokować i ponieść emocjom, dzięki czemu się trochę odsłonił, to może powinniśmy przygotować pewną prowokację.

Oczy Begera skierowały się prosto na rozmówcę. Wyrażały zaskoczenie i oczekiwanie. Brandt dokończył więc myśl:

Można przede wszystkim zastanowić się jak działałby ewentualny zamachowiec, jakie warunki czy okoliczności byłyby korzystne do przeprowadzenia kolejnego zamachu i takie warunki mu stworzyć, tylko po to aby poddać go wtedy skrupulatnej obserwacji. Trzeba by stworzyć mu też jakąś iluzję bezpieczeństwa, aby niczego nie wywęszył, zresztą on nie sprawia wrażenia jakiegoś wyrafinowanego gracza. Wtedy przekonamy się kim naprawdę jest.

– Tak, chyba to dobry pomysł. Wolałbym teraz aby nie zauważył, że zbyt długo rozmawialiśmy, ale w bezpiecznym momencie, może w nocy jak ten podejrzany typ będzie spał, porozmawiam na ten temat z Schäferem, gdzieś na uboczu i zastanowimy się. Na razie idziemy do namiotu i zachowujemy się normalnie, jesteśmy rozluźnieni...

– Tak jest, *Herr Untersturmführer!*

Obaj udali się na zapowiedzianą naradę...

Dyskusja trwała już od pewnego czasu, ale jak się zorientowali, po wykonaniu odpowiedniej ilości zdjęć i nakręceniu krótkiego materiału filmowego resztę zamierzano zostawić Hedinowi, natomiast oni sami mieli następnego ranka rozpocząć powrót. Nie było bowiem pewne ile czasu zajmie im jeszcze reszta podróży a plany związane z Tybetem musiały za wszelką cenę być zrealizowane jeszcze przed spadnięciem w Himalajach śniegu. Czekają ich przecież jeszcze bardzo wiele do zrobienia i spodziewano się nie mniej ważnych badań, przy czym zajmujących znacznie więcej czasu. Teraz celem „numer jeden“ stawała się jedna z największych świętości Azji, i jedna z jej największych tajemnic – tybetańska „Oś Świata“, czyli góra Kalias – (będąca jakby „pomnikiem“ tej rzeczywistej „Osi“ łączącej Mohendžo Daro z Nan Madol i Wyspą Wielkanocną), a raczej tropy prowadzące w niezbadaną i ciekawą okolicę góry.

Jakiś czas po naradzie, gdy wszyscy układali się już w swoich namiotach, do Brandta podszedł sam „szef“ i postanowił osobiście zapoznać się z proponowanym przez niego „prowokacyjnym planem“. Obaj wyszli więc dyskretnie poza teren obozowiska. Schäfer był najwyraźniej poddenerwowany, łączywie wciągał dym z papierosa, a zwykle nie palił wiele. Całkowicie podzielał logikę Brandta i był zdecydowany zaaranżować proponowaną pro-

wokację, zwłaszcza że niewiele ich kosztowała. Obaj uznali, że zrobienie tego w środku stepowego pustkowia nie będzie zbyt dobrym pomysłem i nie będą to odpowiednie okoliczności, gdyż w przeciwnym razie zamachowiec ujawniłby się już podczas przemarszu do doliny Tarim. Sam, słabo orientujący się w okolicy mógł bać się dalszej podróży bez „przewodników“. Należało wybrać taki moment i miejsce, w którym zamachowiec będzie miał iluzję, że ujdzie przed ewentualną pogonią i uda mu się dotrzeć samemu do najbliższego miasta. Musi to być więc gdzieś dalej, skąd przynajmniej w jego mniemaniu mógłby on uciec. Dokładnej formy prowokacji jeszcze nie omówiono, utożsamiając to od konkretnych okoliczności, jakie przyniesie rozwój wypadków. Zawiązany został więc „kontrspisek“, mający udaremnić próby storpedowania ambitnego przedsięwzięcia. Pewne wątpliwości budził wprawdzie fakt wtajemniczenia w plan Webera, który formalnie też był nadal podejrzany, ale w końcu Schäfer podjął decyzję, że poinformowanie go o prowokacji jest i tak nieuchronne.

Brandt wrócił do namiotu i po raz kolejny zdał sobie sprawę z pełni ryzyka, które się z całą wyprawą wiązało. Byli przecież zdani tylko i wyłącznie na siebie. W środku stepu, na górskiej drodze czy na jakiejś przełęczy zamachowiec – obojętnie czy w składzie ekspedycji czy poza nią, mógł liczyć przecież na pełną bezkarność. Kto miałby go ścigać? Takie już były prawa rządzące dzikimi ostępami środkowej Azji...

Dzień prawdy

Następnego dnia wydarzenia rozgrywały się zgodnie z planem. Wszyscy zjedli śniadanie, złożone głównie z konserr i w ciągu kolejnej godziny złożyli całe obozowisko. Pakunki znowu zostały przytroczone do boków wielbłądów, z którymi znów trzeba było stoczyć prawdziwą walkę, aby zmusić je do marszu. Wracano tym samym, prawie nicuczęszczanym szlakiem, którym dotarto do doliny. Po dwóch dniach podróży ekipa zbliżała się do doliny rzeki Charchan Darya. Tu postanowiono rozbić obóz. Schäfer wiedział, że do osady w której wypożyczyli wielbłądy pozostał najwyżej dzień drogi, ale cały czas wyrażał obawy o to, że pomylili kierunek i prawdopodobnie będą musieli skręcić na zachód aby odnaleźć szlak, którym przybyli. Tylko Brandt domyślał się, że nie jest to wcale prawdą, lecz próbą wprowadzenia w błąd zakonspirowanego dywersanta. Jego przypuszczenia się potwierdziły w nocy, gdy Schäfer wtajemniczył go w swój plan. Do realizacji przystąpiono następnego dnia rano...

Przy ognisku, podczas śniadania, Schäfer obwieścił wszystkim swoją decyzję, że należy pozostać w tym miejscu – przy rzece stanowiącej dogodny miejsce odpoczynku i wodopój dla zwierząt. Jedna osoba miała pilnować dobytku a pozostali zamierzali wyruszyć na zwiad, aby ustalić gdzie naprawdę się znajdują. W plan wtajemniczony został nawet miejscowy przewodnik i trzeba przyznać, że doskonale odegrał swą rolę – przepraszając za zgubienie tropu i padając niemal przed Schäferem na kolana. Do pilnowania drogocennych skrzyń wyznaczony został podejrzany, czyli Herbert Pazinger. Wszystkie zasoby zostały starannie zabezpieczone, w czym ten ostatni brał udział. Parę razy zwrócono przy nim uwagę na fakt, że w jednej ze skrzyń znajdują się zapasy amunicji do karabinów i kilka niewielkich skrzynek z nabojami oświetlającymi do raketnicy. Pazinger dostał polecenie ochrony tego dobytku, chociaż nie wyposażono go w broń palną. Do palika wbitego w ziemię przywiązano natomiast jednego wielbłąda – mającego stwarzać iluzję możliwości łatwej ucieczki.

„Jak gdyby nigdy nie“ wszyscy oprócz tego poddanego właśnie próbie wtarli na swoje „wierzchowce“ i nie oglądając się odjechali powoli w kierunku zachodnim. Teren wzdłuż rzeki był pagórkowaty, porośnięty rozrzuconymi w pewnych odległościach od siebie ciernistymi krzewami – przez co było mało prawdopodobne aby Pazinger zauważył, że po zaledwie 250 metrach na grzbiecie wielbłąda wiozącego dotychczas Schäfera znajdował się teraz nie on, lecz jukowy worek. Tym bardziej, że cała grupa przekroczyła właśnie niewielkie wzniesienie, jakby wydmy. Przez cały czas Brandt miał poważne wątpliwości nie tylko czy plan zda egzamin, czy „religioznawca“ nie wywęszy przygotowanej na niego pułapki, ale też czy plan nie obróci się przeciwko jego autorom. Dojście do obozowiska musiało przecież zająć Schäferowi trochę czasu, w zupełności wystarczającego do przygotowania kolejnego „aktu dywersji“. Wszystko zależy teraz – pomyślał Brandt – od tego jak odważny okaże się potencjalny szpieg. Jeśli będzie chciał odczekać z pół godziny aby upewnić się czy zwiad oddalił się na bezpieczną odległość, to będzie jakaś szansa powodzenia – czyli udaremnienia ewentualnego kolejnego zamachu. Jeśli natomiast spróbuje za wszelką cenę wykorzystać nadarzoną się okazję i działać od razu – to cały plan spali na panewce, co według wszelkiego prawdopodobieństwa będzie miało dla wszystkich tragiczne następstwa. Jednak – łudził się Brandt – ten drugi wariant byłby i dla niego bardzo ryzykowny. Jeśli bowiem zrobiłby tak jak się wszystkim wydawało – zaczynając od amunicji, której wybuch mógłby zniszczyć sporą część zapasów, to przecież zwiad zostałby tym samym zaalarmowany w zbyt małej odległości od obozowiska. Wszyscy usłyszeliby huk, zawróciłiby i rozpoczęłyby się pościgi. A przecież stary Pazinger nie był zbyt dobrym jeźdźcem. Póki co nie było słyhać żadnego wybuchu... Niepokój Brandta; i pozostałych, musiał przez długi czas pozostać niezaspokojony. Cały czas oddalali się od obozu, aż w końcu zatrzymali się w odległości jakichś dwóch kilometrów, w osłoniętym rzadkimi drzewami obniżeniu terenu. Wiedzieli, że teraz nie mają już żadnego wpływu na rozwój wypadków.

Schäfer natomiast cały czas zbliżał się do obozowiska. Szło mu to jednak bardzo powoli. Nie chcąc, za wszelką cenę, wystraszyć Pazingera, skradł się powoli w jego stronę i do tego szerokim łukiem, chroniąc się za niewielkim podwyższeniem terenu. Ubrany w szary strój myśliwski wpiął sobie gałganie odłamane z krzaków tak, że z daleka był od nich samych słabo odróżnialny. Czołgał się w tempie kilku metrów na minutę, cały czas nie widząc stosu pakunków i dymu z dogasającego ogniska. Po kilkunastu minutach dotarł na niewielkiego pagórka, z którego miał już jaki taki widok na interesujący go obóz. W dalszym ciągu jednak nie było to miejsce najlepsze. Widział tylko

skrawki obozu, a i to wyłącznie przez celownik optyczny swojego Mausera. Osmieliło go to, podobnie jak nieubłagalnie biegnący czas, i postanowił nieco przyspieszyć. Dwadzieścia – trzydzieści metrów od „jego” pagórka znajdował się drugi, nieco mniejszy i trochę przesunięty w bok. Schäfer wiedział, że może stosunkowo szybko przeskoczyć w jego stronę i praktycznie dopiero wtedy gdy zbliży się do szczytu stanie się widoczny. Tak też zrobił – dotarcie do tego drugiego „posterunku” zajęło mu tylko minutę... W stosunku do obmyślonego wcześniej, na podstawie swego myśliwskiego doświadczenia, planu był wprawdzie już i tak spóźniony, ale zwyczajnie nie miał innego wyjścia.

Zgodnie ze swoją wstępną oceną topografii nowe miejsce zapewniało bardzo dogodne warunki do działania. Ostatnie parę metrów pokonał wykonując bardzo powolne ruchy, niemal pełzną jak ślimak. Ulokował się za największym z kilku krzaków i powoli wsunął w niego lufę swego karabinu snajperskiego, opierając ją na rozwidleniu pnia. Najpierw obejrzał scenę gołym okiem – nie zauważając jednak żadnego ruchu – a następnie rozpoczął powolne przeczesywanie całego obszaru obiektywem celownika. Znajdował się w odległości wciąż znacznie przekraczającej sto metrów. Było to dużo dla człowieka obserwującego okolicę gołym okiem – w porośniętym luźno rozrzuconą roślinnością terenie, jednak dla strzelca wyborowego, w jakiego Schäfer teraz się przeobraził, był to bardzo mały dystans. Pomimo dwukrotnej „lustracji” terenu, po Pazingerze nie było żadnego śladu. No tak – pomyślał Schäfer – na pewno siedzi w namiocie, może więc wcale nie jest tym za kogo go uważamy... Zaraz jednak uświadomił sobie, że przecież nie ma również jego wielbłąda. Co u licha, czyżby zwiął? – przeszła mu przez głowę obawa. Mógł przecież „pójść na łatwiznę” i zabrać po prostu pozostałe na miejscu mapy oraz dokumenty. Ich brak znacznie utrudniłby realizację dalszej części ekspedycji, ale przecież by jej nie zatrzymał. Po kolejnej chwili Schäfer uznał za najbardziej prawdopodobną inną ewentualność – że podejrzany wziął wielbłąda aby rozejrzeć się po okolicy i upewnić się, że jest bezpiecznie – że pozostali są już daleko. A jeśli – pomyślał – odjedzie na tyle daleko, że odkryje zwiadowców ukrytych w jakimś obniżeniu terenu? Ci pewnie gdy usłyszą tupot kopyt, schowają się. Chociaż z drugiej strony na przeczesanie terenu straciłby zbyt wiele czasu i jest wątpliwe aby się na to zdecydował – pocieszał się. Wciąż jednak mógł przecież wypatrzeć samego Schäfera. Ten jednak rozejrzał się jeszcze raz na wszystkie strony i nie spuszczać oka z obozowiska przysypał delikatnie swe ubranie stepowym pyłem.

Wątpliwości Schäfera zostały wkrótce rozwiane, gdy w końcu wielbłąd Pazingera ukazał się od strony zachodniej, wylaniając się zza tego samego

pagórka, za którym początkowo czołgał się on sam. Pazinger wyraźnie się zdezorientował. Wyglądało więc na to, że istotnie postanowił on rozejrzeć się po najbliższej okolicy, sprawdzić czy naprawdę jest bezpiecznie. Schäfer, leżący w plekającym słońcu teraz poczuł gorąco rozchodzące się po jego ciele. Zdał sobie sprawę, że naprawdę nadeszła chwila prawdy, konkretne minuty prawdy. Teraz nakierował swój doskonały celownik na postać zsiadającą z wielbłąda, bardzo uważnie obserwując jej ruchy. W ciemnym, przewiewnym obniżeniu kupionym od miejscowych Pazinger wyglądał z daleka jak mnich lub nawet ksiądz – myśl ta wywołała uśmiech ironii na twarzy podoficera SS, kryjącej się za okularem celownika. Przynajmniej jest przez to doskonale widoczny – pomyślał Schäfer. Przez celownik było z tej odległości doskonale widać nie tylko ruchy, ale i spojrzenia „mnicha”. Widać było, że wzrok jego cały czas błądził po okolicy. Schäfer powoli nabierał przekonania, że cały pomysł ze zorganizowaniem prowokacji był „strzałem w dziesiątkę”. Zachowanie podejrzanego póki co doskonale pasowało do przyjętej przez Brandta hipotezy. Po chwili postać Pazingera zniknęła w jednym z namiotów, ale zaraz wróciła w pole widzenia. Niósł on lampę naftową. Podszedł z nią do sterty skrzyń. Były one ustawione celowo tak, aby skrzynia z amunicją i środkami pirotechnicznymi była odsłonięta tylko z jednej strony, z tej właśnie, z której znajdował się upatrzony uprzednio przez Schäfera niepozorny pagórek.

Pazinger podszedł właśnie do sterty. Postawił na ziemi lampę naftową, wspiął się na swoje plecamy, po czym odwrócił się tyłem do celującego. Swym rękawiczkami przez wiatr szatami skutecznie zasłonił na jakąś minutę środkową część sterty. Po chwili jednak wykonał jakiś inny ruch i na moment odsłonił skrzynię. Schäfer zorientował się w tym momencie, że obiekt jego obserwacji oderwał dwie z cienkich, bocznych desek, z jakich zbita była ta najważniejsza ze skrzyń. Jego wcześniejsze przypuszczenia, obawy, graniczyły teraz z pewnością. Możliwie cichym, płynnym ruchem, przeladował broń i przesunął przycisk bezpiecznika. Jego palec spoczywał już na spuście. Myśliwskie doświadczenie wyostrzyło teraz jego zmysły i spowolniło oddech. Pazinger zrobił jednak coś dziwnego. Nie ruszając lampy naftowej z miejsca, w którym stała, podniósł się i odszedł. Zmieszalo to nieco Schäfera, nie spuszczał on jednak swego celu z oka. Okazało się, że wstał on tylko po to aby jeszcze raz, ten ostatni, rozejrzeć się po okolicy. Przystanął na chwilę czujnie nasłuchując, jak dzikie zwierzę instynktownie obawiające się drapieżnika. Żadnego powodu widok takiej reakcji sprawił Schäferowi przyjemność. Pazinger niczego jednak nie wyczuł, nie zauważył, ani nie usłyszał. Jak można było się spodziewać, ponownie skierował swe kroki ku skrzyniom. Teraz Schäfer czekał już tylko na odpowiedni moment, obawiając się jedynie

spudłowania. Bał się, że jeśli nie trafi, jego ofiara – wciąż jeszcze potencjalna – da susa w bok i Schäfer nie zdąży przeladować do drugiego strzału. Na szczęście – zauważył – Pazinger przyklęknął bokiem i ponownie częściowo zasłonił, teraz już otwartą, skrzynię z amunicją. Prawą ręką chwycił lampę naftową.

Schäfer wiedział, że nie może już czekać ani chwili. Rozlana nafta mogła się przecież zapalić od rykoszetującego pocisku. Krzyż celowniczy znalazł się na tle nóg ofiary – Schäfer za wszelką cenę chciał uniknąć trafienia w amunicję – skrzynia ta znajdowała się na wysokości ponad metra, za plecami i głową Pazingera. Ten pochylił się w miejscu, w którym deski ze skrzyni były zdjęte i zbliżył lampę. W tym momencie padł strzał, który echem rozniósł się po okolicy. Trafiona w nogi ofiara padła na brzuch, cały czas trzymając lampę wypełnioną naftą w prawej ręce. Próbował jednak się podnieść i wysunął rękę z lampą do przodu. Przez chwilę Pazinger najwyraźniej znajdował się w szoku i nie wiedział co dalej robić. Ciągąc ciało rękami przesunął się metr w bok, na tle skrzyń, jednak odsunął się od tej najważniejszej. Strzał musiał być celny i skuteczny, skoro mimo wysiłku nie mógł się podnieść. Od momentu oddania pierwszego strzału upłynęły może cztery, może pięć sekund. W tym czasie Schäfer zdążył wprowadzić kolejny nabój do komory naboowej i strzelił znowu. Tym razem nie obawiał się już konsekwencji trafienia w głowę. Trafil.

Po spieczonym przez Słońce stepie popłynął strumyk krwi. Ofiara natychmiast padła i przestała się ruszać. Schäfer wstał i pobiegł w kierunku obozowiska. Twarz Pazingera w niczym nie przypominała już tej pamiętanej sprzed pół godziny. Była to miazga zlepionych krwią włosów i stepowego pyłu. Żadnych oznak życia... Drugi pocisk wszedł skosem od strony potylicy i wyszedł przez policzek, wyrrywając część twarzy. Schäfer wziął leżącą na ziemi lampę i postawił metr dalej, aby nafta się nie wylała. Usiadł zastanawiając się nad konsekwencjami swego czynu. Nagle zamknął się w sobie, próbując ochłonać.

Pozostali członkowie wyprawy usłyszeli oba strzały i przybyli bardzo szybko. Zauważyli „nieobecnego“ Schäfera, który nie odpowiedział na rzucone w biegu pytania i podeszli do skrzyń, aby samodzielnie zorientować się co tu przed chwilą zaszło. Widok był jednoznaczny. Rozpruta skrzynia jasno odsłaniała intencje szpiega. Z bagaży po raz drugi wyjęto butelkę francuskiego koniaku, Beger rozpałił ognisko i rozpoczęła się długa dyskusja. Najpierw wysłuchano suchej relacji Schäfera a następnie rozpoczęły się długie rozważania nad konsekwencjami tego wydarzenia. Sporządzono protokół, który miał zostać wysłany do Berlina. Wszyscy zastanawiali się, czy wyeliminowanie

Pazingera rozwiązało problem na dobre. Czy działał sam, czy może gdzieś czekali na nich jeszcze inni? Dla kogo pracował i dlaczego konkretnie miał przerwać wyprawę? Na większość tych pytań nie potrafiono udzielić odpowiedzi. Dominującym motywem w rozmowie, która ciągnęła się aż do wieczora, były nadal zagrożenia. Pomimo sukcesu „prowokacji“, nikt nie poczuł się bezpieczniej. W końcu najważniejsze było dopiero przed nimi... Nawet przewodnik, nie rozumiejący oczywiście niemieckiego, najwyraźniej wystrząsał coś wiszącego w powietrzu. Chodził, wypowiadając jakieś zaklęcia, w czasie gdy pozostali zakopywali zwłoki.

Na szlaku Drugiej Tajemnicy

Ekspedycja dotarła do Cherchenu już następnego dnia po śmierci Pazingera, wieczorem. Stamtąd dzieliło ich już od Tybetu „tylko“ dwieście kilometrów przeprawy przez pasmo górskie Kunlunu. Od północnej granicy Tybetu mieli jeszcze do przebycia 600 km przez niegościnne pustkowia płaskowyżu Jang Thang, aby w końcu dotrzeć do spowitej mgłą tajemnicy okolicy góry Kalias – tybetańskiej „Osi świata“. Gdzieś w trakcie tej przeprawy, zgodnie z poufnym rozkazem Himmlera, Brandt miał się odłączyć od ekspedycji i rozpocząć własną misję polegającą na odnalezieniu tybetańskiej wyroczni. Był nią szaman pełniący rolę oficjalnego doradcy najwyższego duchownego i świeckiego władcy tego kraju, będącego jedną z ostatnich na naszym globie monarchii teokratycznych – w której nie było rozdziału pomiędzy władzami religijnymi a politycznymi.

Pobyt w Cherchenie wykorzystano na krótki odpoczynek i na przygotowania do najtrudniejszego, najważniejszego etapu wyprawy. Z uwagi na wkraczanie na tereny wysokogórskie istniała konieczność zastąpienia wielbłądów końmi lub mułami. Należało zorganizować całą karawanę. Środki na ten cel zostały w budżecie wysłanników „czarnego zakonu“ oczywiście z góry przewidziane. Sprawy z tym związane były domeną Schäfera i całej reszcie niewielkiej ekipy, zredukowanej teraz w zasadzie do zaledwie trzech osób (nie licząc ewentualnych miejscowych przewodników czy tragarzy) nie pozostało w zasadzie nic innego jak czekać na załatwienie przez niego wszelkich koniecznych formalności. Na ten czas rozbito obozowisko w miejscu dawnego lądowania transportowego *Dorniera*. Pomimo surowości stepu miały to być ostatnie względnie spokojne chwile przed dramatyczną przeprawą przez niegościnne góry, nietknięte wpływem nie tylko dwudziestowiecznej, ale w ogóle nowożytnej cywilizacji.

Pobyt w obozowisku można by uznać za monotony, gdyby nie jedno niezwykle wydarzenie, które dosłownie spadło na wszystkich jak grom z jasnego nieba. Nazajutrz po dotarciu do tego miejsca spokój zakłócił znajomy wprawdzie, choć zupełnie niespodziewany, dochodzący z oddali warkot sil-

ników samolotu. Jak się wkrótce okazało, ku wielkiemu zaskoczeniu siedzących akurat przy ognisku Niemców, oczekujących na swe porcje pieczonego barana, był to ten sam *Dornier*, który zaledwie dziesięć dni wcześniej dostarczył ich w to miejsce. Nie, nie był to wcale przypadek, samolot przybył właśnie do nich. Nie przywiózł jednak tym razem żadnego ładunku, lecz specjalnego kuriera z niemieckiej ambasady, którego obarczono zadaniem pilnego odszukania wyprawy, od dłuższego czasu nie dającej już żadnych znaków życia. Nie niepokój o to czy nie zgubili drogi sprawił jednak, że rozpoczęto poszukiwania, lecz konieczność dostarczenia wyjątkowo pilnej i ważnej depeszy. Ambasada, często korzystająca z usług tej samej firmy przewozowej, szybko ustaliła ostatnie miejsce pobytu grupy i postanowiła właśnie od tego miejsca rozpocząć poszukiwania. Traf chciał, że „kurier“ zastał ich akurat w trakcie powrotu. Nie musiał ich więc szukać, obozowisko znajdowało się akurat przed dziobem lądującej maszyny. Opuścił *Dorniera* i ku swemu zaskoczeniu ujrzał wszystkich, równie zdziwionych, dokładnie przed sobą. Pozdrowił biesiadników hitlerowskim pozdrowieniem, jednak nic więcej nie zdradził ze swego tajemniczego przesłania – poza tym, że otrzymał ścisły rozkaz przekazania depeszy wyłącznie Schäferowi, do rąk własnych. Usiadł jednak przy ognisku i chociaż rozmowa się wyraźnie nie kleiła, dowiedział się po pewnym czasie o „przygodzie“ sprzed dwóch dni i śmierci Pazingera, przyłapanego na gorącym uczynku. Dopiero wtedy rozwiązał mu się język i nagle wszystko stało się jasne. Okazało się, że pilna depesza dotyczyła właśnie jego.

Berlin bardzo poważnie potraktował wysłany wcześniej, alarmujący telegram Schäfera i dopiero wtedy zabrał się za dokładne sprawdzanie przeszłości i kontaktów wszystkich członków wyprawy, a Pazinger od samego początku zajmował pierwsze miejsce na liście podejrzanych, sporządzonej przez służbę bezpieczeństwa SS. Wtedy okazało się, że jego personalia były fałszywe. Pod prawdziwego Pazingera, który zaginął w tajemniczych okolicznościach, podszył się agent, którego prawdziwej tożsamości nigdy nie udało się ustalić. Berlin jednak również doszedł do wniosku, że prawdopodobnie jest to współpracownik tajnych służb Watykanu, któremu udało się przeniknąć niemal do samego Osobistego Sztabu Reichsführera SS.

Po wysłuchaniu dramatycznej opowieści o zrealizowanej prowokacji kurier zdecydował się ujawnić wszystkim treść depeszy. Akurat w tym samym czasie z „miasta“ wrócił sam Schäfer – w wyjątkowo ponurym nastroju, jakby nie udało mu się zorganizować żadnej karawany. Biesiada przerodziła się więc w coś w rodzaju narady wojennej. „Łącznik z ambasady“, niejaki Kohulze, przyznał po wypiciu „paru głębszych“, że tak naprawdę przyleciał

wprawdzie z Szanghaju, ale tylko dlatego, że tam miał przesiadkę po locie z Berlina. Mówił więcej. Informacje te wprowadziły całą ekipę w niewesołe nastrój. Podczas „pracy“ żyli w świecie całkowicie odciętym od rzeczywistości europejskiej, w błogiej nieświadomości polegającej na złudnym przekonaniu, że uczestniczą w wyprawie wyłącznie naukowej, w ciekawej przygodzie. Fakty stanowiły jednak jaskrawe zburzenie tej iluzji. Okazało się, że obce służby wywiadowcze już się dowiedziały o politycznym czy ideologicznym wydźwięku przedsięwzięcia. Najbardziej drażliwym i najważniejszym elementem, niemal polityczno-strategicznym, stała się planowana próba wykorzystania szczątków Chrystusa w Himmlerowi znanym tylko celu, owinięcia ich nie w całun, lecz we flagę ze swastyką w środku. Nagle szczątki te, autentyczne czy nie, stały się kartą przetargową. Postanowiono, za sprawą reakcji Watykanu i jego interwencji u aliantów, nie dopuścić do przejęcia tej „karty“ przez nazistowskich fanatyków. Szykowała się konfrontacja na pełną skalę. W tej sytuacji, pomimo determinacji ze strony służb SS zapadła decyzja o wstrzymaniu wyprawy do Srinagaru, który leżał na obszarze wpływów brytyjskich i nie było sposobu aby operację zrealizować na ich terenie, przy ich sprzeciwie – jeśli już o wszystkim się dowiedzieli. Takie rozkazy przekazał kurier specjalny Schulze – nawiasem mówiąc brunatna postać z samego tylko wyglądu, pozbawiona poczucia humoru i nijak nie pasująca do wzorca dyplomaty, zwłaszcza w czarnym skórzonym płaszczu.

Wszystko to wywołało zrozumiałą niepokój. Przez moment członkom ekspedycji wydawało się, że wyeliminowanie Pazingera, co uważali za swój wielki sukces, oznacza pozbycie się problemu na dobre. Było znacznie gorzej. Problem był nadal i nie widzieli go jeszcze tylko dlatego, że był zbyt wielki aby mogli go dostrzec z dostępnej im perspektywy. Nagle wszyscy uświadomili sobie, że cała ekspedycja znajduje się na celowniku wrogów, zdana na pustkowiu wyłącznie na siebie. Bali się nawet o profesora Svena Hedina. Nie stanowiło przecież żadnej tajemnicy, że i pozostałe cele wyprawy mają podtekst polityczny (dlatego interesowały Himmlera, a nie ze względu na konotacje mistyczne) – badania źródeł rasy aryjskiej, jej wielkiej zapomnianej cywilizacji. Na to wszystko płynęły szerokim strumieniem fundusze ze skarbca SS ze względu na wielki potencjał propagandowy i polityczny w przygotowywanej międzynarodowej rozgrywce.

Brandt, który z uwagi na utajnienie jego misji mógł w ogóle liczyć tylko i wyłącznie na siebie, pocieszał się jednocześnie w duchu, że być może z tych samych względów wrogi służby nie dowiedziały się jeszcze o zadaniu związanym z „Kamieniem Hitlera“. Czuł coraz większe brzemienie tej misji, którym nie mógł się z nikim podzielić. Tego, że może to być brzemienie złowro-

głe samo w sobie – niebezpieczne nie tylko dla niego, nie brał pod uwagę.

Tak czy inaczej wizyta enigmatycznego Schulzego oznaczała zasadniczy zwrot. Postanowiono zmienić plany, aby – zgodnie z wojskową terminologią – oderwać się od przeciwnika. Samolot dotarł do zapomnianej osady w stepie nie tylko dlatego, aby mógł nim przybyć kurier. Samolot miał ich przerzucić w inne, odległe miejsce – ewentualnym prześladowcom jeszcze nieznaną. Należało się śpieszyć. Tylko to dawało jeszcze jakieś szanse zrealizowania pozostałych, nadal aktualnych celów wyprawy.

Jak się okazało, sprawdzony *Dornier* miał prawie pełne zbiorniki paliwa – w związku z tym, że zatankował po drodze w „połowej bazie“, wykorzystywanej od czasu do czasu przez firmę przewozową, do której należał. Schulzemu musiało się naprawdę bardzo śpieszyć, skoro nakazał przygotowanie się do odlotu z całym zapasem (już trochę zmniejszonym) w ciągu zaledwie czterdziestu minut. Wszyscy, włącznie z nim samym i z Schäferem, zabrali się więc do ciężkiej pracy. Na szczęście wszyscy byli po obfitym posiłku, więc siły im dopisywały. Pilot, do którego najwyraźniej Schulze miał pełne zaufanie, wyciągnął drewnianą pochylnię, po której znowu zaczęto wpychać skrzynie do wnętrza kadłuba. Całość udało się przygotować do lotu w jeszcze krótszym niż wyznaczono czasie i maszyna oderwała się od twardego jak beton gruntu po trzydziestu minutach. Dopiero teraz cała „ekipa“ mogła pozwolić sobie na moment wytchnienia. Dla zmylenia ewentualnych prześladowców pilot skierował samolot najpierw na północny-wschód, po dziesięciu minutach zmienił kierunek na zachodni, by w końcu po kolejnych piętnastu jeszcze raz skrócić – tym razem na południe – południowy-zachód. Schulze ze skórzanej, przypiętej kajdankami do przegubu ręki teczki wyjął dokładną mapę i dopiero teraz ujawnił zmodyfikowany plan w szczegółach. Jego słowa wywołały zdziwienie i niedowierzanie. Mówił o „górze osi świata“. Odczekał chwilę i poparł słowa odpowiednią dokumentacją. Wyjął więc z teczki jeszcze zdjęcia lotnicze, sterły zdjęć ukazujących zarówno samą górę Kalias w Meru, jak i całe jej otoczenie: dziesiątki zarówno istniejących, tajemniczych budowli, jak i ruin odznaczających się na tle ziemi tylko jako mgliste, regularne prostokąty lub koła. Obszar ten zajmował dziesiątki kilometrów kwadratowych na całym obwodzie wielkiej góry, liczącej 6714 m wysokości nad poziomem morza i około półtora kilometra nad okolicznym terenem. Nie trzeba było mieć szczególnej wyobraźni aby uzmysłowić sobie w tej sytuacji, że na tym wysokogórskim pustkowiu, gdzie biały człowiek bez bardzo długiej aklimatyzacji nie jest w stanie oddychać inaczej niż przy pomocy maski tlenowej, rozciąga się przed nimi swoiste eldorado. Było to całe archeologiczne zagłębie, większe niż cokolwiek innego znanego w świecie

cywilizacji zachodniej, znacznie trudniej dostępne niż cokolwiek znanego, a w dodatku zajmujące miejsce w samym centrum wielkiej tajemnicy, sięgającej korzeniami do samych początków ludzkiej cywilizacji.

Nie było to bynajmniej ostatnie zaskoczenie, jakim enigmatyczna postać o surowej, wąskiej twarzy, ubrana w czarny płaszcz z postawionym kołnierzem, uraczyła podróżników. Schulze wyciągnął jeszcze z teczki zdjęcia wykonane z dalszej perspektywy. Tym razem ukazywały one całą górę. Pozostawił je bez komentarza, jednak seria zdjęć wykonanych pod różnymi kątami wyraźnie prezentowała górę jako kształt nad wyraz regularny. Było to tak oczywiste, że na pokładzie *Dorniera* na parę minut zaległa całkowita cisza, jeśli nie liczyć warkotu pracujących na wysokich obrotach silników. Doskonale było widać, że góra w rzeczywistości składa się z paru mniejszych szczytów i wszystkie miały kształt podejrzanie symetryczny. Dominowały dwa: jeden o kształcie olbrzymiej piramidy schodkowej oraz drugi, przypominający kształtem buddyjską stupę – bryłę o kształcie szerokiego dzwonu. Tylko Begerowi wyrwało się niewyraźne pytanie pod adresem „kuriera“:

– Co to w ogóle wszystko jest?

– To Miasto Bogów – odparł – bogowie przecież są wszechmocni – dodał.

– Taki jeden wielki *Externstein* – pół żartem dorzucił Weber.

– To będzie nasz najbardziej święty przybytek, a nie jakieś tam malunki; odpowiedni dla Tysiącletniej Rzeszy – uzupełnił Schulze.

No cóż – pomyślał Brandt – w tej sytuacji, gdy przeciwnik ma na tym terenie większe wpływy od nas, powierzanie kilkusobowej ekspedycji tak ambitnych zadań jest poważną, wielką lekkomyślnością. Nie odważył się jednak wypowiedzieć tego na głos...

Schulze jakby momentalnie odczytał te myśli, a może tylko trafnie odczytał grymas twarzy. Spojrzał swymi niezgłębionymi oczami na niego i powiedział:

– Zanim wyślemy tu poważniejszą ekipę, lepiej chronioną, uzbrojoną, musimy zobaczyć to wszystko z bliska, po prostu musimy. Nie ma czasu do stracenia. Stawka jest zbyt wysoka! Rozejrzemy się w kilka dni i znikniemy zanim ktokolwiek w Chinach czy w Lhasie się zorientuje.

– No, wygląda na to, że się zniżamy – przerwał mu Weber.

Brandt wyraził wątpliwości co do sposobu poruszania się w tym rejonie z ogromnym ładunkiem, ale Schäfer, który to usłyszał, uspokoił go:

– O to akurat niech pan się nie martwi...

– Czy mamy to wszystko transportować końmi, w górach, bo wielbłądów tu chyba nie znają – zapytał.

– Ani końmi, ani wielbłądami, to naprawdę nie będzie problemem, może mi pan wierzyć! W ogóle to będziemy musieli dokonać przeglądu naszych

zapasów i wyposażenia, gdyż jeśli musimy zrezygnować z pokonywania Himalajów w kierunku Srinagaru, to na pewno z wielu rzeczy będziemy mogli zrezygnować. Nasza podróż będzie przecież o wiele krótsza niż planowaliśmy na początku. Trzeba będzie zrobić tak, że w czasie gdy ja będę zajmował się organizowaniem transportu, wy dokonacie przeglądu i selekcji. Będziecie na to mieli co najmniej cały dzień, jeśli nie dwa...

Samolot lawirował w dolinach górskich, na granicy dopuszczalnego z tym obciążeniem pułapu. Przed nim rozpościerała się panorama Himalajów, rozświetlona promieniami zachodzącego Słońca. Niestety nie było zbyt wiele czasu na podziwianie widoków, ani na przelot wokół tajemniczej góry Kalias, gdyż za wszelką cenę należało wybrać lądowisko jeszcze przed nastaniem kompletnych ciemności. Prawdę mówiąc, pilot i tak wystartował w ostatnim możliwym momencie.

Po krótkim kluczeniu ukazała się dolina, przecięta płynącą z zachodu na wschód rzeką. Po obu jej brzegach od czasu do czasu widać było pasy równego terenu, wystarczająco długie aby można było wylądować. Było to jałowe pustkowicie, podobne jak tereny widziane przez większość czasu lotu. Być może gdzieś dalej udałoby się natrafić na korzystniej położone lądowisko, ale nie było już takiej swobody wyboru, tym bardziej że nawet paliwo było na wyczerpaniu. Pilot pozwolił sobie jedynie na krótki „krąg kontrolny“ – przelot na małej wysokości nad żwirową łachą, na północnym brzegu rzeki, aby z bliska obejrzeć teren. Po tym zmniejszył obroty silników i łagodnie posadził maszynę w upatrzonym miejscu.

Rozpoczął się kolejny etap ryzykownego przedsięwzięcia.

Nie było żadnych tubylców obserwujących lądowanie, według wszelkiego prawdopodobieństwa przybycie niemieckiej ekspedycji nie zostało przez nikogo zauważone. Z miejsca, jak poprzednio, rozpoczęto rozbijanie obozowiska, tym bardziej, że po zachodzie Słońca temperatura spadała w szybkim tempie. Członkowie wyprawy mieli już w tym pewną wprawę, więc każdy wiedział co ma robić i praca została wykonana bardzo sprawnie. Namioty ustawiono w krąg z placykiem pośrodku – dla częściowej przynajmniej ochrony przed dzikimi zwierzętami i wiatrem. Kolejnym elementem „rutyny“ miało być rozpalenie pośrodku placyku ogniska, przynajmniej w celu zagotowania wody na kawę i herbatę. Okazało się jednak, że jest to tutaj jeszcze większy problem niż na zachodniochińskim stepie. Nigdzie nie było żadnego drewna! Ostatecznie wszyscy postanowili się rozdzielić w jego poszukiwaniu. Brandt i Beger poszli nad rzekę a Weber w przeciwną stronę. Schäfer, Schulze i pilot zostali, cały czas rozstawiając bagaże. „Poszukiwaczom“ udało się jednak nazbierać zaledwie trochę chrustu z wysuszonych górskich krzaków.

Było wątpliwe czy wystarczy to nawet do zagotowania garnka wody. Na szczęście przynajmniej z tą ostatnią nie było problemu; zaledwie sto metrów od obozu przepływała spora górską rzeka, niosąca krystalicznie czystą, lodowatą wodę. Z uwagi na fakt, że brano pod uwagę porzucenie części zapasów, udało się przekonać Schäfera, że oderwanie paru desek z jednej ze skrzyń nie będzie stanowiło żadnej szkody. Dzięki temu, mimo zimna, udało się zorganizować jaką taką kolację, opartą wprawdzie na konserwach i sucharach, ale przynajmniej popitą kubkiem porządnej, gorącej kawy lub herbaty. Trzeba było przecież nabrać sił przed kolejnym dniem...

Popijając herbatę Brandt uświadomił sobie jak dobrym pomysłem było przysłanie „w odsiecz” Schulzego z samolotem. Przecież na dobrą sprawę nikt nie wiedział o ich istnieniu tutaj, a raczej „nie miał prawa wiedzieć”. Gdyby wszystko szło dawnym torem, tukli by się przecież parę tygodni przez wyjątkowo niegościnnie wysokogórski step. Być może, pomyślał Brandt, ewentualny wróg nadal sądzi, że tak właśnie robią. No i oczywiście zostali ostrzeżeni, że przedzieranie się do Srinagaru mogłoby się bardzo źle skończyć...

Następny dzień wbrew oczekiwaniom nie był pracowity – dla wszystkich z wyjątkiem Schäfera, który wziął swój myśliwski sztucer i udał się na północ „w celu zorganizowania transportu”, jak to sam enigmatycznie określił. Wrócił po południu, wraz ze... sporym tłumkiem tragarzy. Okazało się, tak jak wynikało ze starej mapy Schäfera, że niecałe dziesięć kilometrów bardziej na północ znajduje się droga, a wzdłuż niej – kilka niewielkich wsi. Ponieważ tragarzami czy kulisami byli w tym kraju wszyscy zaliczający się do biedoty, włącznie z kobietami a nawet parunastoletnimi dziećmi, rekrutacja dwudziestu kulisów, w kilku wsiach, nie była wcale wielkim wyzwaniem. Przedstawiali oni dla Europejczyka żaloszny widok: odziani nie tyle w ubrania, co w szmaty, mieli dźwigać kilkudziesięciokilogramowe ciężary – w górach i na odległość kilkunastu czy nawet ponad dwudziestu kilometrów dziennie. Jak Brandt później się dowiedział dzięki swej znajomości sanskrytu – de facto języka tybetańskiego, nikt z nich nie umiał czytać ani pisać, a wielu w ciągu całego swego życia nigdy nie było dalej niż w odległości kilkudziesięciu kilometrów od rodzinnej wioski – a i to wyłącznie z tytułu „obowiązków zawodowych”, względnie z powodu pielgrzymki do którejś ze świętych gór. Ekspedycja znalazła się więc w części świata praktycznie zupełnie odizolowanej od nowoczesnej cywilizacji technicznej.

Tybetańscy tragarze „rozgościli się” na lądowisku. Usiedli w pobliżu namiotów na swoich derkach, przywitali się usłużnym zwrotem „Saalam, sahib!”, owinęli się w swe derki i pozostali w tym oczekiwaniu aż do rana. Za kolację służyło im ciasto przyrządzone z prażonej mąki jęczmiennej i napój przypomi-

ający jogurt; z mleka jaków. W międzyczasie wyłonili swego przywódcę, który pośredniczył w kontaktach z członkami wyprawy i najwyraźniej dbał o sprawiedliwy rozdział ciężarów. Lamana angielszczyzną przedstawił się jako Emby.

Dwudziestu dodatkowych ludzi przynajmniej rozwiązało częściowo kwestię nadmiaru zapasów żywnościowych. Przygotowano im obfite śniadanie, zabierając w drogę tylko niewielką część pozostałych zapasów. Reszta została umieszczona w samolocie, który odtąd miał być „przypisany” do ekspedycji.

Schäfer spojrział na bosc stopy kulisów i starał się nie myśleć o tych siedemdziesięciu, może osiemdziesięciu kilometrach bezdroży (w obie strony), o półkach skalnych i górskich ścieżynach pełnych kamieni – brzytew. Nie bardzo mógł sobie wyobrazić dotarcie do celu w trzy dni i bezpardonowo rucił pod adresem Emby'ego:

– Chcę iść szybko. Za trzy dni mamy być u celu, w głównej części kompleksu świątynnego góry Kalias!

– Niech pan nie liczy na jakieś tam trzy dni! – odparł Emby – Sir, to zajmie cztery – pięć dni, proszę mi wierzyć. Szybciej się nie da.

– Będzie dodatkowa zapłata, o jedną trzecią więcej jeśli dotrzemy w cztery dni. – Schäfer zmienił ton.

Owinięty szmatami „legion transportowy” wcale nie wiwatował. Zdawali sobie sprawę z czekających ich cierpień i niebezpieczeństw wysokogórskiej wędrowni, w rozrzedzonym powietrzu. Pomimo tego w stosunku do młodszymi; tak naprawdę – dzieci, nie było żadnej taryfy ulgowej. Dostali tyle samo sprzętu, konserw, amunicji, co dorośli, co ich rodzice. Wielowiekowa tradycja, ogólnie akceptowana.

Emby zaproponował Schäferowi wypłacenie wszystkim skromnej zaliczki na zakup ryżu, ostrej przyprawy chili, będącej jedynym dodatkiem do ryżu, oraz na liście narkotyczne – rzekomo niezbędne przy tak ciężkiej pracy. Schäfer godził się na wszystko, byle tylko marsz odbywał się w wymaganym tempie.

W końcu – wymarsz. Miejscowi zarzucili na czoła jedwabne pasy mocujące uplecione z bambusa kosze zawierające ładunki, na sygnał dany przez swego przywódcę wstali i maszerowali tak nieprzerwanie wzdłuż rzeki przez dziesięć kilometrów. Stanęli dopiero w umówionej wcześniej wiosce, gdzie dokonali zakupów i rozpoczęto cały ceremoniał gotowania ryżu. Zajęło to około czterdzieści minut. Brandt dziwił się, jak ryż może gotować się ponad pół godziny, cały czas pozostając twardy. Wyjaśnił mu Beger: na tej wysokości woda wrze w znacznie niższej temperaturze, jakichś osiemdziesięciu stopni i dlatego gotowanie nie przypomina gotowania w Europie, z tego samego powodu jest niemal cudem zaparzenie mocnej herbaty.

Cały czas ekspedycja przemieszczała się mniej lub bardziej doliną rzeczną, a więc poziomo. Dopiero za wsią rozpoczęły się przysłowiowe schody. Droga zrobiła się znacznie węższa, coraz więcej na niej było kamieni, które skądś spadały, czasami blokując przejście. Coraz częściej widać było kolorowe, głównie czerwone nitki zaplecione wokół gałązek krzewów – znak, że znaleźli się na Świętej Drodze. Nitki były magicznym sposobem na udobruchanie duchów strzegących drogi, mieszkających w roślinach oraz wyrazem szacunku dla wszystkiego co żyje. Od czasu do czasu pobocze ścieżki „zdobiły” też czaszki zwierząt, będące siedliskiem magicznych mocy. Schäfer cały czas zresztą twierdził, że religią Tybetu nie jest buddyzm, lecz lamaizm – pomieszanie buddyzmu z pierwotną religią „bon”, opartą na wierze w niezliczoną liczbę duchów i demonów. Były duchy kamieni i skał, duchy wody ją zamieszkujące, duchy powietrza itp. W tym względzie Tybetańczycy nie znali żadnego umiaru.

Stopniowo i tak wątłe rośliny pojawiały się coraz rzadziej i krajobraz stawał się coraz bardziej kamienisty. Brandt zastanawiał się jakie siły sprawiły, że pradawna cywilizacja postanowiła pozostawić tytaniczne pamiątki po sobie w miejscu, gdzie nawet marsz bez ładunku jest wielkim wyzwaniem, gdzie nie ma upraw mogących utrzymać populację, gdzie nie sposób przetrwać zimę – wtedy „krajobraz kamienny” zastępuje pokrywający wszystko grubą warstwą śnieg. Co pozwoliło im zlekceważyć podstawowe prawa natury?

W miarę jak wchodzili coraz wyżej, pochód się wyraźnie wydłużał. Widać było, że może przenoszenie ciężarów było lokalną tradycją, ale też że nie wszyscy byli stworzeni do tej roboty, zwłaszcza dzieci. Niemcy, idący na przedzie, przestali dostrzegać tył pochodu. Schäfer wprowadził więc zasadniczą zmianę. Teraz oni szli z tyłu, popędzając „peleton” przed sobą, zamiast kazać mu podążać. Wyraźnie poprawiło to tempo, choć po pół godzinie takiego marszu trzeba było zarządzić krótki postój. Kulisi wyciągnęli zwoje liści narkotyzujących, drewniane fajki. Niemcy zapalili papierosy, choć oddychanie przychodziło przez to z jeszcze większym trudem. Brandt również usiadł. Był zaskoczony, że ta część wyprawy jest tak monotonna. Przebiegała w milczeniu, gdyż nawet wolni od obciążeń członkowie ekspedycji byli tak wycieńczeni i zdyszani, że bardzo szybko stracili ochotę na zwyczajowe pogawędki. Kulisi z kolei trzymali wytyczony rytm marszu. Nie było, przynajmniej na razie, żadnych atrakcji po drodze, same kamienie... Brandt nie zdawał sobie sprawy, że jeszcze nie weszli na sam stok Góry. Wspinali się na fałdę skalną, za którą znajdował się wąwóz, który należało obejść. Dopiero za nim był stok góry, na którą zmierzali. Była jednak też wiadomość pozytywna: do grani dzielącej ich od wąwozu pozostało nie więcej niż pół godziny drogi.

Obozowisko zamierzano rozbić po jego przekroczeniu, na nasłonecznionym, czyli cieplejszym zboczu.

Pochód ruszył i dalej wspinał się na grań. Wkrótce do maszerujących z tyłu Niemców dotarły jakieś okrzyki. Wszyscy się zatrzymali i zdjęli bambusowe kosze. Schäfer i inni natychmiast udali się w stronę „lidera”, zobaczyć co spowodowało taki zamęt. Ich oczom ukazał się najbardziej surrealistyczny widok, na jaki tylko mogli liczyć. Brandt doszedł do klęczącego Emby’ego, który zatrzymał pochód, jednak w pierwszej chwili naukowiec nie pojął co się stało. Widać było już grań wzgórza, wąwóz musiał więc być blisko. Po chwili zorientował się, że patrzył w niezbyt właściwym kierunku. Wąwóz znajdował się nieco po lewej, natomiast wzrok Tybetańczyków utkwiony był w jakimś punkcie na wprost. Brandt też zaczął się przyglądać. Zobaczył stała się sępy krążących za przewyższeniem terenu, może w odległości 80, może 100 metrów. Czyżby jakaś tragedia? – pomyślał. Emocje malujące się na twarzach tubylców też nie sugerowały czegoś wesołego. Rzucił do Schäfera, że pójdzie sprawdzić i wspinał się kilkanaście metrów wyżej. Usłyszał, oprócz odgłosów wydawanych przez wielkie ptaki, jakieś trzaski, niby dźwięk łamanych gałęzi, jednak słabo słyszalne. Po chwili skojarzyły mu się z głuchymi uderzeniami, jakby młota uderzającego w spróchniałe bale drewna. Po kolejnych kilkunastu metrach przekonał się, że to jednak coś innego. Sępy przelatywały mu teraz prawie nad głową, natomiast prosto przed nim, na niemal poziomej płaszczyźnie na szczycie wzgórza ujrzał, początkowo bez żadnych szczegółów ze względu na kontrastujące światło – postać ludzką wykonującą dółne ruchy. Człowiek co chwila schylał się, uderzając wielkim toporem, tu znów podnosił się, wykonując zamach. Co chwila też jakiś nieregularny przedmiot leciał w powietrze. Brandt wykonał jeszcze parę kroków. Nie mógł uwierzyć własnym oczom – w powietrzu właśnie szybowiała ludzka głowa, najwyraźniej odrąbana. Później ręka... Głowa, uprzednio zmiążdżona, wylądowała na ziemi i zanim dopadły ją sępy potoczyła się w stronę Brandta. Widać jednak było, że jest to pomarszczona twarz jakiejś starej, bardzo starej kobiety. Wokół unosił się odór rozkładających się, wielodniowych zwłok. Brandt natychmiast zawrócił zaczerpnąć nieco świeżego powietrza. Opisał swym kompanom przerażający widok. Na twarzy Schäfera pojawił się odcień ironicznego uśmiechu. Skomentował wydarzenie następująco:

– To pan nie wiedział?

– Niby czego?

Tak tu się urządza pogrzeb. Ta kobieta to pewnie jego matka...

Czy to ma być żart? – zapytał Brandt.

– Nie podobnego. Widzi pan, to jest tak: po pierwsze jest rzeczą nie do pomyślenia, aby zwłoki grzebać w ziemi, albowiem ziemia jest święta, nie można jej kłaść. Nie kremuje się też zwłok, jak w Indiach, gdyż drewno jest tu zbyt cenne, aby je palić, nawet podczas pogrzebu. Pozostaje im więc to, co nazywają „pogrzebem podniebnym“. Według nich szczątki wędrują w jakimś sensie wprost do nieba, zanoszone tam przez sępy, które są ptakami boskimi, postaćkami bogów. Ot, i ma pan rozwiązanie całej zagadki.

Schäfer uśmiechnął się jeszcze raz, zadowolony z możliwości popisania się swą wiedzą.

– Czy da się to miejsce jakoś ominąć? – zapytał.

Tak, ścieżka właściwie skręca w lewo i chyba zaraz zaczyna schodzić w dół. Prawdę mówiąc nie przyglądałem się.

– No to ruszamy, im krócej tu będziemy, tym lepiej...

Spojrzał na miejscowych, którzy też już chyba ochłonęli i znów poderwał ich na nogi. Jednak nie na długo. Już po dziesięciu minutach osiągnęli grań. Zobaczyli nie tylko wąwóz, przecięty długim mostem linowym dla pieszych, jak w Andach, ale też wielką, ośnieżoną górę o dziwnie regularnym kształcie – zdjęcia nie kłamały. Widok ten wywarł na nich znacznie większe wrażenie, niż mogli się spodziewać, nawet będąc pod wrażeniem fotografii pokazywanych na pokładzie samolotu. Majestat z odcieniem tajemnicy.

Wśród miejscowych wyzwolił jednak odruch najgłębszej czci religijnej. Padli na twarz, złożyli dłonie i po wzgórzu zaczął nieść się rezonujący, basowy rym mantry Om mani padme hum, powtarzanej nieskończoną ilość razy – aż do osiągnięcia stanu transu lub medytacji. Brandt zastanawiał się, czy modlitwa ta jest rodzajem zbiorowej sugestii, hipnozy, gdyż i on znalazł się szybko pod jej głębokim wrażeniem. Jeszcze chwila a sam padł by na ziemię i dołączyłby do modlących się. Coś się w końcu wydarzyło – pomyślał – doszliśmy nie tylko do kardynalnego punktu w przestrzeni, symbolu dawnej globalnej „Osi“, ale i jakby do miejsca gdzie zamierzeła przeszłość łączy się z teraźniejszością i zarazem przyszłością. Tu można znaleźć klucz łączący różne czasy. Zamyślił się.

Schäfer i Schulze byli jednak myślami w zupełnie innym, bardziej przyziemnym świecie. Zaskoczyło to Brandta. Z jednego z koszy wyciągnęli dwie składane tyczki drewniane, każda o długości jakichś dwóch metrów i zawiesili na końcach flagi Trzeciej Rzeszy. Pionowo, tak że przypominały wojenne proporce. Zamierzali iść z nimi na czele pochodu. Brandt obawiał się reakcji Tybetańczyków, była ona jednak zaskakująco pozytywna, wręcz nabożna. No tak – pomyślał – w końcu swastyka jest symbolem religijnym i mistycznym wywodzącym się właśnie stąd – znak Słońca i boskiej mocy. Nawet umoru-

my zakrzepłą krwią „grabarz“ był pod wrażeniem. Przerwał swą rzeźniczką robotę i wstał odprowadzając ekspedycję wzrokiem. Może był to i właściwy krok z punktu widzenia pozyskania przychylności miejscowych – w myślach Brandta pojawiła się nuta podejrzania – ale czy właściwe jest takie zwracanie na siebie uwagi? Nie podzielił się jednak tymi wątpliwościami z Schäferem.

Proporce były widoczne z daleka. Podczas pokonywania wąwozu widać je było zapewne z obu przeciwległych zboczy, z długiego odcinka pieszego traktu wijącego się zygzakami po południowym stoku świętej góry. Wkrótce korowód wspinał się po nim, Niemcy zaczęli się rozglądać za miejscem najbardziej dogodnym do rozbicia namiotów. Z daleka widać było, nieco wyżej, szeroką półkę skalną dającą widok na okolicę. Wydawała się idealna. Brandt już cieszył się z pokonania planowanego odcinka wyprawy zgodnie z planem i bez incydentów, gdy jego zadowolenie zmąciło niezwykle wydarzenie. Na różowiejącym, wieczornym niebie, pojawiła się ciemna sylwetka samolotu – widok w tych stronach niezwykle rzadki. Niezidentyfikowana maszyna przeleciała nad nimi, po czym zakręciła, jakby okrążając świętą górę. Po kilku minutach pojawiła się jednak ponownie i – ku niepomierzalnemu zdziwieniu wszystkich uczestników – wykonała nad nimi pętlę, jakby chciała dołączyć do uczłujących sępów, po czym odleciała w tym samym kierunku, gdzie początkowo została dostrzeżona. Twarze Niemców zdradzały konsternację i zaskoczenie. Ich myśli zaczęły błądzić w najróżniejszych kierunkach. Powrócił, zapomniany od czasu zastrzelenia Pazingera, strach. Czyżby znowu ktoś ich odnalazł i właśnie zaczynał deptać im po piętach? Na razie nie było sposobu aby rozwiać te obawy. Pozostało im jedynie jak najszybsze zrealizowanie planu ekspedycji, no i oczywiście trzymanie się na baczności. Schäfer stwierdził, że mało prawdopodobne jest, aby ktoś do nich dotarł, nawet w najbardziej niesprzyjających okolicznościach, w ciągu doby lub dwóch. Postanowił jednak, że rozdana zostanie broń i począwszy od następnej nocy wystawiane będą nocne, jednoosobowe warty. Niemcy będą czuwać na zmianę...

Brandt zasypiał pocieszając się nadzieją, że być może są zwyczajnie prze-wrażliwieni, że pojawienie się samolotu było jedynie zbiegiem okoliczności. Pomimo tego wszyscy spali płytkim snem i wstali wczesnie. Każdy chciał dotrzeć do celu jak najszybciej.

Zniknięcie Brandta

W końcu, po trzech dniach marszu, udało się dotrzeć na poziom, na którym zaczynała się „właściwa” góra Kalias. Mijali coraz częstsze pozostałości budowli dawnego centrum ceremonialnego. Wszystkie przedstawiały sobą opłakany stan. Widać było, że pomimo kultywowania kultu, ozdabiania ruin i okolicznych, większych głazów malowidłami – Buddy i starszych niż kult Buddy demonów, budowle były bardzo stare. Rozbudzało to nadzieje na ciekawe odkrycia. W końcu znajdowali się w rejonie badanym jak dotychczas tylko przez amatorów-badaczy z Europy i Ameryki.

Szczyt w kształcie olbrzymiej, sięgającej chmur piramidy był teraz widoczny w całej okazałości. Teraz sprawiał wrażenie mniej regularnego niż wcześniej, jednak prawdziwy szok wywołało coś zupełnie innego. Pierwszy zauważył to Beger:

- Tam coś jest, a raczej ktoś, jakby wielka postać.
- Gdzie – z niedowierzaniem zapytał Weber.
- Tam, nieco powyżej linii horyzontu, na lewo od ścieżki. Stał i zaczął wskazywać obiekty ręką. Cały pochód stanął.
- To Kamienny Mędrzec – odezwał się Emby.

Schäfer podniósł do oczu wielką lornetę Zeissa i zaniemówił. Dopiero po chwili zdobył się na słowa komentarza:

– To istotnie wygląda jak wielka figura siedzącego człowieka. Musi być bardzo daleko, może z kilometr od nas. Zdumiewające! Muszę przyznać, że czegoś podobnego nigdy się nie spodziewałem...

Pomiędzy członkami ekspedycji rozgorzał spór, czy jest to postać człowieka siedzącego w kucki i piszącego na trzymanej na kolanach tablicy lub płycie, czy też człowiek siedzący w pozycji kwiatu lotosu. Spór próbował rozstrzygnąć Emby, stanowczo twierdząc, że jest to zamieniony w kamień „oświecony” mnich, określane tu terminem *Bhottisatwy* – odpowiednik chrześcijańskiego świętego. To zaskakujące wydarzenie, a podobieństwo do człowieka było bezdyskusyjne, wywołało wrażenie wkraczania w hermetyczny dotychczas świat starych zaponnianych bogów, przekraczania niewidzialnej

bramy czasu. Wprowadziło atmosferę oczekiwania na coś niezwykłego. Atmosfera stała się tak napięta, że prawie fizycznie wyczuwalna. Coś nieuchwytnego było w powietrzu...

Nad ekspedycją zbierały się ciemne chmury zwiastujące deszcz. Widok nawisu skalnego, zwieńczonego szeroką półką, osłaniającą go niczym dach olbrzymiej werandy, wywołał więc zrozumiałe zadowolenie. Wydawało się, że oto właśnie pojawiło się idealne miejsce na rozbitcie polowej bazy, gdzie nawet przy niewielkich opadach deszczu można było rozpalić ognisko. Samym członkom ekspedycji wybór miejsca nie sprawiał takiej różnicy, jak małej smuli kulisów, pozbawionej namiotów. Po zdjęciu swych koszy natychmiast rozpoczęli oni budowę szałasów, „przyklejonych” do ściany jak jaskółcze gniazda, z drugiej natomiast strony osłoniętych częściowo wielkimi głazami, które kiedyś zapewne oderwały się od skalnej półki. Do zmierzchu pozostało jeszcze kilka godzin, które można by wykorzystać na wstępny rekonesans okolicy, jednak perspektywa obiadu skutecznie zatrzymała wszystkich w obozowisku. W napotkanym kilkadziesiąt metrów dalej wąskim strumieniem napłynęło kociołek, w którym ugotowano ryż dla Tybetańczyków a następnie wodę na kawę i herbatę. Wyglądało z początku na to, że pogoda przekreśliła te plany na ten dzień – ciemne chmury, już nie deszczowe a raczej burzowe – zbliżały się i kotłowały coraz bardziej, tak jakby zdecydowały się stoczyć z sobą wielką bitwę wokół górskiego szczytu. Po chwili błysnęły pierwsze pioruny. Oko błyskawicznie rozwijającej się burzy po chwili pojawiło się w rejonie samego obozowiska. Na szczęście znajdowało się ono od strony północnej, natomiast gwałtowny wiatr jaki się zerwał, wiał głównie od południa i południowego-zachodu, więc niewiele kropel docierało pod skalny nawis. Zrobiło się zimno i prawie wszyscy szybko pochowali się do namiotów, gdzie raczyli się gorącą herbatą; oraz pod osłonę szałasów. Przesądni kulis, podchodzący religijnie do wszystkich aspektów otaczającej ich rzeczywistości, byli najwyraźniej zatrwożeni. Niektórzy nucili swe melodyjne mantry. Jedynie Brandt, ubrany w płaszcz przeciwdeszczowy, siedział przed namiotem zafascynowany widokiem burzy, gwałtowniejszej od wszystkich innych udało mu się podziwiać wcześniej. Nawały czarnych chmur, fale deszczu smagającego ubogą roślinność, przypomniały Brandtowi o pierwotnej religii tybetańskiej – Bon, opartej na wierze w personifikowane pod postacią demonów siły natury, decydujące o losie jednostek. No tak – pomyślał – tutaj ta wiara nie była wcale czymś dziwnym.

W pewnym momencie piorun uderzył blisko obozowiska. Błysk i huk pojawiły się niemal jednocześnie, oddzielone co najwyżej półsekundową przerwą – co znaczyło, że miejsce uderzenia nie było oddalone o więcej niż

100 – 150 metrów. Brandt zauważył nawet gdzie to było – po drugiej stronie ścieżki, nieco w górę, znajdował się niewielki kamienisty pagórek, porośnięty jakimiś ciemnymi roślinami. Piorun, jak to zresztą często bywa (a Brandt wiedział o tym sporo), uderzył jednak nie w jego szczyt, lecz tuż obok, może kilkanaście metrów po lewej. Młody językoznawca akurat wpatrywał się w to miejsce i był pewien, że było to właśnie tam. Nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby parę minut później następny piorun nie wyładował swej potężnej energii dokładnie w tym samym miejscu. Nie było to jeszcze nic konkretnego, ale obudziło jakiś od pewnego czasu nieużywany zmysł...

Burza była bardzo gwałtowna, ale odeszła równie szybko jak się pojawiła. Ciemne chmury wkrótce znikły po drugiej stronie góry i znowu wyszło Słońce, osuszając mokre głązy. Brandt wiedziony instynktem wstał i udał się na krótki spacer. Nie śpieszył się, szedł powoli lecz pewnie, starał się dokładnie trzymać ustalonego kierunku. Miał zamiar odejść na parę, może dwieście minut, nie było go jednak znacznie dłużej.

Jego nieobecność, „zniknięcie podczas burzy“ wzbudziło zrozumiałe niepokój. Niemcy wypytywali kulisów, czy przypadkiem Brandt nie widzieli. Zaczęli rozglądać się po okolicy. Mało brakowało do zarządzenia przez Schäfera poszukiwań, gdy Brandt niespodziewanie pojawił się z powrotem. Jego twarz była spięta, usiadł, pomimo zainteresowania pozostałych sprawiał wrażenie nieobecnego. Podszedł do niego Schäfer, spojrzął w oczy i dopiero po dłuższej chwili zapytał:

– Co się stało?

– Stało się.

Schäfera nieco zirytowała surrealistyczna wymiana zdań, zapytał jeszcze raz:

– Gdzie pan był, proszę odpowiedzieć!

– Pozwoli pan, że nie odpowiem. Chciałbym natomiast panu coś pokazać.

– Co takiego?

– Najlepiej będzie jak pan po prostu na to spojrzy, to blisko...

Brandt zaprowadził zdezorientowanego i rozdrażnionego szefa ekspedycji w stronę kamienistego pagórka, opowiadając mu po drodze o obserwacji dwóch, uderzających po sobie piorunów.

– Wydawało mi się, że to było mniej więcej tutaj. Widzi pan ten okrągły spękany głaz?

– No pewnie, że widzę. Myśli pan, że te pioruny uderzyły właśnie w niego i dlatego się rozpadł – bardziej stwierdził niż zapytał Schäfer.

– Nie. Widzi pan, sam głaz nie nosi śladów trafienia. Rozpadł się prawdopodobnie już dawno temu. Takie głązy, wprowadzie niekoniecznie tak idealnie

symetryczne, okrągłe jak ten, i nie tak duże – czasami pękają same z siebie. Wystawione na dobowe zmiany temperatury przez np. kilkaset lat potrafią w pewnym momencie niespodziewanie rozlecieć się na idealnie równe „plasterki“. Wyglądają wtedy właśnie tak, jak jajko przecięte na równe plastry. Ślady piorunów są jednak nie na nim, lecz obok. Proszę spojrzeć na tą zwęgloną trawę tutaj – pokazał małą czarną plamę u podnóża głazu. Jest nawet zwęglony piasek, wydziela nawet ten charakterystyczny dla piorunów zapach.

Schäfer w dalszym ciągu nie miał pojęcia do czego zmierza jego rozmówca, ale przynajmniej okazywał zainteresowanie:

– Ale dlaczego pioruny uderzyły niżej, głaz ma przecież z półtora metra średnicy.

– Piorun wcale nie musi trafiać w najwyższy punkt. On reaguje na potencjał elektryczny, jeśli gdzieś trochę niżej jest on z jakiegoś powodu większy, to tam trafi. Jeśli na przykład obok wysokiego dębu będzie dom z dymiącym kominem, to piorun może trafić właśnie tam, gdyż szyp gorącego powietrza jest bardziej naelektryzowany niż drzewo.

– Gdzie pan się tego nauczył?

– W młodości zajmowałem się speleologią.

– Hm, trzeba było tak od razu. Sugeruje pan, że tu coś jest oprócz tego głazu, jakiś podziemny „komin“?

– Nie wiem, prawdę mówiąc, ale głaz robi wrażenie obrobionego sztucznie, może postawionego tu w zamierzonych czasach w celu zablokowania tzw. komina jaskiniowego. Sprawdzenie tego nie będzie wcale trudne, w końcu jeśli już tu jesteśmy i być może nadarzyła nam się okazja...

– Chyba wiem nawet jak to zrobić – stwierdził Schäfer, usiadł na jednym z okrągłych, kamiennych „plastrów“, mogących z powodzeniem pełnić rolę półtorametrowej średnicy blatu od jakiegoś kamiennego stołu, wyjął zapalniczkę i zapalił papierosa.

Począł aż wiatr się uspokoił i ukląkł, zbliżając go do podnóża symetrycznej, spękanej kuli. Nie było to jednak, jak się zaraz przekonał, wcale potrzebne. Prąd powietrza był wyczuwalny po zbliżeniu dłoni do szpary – pomiędzy kamieniami. Wkrótce poderwał się na równe nogi.

– Pan tu zostanie. Muszę mieć tu Begera z kamerą, flagami i Tybetańczykami w tle.

Wrócił po kilkunastu minutach. Czekając na przygotowującą się w oborniku „ekipę“ zagadnął Brandta:

– Co to może być, jak pan sądzi? Może to tylko zwykła jaskinia?

– Może, ale znając Tybet i charakter tego miejsca bardzo bym się dziwił, gdyby tak było. Widzi pan, Tybet przechodził różne koleje losu. Znajdował

się, szczególnie w okresie naszego średniowiecza, w strefie najazdów różnych plemion mongolskich. Wtedy zapanowała jakby moda na tworzenie tajnych schowków. W odróżnieniu od innych religii, jednym z naczelnych celów Buddyzmu jest szerzenie wiedzy i dbanie o jej bezpieczne zachowanie dla przyszłych pokoleń. Głównym celem tej religii jest oświecenie. Z tego powodu wciąż tutejsze klasztory są w istocie wielkimi bibliotekami. Dzisiaj duża część tych księgozbiorów jest już znana. Duża to oczywiście nie znaczy, że sto procent; może 50, może 60 procent. Wiele klasztorów jeszcze nigdy nie udostępniło swoich zbiorów nikomu z zewnątrz. Nigdy od wielu wieków. Wtedy jednak – powiedzmy 800 lat temu – wiele ksiąg istniało w pojedynczych egzemplarzach i często było tak, że te pojedyncze egzemplarze chowano w ściśle tajnych schowkach, w których są do dzisiaj. Miejsce ulokowania schowków było ściśle chronioną tajemnicą. Chodziło o to, aby w przypadku zdobycia klasztoru przez barbarzyńców nikt nie mógł tej tajemnicy zdradzić. Pojawiał się więc paradoks. Zbiory były czasami tak dobrze chowane, że następcy chowających czasami nie mieli żadnych szans na ich odnalezienie po stu czy dwustu latach.

– Noo... ohy tylko miał pan rację.

– Nie mam pojęcia, czy coś tam znajdziemy, ale jedno wiem na pewno – nie jest to zwykły głąz, który pojawił się w tym miejscu przypadkowo.

Na ścieżce pojawił się Beger z kamerą zamontowaną na statywie. Kulisi nieśli oświetlenie, saperkę i inne proste narzędzia. Beger uważnie obserwował ich reakcję i rzucił pod adresem Schäfera:

– Nie jestem pewien, czy nie uznają oni naszej akcji za profanację jednej z ich świętości...

Brandt, który znał sanskryt stwierdził jednak:

– Z tego, co udało mi się zrozumieć wynika coś wręcz przeciwnego. Chyba uważają oni to wydarzenie za coś w rodzaju spełnienia się jakiegoś proroctwa.

– Ohy miał pan rację – dodał Schäfer – być może gdyby nie nasze swastyki, wyglądałoby to zupełnie inaczej...

Beger zdążył ustawić kamerę, okazało się jednak, że poruszenie fragmentów głązu rękami nie jest wcale proste i konieczne było znalezienie czegoś, co mogłoby posłużyć jako dźwignia. Rozpoczęto więc poszukiwanie jakiegoś drąga. Ktoś wrócił do obozowiska, w pobliżu którego podobne „narzędzie” widziano.

W końcu ustawiono „proporce”, przygotowano scenę a Beger rozpoczął filmowanie operacji usuwania kamieni blokujących otwór. Najpierw zrzucano górne warstwy głązu a następnie podważono jego dolną część, którą udało się następnie przesunąć. Istotnie widniała pod nią spora dziura. Miała średni-

ość nie większą niż pół metra, jednak to wystarczyło aby do środka mógł się wsunąć człowiek. Przygotowano linę i latarki. Brandt, jako autor odkrycia, wsunął się do środka. Lina nie była potrzebna, gdyż jak stwierdził, otwór miał głębokość nie większą niż trzy metry i cały czas było podparcie dla stóp w postaci występów w skale. Wskoczył więc do środka i opowiedział co widzi:

– Tu jest cała komora, jakby galeria, jednak jej pochodzenie wydaje się całkowicie naturalne. Biegnie ona prawie poziomo, schodzi lekko w dół. Idę dalej...

– Niech pan uważa na siebie! – rzucił Schäfer.

Po chwili Brandt wrócił i opisał wnętrze groty:

– To wygląda na dojście do większego komina. Galeria kończy się po kilkunastu metrach i przechodzi w pionowy szyb. Jest szeroki i trudno na razie stwierdzić dokąd prowadzi. Pójdę sprawdzić, ale dobrze jeśli ktoś by zszedł z liną i mógłby mnie asekurować.

Przywiązał sobie linę do pasa. Za nim do „galerii” zszedł Beger i ubezpieczał towarzysza. Również Schäfer nie mógł powstrzymać ciekawości i stanął za speleologiem-lingwistą. Na powierzchni pozostał jedynie Weber, pilnujący drogiego sprzętu filmowego i tybetańskich tragarzy. Schulzego pozostawiono natomiast na straży obozowiska.

Oczom członków „ekipy eksploracyjnej” ukazał się zaskakujący widok. Drugi „komin”, czy raczej szyb, był znacznie szerszy, jego średnica dochodziła miejscami do półtora metra. Widać było, że też powstał on w sposób naturalny, jednak w jego ścianach wykute zostały, ewidentnie ręką człowieka, skalne stopnie – czy raczej wnęki, w które można było wsunąć buty. Dzięki nim można było, opierając się rękami o ściany, schodzić w dół nawet bez specjalistycznego sprzętu. Brandt używał obu rąk i z tego powodu polegał na pozostającym na górze koledze – w poziomej galerii, który trzymał w ręku latarkę. Okazało się, że szyb ma wysokość kilku pięter – kilkunastu metrów i dochodzi do dużej komory o eliptycznym, regularnym kształcie. Z niej z kolei odchodzą skośnie w dół, wąskie na ogół, mniejsze korytarze. Komora była tak duża, że latarka świecąca z góry prawie w ogóle nie rozświetlała mroku. Dopiero gdy Beger spuścił ją na linie, Brandt mógł bliżej zorientować się w sytuacji. Dźwięk w szybie rozchodził się doskonale, więc pozostali słyszeli nawet jego ciężki oddech:

– To z pewnością nie jest naturalna część jaskini. Komora jest idealnie okrągła, jest mnóstwo szklistych nacieków na ścianach, ale głównie od południowej strony. Z drugiej strony widać jednak, że powierzchnia ścian jest tak gładka, że odbija światło jak lustro, chociaż ma brązowy kolor.

– Czy możemy zejść? – zapytał Schäfer.

– Oczywiście. Jest tu wystarczająco dużo miejsca. Linę możecie nawet zostawić na górze. Może najpierw niech pan spuści kamerę ze statywem, bo warto to utrwalić na taśmie...

Pozostali dwaj badacze dostarczyli na dół kamerę. Najpierw zszedł Schäfer, Beger nieco później – z dodatkowymi bateriami do latarki i pochodnią sporządzoną przez Emby'ego z jakichś żywicznych korzeni zaplecionych wokół kawałka kija. Pochodnia wprawdzie szybko się wypaliła, jednak pozwoliła ogarnąć wzrokiem całą komorę. Miała średnicę jakichś dwudziestu metrów i miała poza tym jeszcze jedną niezwykłą cechę. Przypominała „salę posiedzeń” w monachijskim pałacyku Towarzystwa Thule – pod względem specyficznej akustyki. Dźwięk głośno wypowiedzanych słów i uderzeń butów odbijał się od ścian i skupiał w środku, przez kilkanaście sekund rezonując wibrującym echem. W ciemności wywierało to szczególne wrażenie.

– Wygląda na to, że nie jest to żaden przypadkowy schowek, ale sztucznie wykonany obiekt. Po co jednak ktoś zadawał sobie trud tak dokładnego polerowania ścian? Jak oni to zrobili?

Pytania Begera pozostały bez odpowiedzi. W komorze zaległa jedynie na dobrą minutę kompletna cisza. Beger stwierdził, że pomimo oświetlenia w postaci pochodni i latarki, w tak dużej, ciemnej komorze nie da się nakręcić żadnego filmu. Do tego potrzebne by było porządne oświetlenie elektryczne. To było przysłowiowym marzeniem ściętej głowy. W Tybecie elektryczność wciąż wywoływała sensację i to tylko wtedy, gdy ktoś dysponował prądnicą. Nie było żadnej sieci elektrycznej, nawet w pałacu Dalajlamy w stolicy.

Korzystając ze światła pochodni obejrzano jedynie komorę ze wszystkich stron. Okazało się wtedy, że ściany tylko pozornie są takie same ze wszystkich stron. Od północy, tej nie pokrytej naciekami, pojawiły się słabe odbłaski światła. Niebieskawego światła.

– Coś tu jest – zauważył Brandt – to jakby kwarc, tworzący proste pionowe i poziome linie.

– Tak, już zauważyłem, chociaż dopiero teraz widać, że to są proste linie – dodał Beger. Miałem, szczerze mówiąc wrażenie, że odbłaski pojawiły się jeszcze przed zapaleniem pochodni. Myślałem, że pochodziły od latarki, ale takie niebieskawe światło...

– Co pan sugeruje? – włączył się Schäfer.

– Może zgaśmy pochodnię. Ma pan zapalniczkę, to później zapalimy ją znów.

– I latarkę – dodał Brandt.

W komorze zapanowały kompletne ciemności. Nie było żadnych odbłasków. Badacze przez dłuższą chwilę stali obok siebie. W pewnym momencie

Schäfer zahaczył o statyw z kamerą. Bojąc się zniszczenia kamery instynktownie objął ją ramieniem. Uchronił sprzęt przed uderzeniem o twardą skałę, jednak sam poślizgnął się na wypolerowanej powierzchni i upadł – w ciemności. Pozostali odsunęli się, jednak w powstałym zamieszaniu zorientowali się, że na bardzo krótką chwilę ciemność rozświetlił ledwo widoczny, niebieskawy błysk.

– A jednak! – zdumiony odezwał się Brandt.

– Pan też to widział? – dorzucił Beger.

– Tak, to wygląda jak błysk wyładowania elektrycznego, taki niebieskawy splot...

– Wyładowanie elektryczne, tutaj, chyba pan żartuje – Schäfer wyraził swój sceptycyzm.

– Mam na myśli ledwo zauważalną iskrę, jakby od elektryczności statycznej, zresztą od samego początku czuć było tutaj delikatny zapach ozonu, myślałem że od uderzenia pioruna – zripostował Brandt.

Wziął latarkę i podszedł do ściany, do miejsca, które wydało mu się podejrzanym. Kontynuował:

– Tak, to jednak jest możliwe. Z początku wydawało nam się, że ściana komory jest lita, jednak tak wcale nie jest. Są tutaj jakby żyły, prawdopodobnie kwarcu, tyle tylko, że tworzą one proste linie idące pionowo. Bezbarwny minerał, mogliśmy go przeoczyć.

– Co ma kwarc do elektryczności? – komorę wypełnił głos niedowierzania, jak zwykle sceptycznego szefa wyprawy.

– To bardzo proste. Kwarc jest materiałem piezoelektrycznym. Ścisany lub poddany wibracjom generuje prąd elektryczny. Jego natężenie jest bardzo małe, ale wystarczające do wywołania przeskoku iskry lub iskiek, jeśli kryształów jest więcej.

– Widocznie ma to jakiś związek z akustyką tego pomieszczenia. Może to działa wtedy, gdy przestrzeń wypełniają odpowiednie dźwięki, powodujące rezonans i delikatną wibrację ścian... – zauważył Beger.

– Może... Ale po co? – pytaniem na pytanie odpowiedział Brandt.

– Wie pan – włączył się Schäfer – gdy oni tam na górze, tragarze, nucili tu swoją mantrę – *Om mani padme hum*, te basowe dźwięki, miałem wrażenie, że czuję tę wibrację nawet w płucach. A co by było, gdyby zadać tu w te lub wielkie basowe trąby, słyszalne w górach nawet z paru kilometrów...

– Tak, może zbierali się tu odprawiając jakieś tajne ceremonie, ale w dalszym ciągu nie przychodzi mi do głowy żadne wyjaśnienie, które sensownie tłumaczyłoby umieszczenie w ścianach kryształów kwarcu. Przecież nie można założyć, że chcieli tu ściągać pioruny! – odparł Brandt.

– Pozwolę sobie zauważyć, panowie, że chyba nie mamy czasu na roztrząsanie tutaj tego problemu, musimy zachować zapas baterii do latarki, a chyba przede wszystkim powinniśmy zbadać korytarze odchodzące w bok. Może prowadzą do innych ciekawych miejsc, może właśnie dzięki temu uda nam się wyjaśnić zagadkę przeznaczenia tego miejsca. – przerwał rozważania Beger.

Pozostali zgodzili się z jego rozumowaniem. W trzech miejscach dolnej części eliptycznej komory widać było wąskie kanały odchodzące w różne strony. Badacze postanowili im się przyjrzeć, korzystając z ostatniego dostępnego źródła światła. Dwa – od strony północnej i północno-wschodniej miały nieregularny przekrój i wyglądały na naturalne. Prawdopodobnie były pozostałościami z okresu gdy była to jeszcze część naturalnej jaskini. Jeden był zaledwie większą skalną szparą i płomień zapalony przez Schäfera zapalniczki nie zdradzał żadnego prądu powietrza.

Pewnie jest to jakaś boczna odnoga, dawno już zapchana, może nawet celowo – stwierdził Brandt.

Drugi korytarz miał większy przekrój. Na początkowym, widocznym odcinku miał przekrój wystarczający aby mógł nim przecisnąć się człowiek, jednak jego brzegi były tak postrzępione, że byłoby to przedsięwzięcie dosyć ryzykowne. Widać zresztą było, że dosyć szybko zaczynał gwałtownie schodzić w dół. Ten dla odmiany zdradzał istnienie dosyć silnego prądu powietrza. Nie było jednak chętnego gotowego do jego eksploracji.

W tej sytuacji badacze postanowili bliżej przyjrzeć się korytarzowi „południowemu”. Był wąski, nie miał więcej niż 60 cm średnicy, jednak już na pierwszy rzut oka wyglądał znacznie ciekawiej niż pozostałe. Miał bardzo gładkie ściany, podobnie jak sama komora, z rzadka tylko połysk powierzchni „zakłócały” nacieki, które powstały z wody przesączającej się przez nieliczne, drobne pęknięcia. Poza tym widać było niewiele, gdyż korytarz dosyć szybko zakręcał, jakby spiralnie.

Brandt próbował wsunąć się do tunelu, głową do przodu, lecz niewiele to dało. Nie zobaczył niczego szczególnego. Latarka świeciła zresztą coraz słabiej. Schäfer postanowił włożyć do niej nowe baterie, zabrane z powierzchni, stare natomiast wykorzystał do przeprowadzenia prostego eksperymentu. Zużyte baterie, w liczbie czterech – cylindryczne, idealnie nadawały się do wysondowania przypominającego zakreconą rurę korytarza. Nakazał zachowanie absolutnej ciszy – głowy wszystkich przysunęły się maksymalnie do wylotu, czy raczej wlotu korytarza. Sam wziął jedną z baterii i rzucił lekko w głąb. Rzucił, gdyż na początkowym odcinku spadek tunelu był bardzo łagodny. Słychać było jak bateria toczy się po gładkiej powierzchni, zatacza się po łukowatych ścianach. Dźwięk był coraz słabszy, można jednak było od-

nieść wrażenie, że leci ona coraz szybciej, wcale się nie zatrzymując. Dźwięk był coraz bardziej głuchy, jednak dał się słyszeć przez co najmniej minutę. Taki sam wynik dało wrzucenie pozostałych baterii.

Wejście tutaj byłoby dosyć ryzykowne. Można się łatwo poślizgnąć i pojechać w dół tak jak ta bateria... – zauważył Beger.

– Mamy przecież w górnym tunelu około dwadzieścia metrów liny. Mogę przywiązać ją sobie do pasa i spróbować zejść, przynajmniej te dwadzieścia metrów. Wy byście mnie ubezpieczali – zaproponował Brandt.

Spotkał się z aprobatą...

Schäfer wspiał się więc z powrotem po skalnych stopniach do górnego korytarza, informując przy okazji czekającego na górce Webera o dokonanych odkryciach, po czym wrócił z liną. Brandt powoli rozpoczął ześlizgiwanie się w czarną, głuchą otchłań. Latarkę, wyłączoną – gdyż w tej chwili i tak niewiele by się przydała, powiesił sobie na szyi. Zjeżdżał nogami do przodu, powoli, starając się zapierać butami i ramionami o ściany. Chciał mieć cały czas kontrolę nad tempem zsuwania, niezależnie od trzymanej przez kompanów liny. Ani razu jednak lina nie napięta się pod jego ciężarem. Ściany były wprawdzie gładkie, ale cały czas, przy odpowiedniej pracy mięśni, stawały wystarczający opór aby nie dopuścić do niekontrolowanego spadku – chociaż po pierwszym zakręcie korytarz zaczynał coraz bardziej schodzić w dół. Na całym pokonanym odcinku jego szerokość była prawie taka sama. Nie było żadnych występów czy wnęk w ścianach, które pozwalałyby choć na chwilę rozluźnić mięśnie. Po kilkunastu minutach powolnego posuwania się Brandt usłyszał głos z góry informujący go, że zaraz kończy się lina. Schäfer wyczuł w dłoniach węzeł zawiązany wcześniej metr przed końcem.

No cóż – pomyślał Brandt – nie miała to być wyprawa speleologiczna...

Postanowił wykorzystać fakt, że doszedł tak daleko, i zdobył się na swój wyczyn ekwilibrystyczny. Jedną ręką zdjął zawieszoną na szyi latarkę osłoniętą nowymi bateriami, podniósł głowę opierając czoło na sklepieniu i rozchylił nogi, aby móc dostrzec jak najwięcej w skalnej otchłani. Z początku widział tylko ciemną powierzchnię skały, jednak w miarę jak zaczynał dokładniej omiatać ją strumieniem światła, dostrzegł coś jeszcze. W pewnym momencie, trzy – pięć metrów niżej, eliptyczna plama światła jakby się zamywała.

Tak – powiedział do siebie – tam coś jest.

Wyglądało na jakieś odgałęzienie, może boczna komora. Brandt poinformował o swym spostrzeżeniu kompanów trzymających linę. Zdecydował się wrócić do górnej komory. To poszło akurat dosyć szybko – został po prostu przez pozostałych wyciągnięty. Wszyscy musieli trochę odetchnąć, po czym

Brandt zaproponował, że odbędzie jeszcze jeden zjazd. Jego oczy zdradzały strach i zmęczenie, ale także rozbudzoną ciekawość odkrywcy. Zdecydował się zjechać bez asekuracji, gdyż i tak w pobliżu odgałęzienia pozostali musieli by linę wypuścić z rąk, a wczolgiwanie się później z takim „ogonem” byłoby tylko niepotrzebną komplikacją. Zapewnił, że cały czas musiał mocno zapierać się nogami i rękami, jednak był w stanie w ten sposób się utrzymać. Przyrzekł, że będzie zsuwał się bardzo ostrożnie...

Tak jak pomyślał, tak zrobił. Mniej więcej właśnie po przebyciu dwudziestu metrów jego noga wyczuła pustkę z boku opadającego skośnie korytarza. W tym momencie zdał sobie sprawę na jakie ryzyko się zdecydował. Przeciwnie w pewnym momencie hędzie musiał po prostu się puścić. Luka czy nisza – teraz już było oczywiste, że nie jest to tylko rozgałęzienie, że w bok nie odchodzi drugi, podobny korytarz – obejmowała swoim przekrojem połowę jego średnicy i znajdowała się z boku. Brandt miał tymczasem tylko dwa wyjścia. Mógł albo pozostać „zaklinowany” w tunelu, teraz już raczej szybie, albo mógł próbować sięgnąć nogami do skalnej krawędzi. To jednak oznaczałoby rozluźnienie uścisku i było dosyć niebezpieczne. Ostatecznie postanowił w miarę możliwości zsuwać się prawie do końca w sposób kontrolowany, trzymając sznur od zapalanej latarki w zębach, tak aby mógł rozluźnić uścisk dopiero wtedy gdy znajdzie się na wprost pustej przestrzeni. Tak też zrobił, chociaż pomimo powiewu chłodnego powietrza po jego czole spływały krople potu. W pewnym momencie lekko zahaczył kolaniem o ostrą, dolną powierzchnię komory co zapewniło mu wystarczająco mocne oparcie, aby mógł sięgnąć do niej również lewą ręką. Prawą natomiast odepchnął się od ściany korytarza-szybu. Jego brzuch oparł się o „podłogę”, czy fachowo mówiąc – spąg pomieszczenia i Brandt mógł już wsunąć do niego resztę ciała. Starał się nie myśleć o tym jak wejdzie z powrotem do „komina”...

Wziął do ręki latarkę i dopiero teraz zobaczył gdzie się znalazł.

Był w komorze o naturalnych, nierównych kształtach, choć mającej z grubsza obrys prostokąta. Nie była tak duża jak gładka komora eliptyczna, jednak ciągnęła się dosyć daleko w głąb a jej wysokość była wystarczająca aby Brandt mógł stanąć. Na chwilę zbliżył się jeszcze do szybu i krzyknął do kompanów, że żyje, wszedł i zamierza trochę się po pomieszczeniu rozejrzeć.

Szedł w głąb, dokładnie omiatając ściany światłem latarki. Z początku nie dostrzegł niczego niezwykłego, ale przecież – tłumaczył sobie – doprowadzenie bez wątplenia sztucznie wykonanego kanału tutaj musiało przecież mieć jakiś cel. Pomieszczenie stopniowo się zawężało. Podłoga nadal była stosunkowo równa i pozioma, jednak u góry ściany schodziły się, przechodząc w naturalną szparę – rozpadlinę. W końcu, w odległości zaledwie kilku

metrów ukazał się koniec „groty”. Luźne glazy i stalaktyty utrudniały prząjście, jednak kilka dalszych metrów za nimi widać było skalną, pochyloną płytę kończącą pomieszczenie. Była prostokątna i pomimo idealnego „wtopienia się” w otaczającą skałę wyglądała dosyć podejrzanie. Jej powierzchnia była zbyt równa, pomimo nielicznych nacieków i cienkiej warstwy mulistego osadu. Brandt już zamierzał zrezygnować z próby przeciskania się pomiędzy stalaktytami, gdy po raz drugi uwagę jego przykuł dziwny błysk. Nie miał wprawdzie nic wspólnego z niebieskawym błyskiem iskry elektrycznej, było to zwykłe odbicie światła od czegoś na płycie. Brandt miał wrażenie, że kolor odbłasku jest raczej złoty.

To go ostatecznie przekonało i podjął próbę przecisnięcia się pomiędzy stalaktytami. Doczołgał się do płaskiej powierzchni, zbliżył głowę do miejsca, w którym pojawił się delikatny odbłask i skierował na nie światło latarki. Tym razem kolor okazał się złoty! Dotknął powierzchni ręką i przetaił brązowy osad. Nie mylił się. Płyta sprawiała wrażenie pozlacanej. Co więcej – odkryta była jakimś, ledwo widocznymi znakami, sanskryckimi hieroglifami. Może – pomyślał – jest to jakieś wejście?

Próbował płytę poruszyć, jednak ta nawet nic drgnęła. Cofnął się kilka metrów do miejsca, gdzie w wąskiej szparze zauważył przesączający się strumyczek czystej wody, nabrał jej trochę w dłonie i spróbował choćby z grubsza obnyć pokrytą jakimś przekazem pozlacaną powierzchnię. Niewiele udało mu się jednak odczytać, tylko pojedyncze słowa. W paru miejscach płyta była mocno uszkodzona, znaki były niewyraźne a cienka warstwa błyszczącej złotej farby – starta. Jeszcze raz, teraz mocniej, spróbował oderwać płytę od otaczającej skały. Zaparł się nogami i ciągnął z całej siły – znowu bez rezultatu. Przylegała jakby była przyklejona, nie było widać najmniejszej szpary. To jednak tylko wzmogło jego zapał. Sytuacja wydawała się beznadziejna. Spróbował jednak jeszcze środka ostatecznego – oparł się rękami o stalaktyty i z całej siły kopnął płytę, obiema nogami. W dalszym ciągu nie było widać żadnego efektu, rozległ się jedynie cichy trzask. „Teraz albo nigdy” – wyszeptał do siebie, oparł się rękami jeszcze mocniej i kopnął w sam środek. Tym razem jego wysiłek został przynajmniej częściowo nagrodzony. Pojawiło się ukłucie pęknięcia, przechodzące przez sam środek przeszkody. Kopał więc do skutku, aż cała płyta legła w gruzach.

Za nią była pustka. Poczekał aż opadnie kurz i wślizgnął się do środka, omiatając ściany światłem latarki. Nic mógł uwierzyć własnym oczom. Tak jak instynktownie podejrzewał, jeszcze obserwując przechodzącą burzę, pod ziemią kryła się tajna, starożytna biblioteka. Pamiątka po zamierzchłych czasach, gdy Tybet był jeszcze w czołówce światowej cywilizacji. Pomieszczenie było

bardzo małe i wąskie, było przedłużeniem zwężającej się komory. W jednej ze ścian wykuto natomiast nisze, kilkadziesiąt nisz, w których znajdowały się podłużne drewniane pojemniki, pokryte jakąś substancją bitumiczną. Dzięki temu drewno spełniło swą rolę i zabezpieczyło zawartość przed wilgocią i zniszczeniem. Brandt doskonale zdawał sobie sprawę jak niewiele ma czasu – nie więcej niż dziesięć minut. Po tym można było się spodziewać, że latarka zacznie stopniowo przygasać.

Śpieszył się. Wyjmował z nisz jedno pudełko po drugim, każde o długości około pół metra i pobieżnie oglądał zawartość. W większości znajdowały się pliki kart wyciętych z liści palmowych i pokrytych typowymi dla sanskrytu hieroglifami. Dla językoznawcy było oczywiste, że wszystkie manuskrypty są bardzo stare. Oceniał, że pochodzą jeszcze z ostatnich wieków przed naszą erą. Pierwsze pudełko, które otworzył przyniosło ze sobą niemiłą niespodziankę: liście jakie wziął do ręki rozpadły się na drobne skrawki. Postanowił więc nie opróżniać pozostałych pojemników, lecz przenosić je w pobliże szybu w takim stanie, w jakim się znajdowały. Nie wyciągnął wszystkich, wiedząc, że może wziąć tylko tyle ile zmieści się do jednego kosza. Krzyknął do pozostających w komorze wyżej kompanów, że wychodzi i prosił o rzucenie liny. Z ciarkami biegającymi po plecach wszedł ponownie do krętego kanału, po chwili trzymał już w rękach linę i szybko znalazł się przy jego górnym końcu. Sam położył się na gładkim „spagu” – ledwo dysząc, poprosił natomiast Begera o udanie się na powierzchnię i pożyczenie od Tybetańczyków jednego bambusowego kosza.

Po kilku minutach „poślaniec” wrócił z koszem, butelką wody i jeszcze jednym – już ostatnim – kompletem baterii, traktowanym dotychczas jako żelazna rezerwa. Do kosza została przywiązana lina. Brandt ponownie wsunął się w gładki kanał i nieco już sprawniej niż za pierwszym razem dotarł do dolnej komory, w której leżały poukładane drewniane, jakże cenne pojemniki. Na dany sygnał koledzy wrzucili do szybu kosz, którego średnica była niewiele mniejsza niż samego szybu. Brandt bez problemu złapał więc przesyłkę i zapelniał niezwykłym ładunkiem. Starał się tak umieścić pojemniki, aby były wklonowane w kosz i nie wypadły na prawie poziomym odcinku korytarza. Koniec liny wsunął sobie za pasek, kosz ustawił natomiast na brzegu komory. Latarkę zgasił aby oszczędzać baterie i zawiesił sobie na szyi. Powoli przesunął się w górę, tym razem wyłącznie dzięki sile własnych mięśni i oporowi, jaki stawiła powierzchnia skały. Po dwudziestu metrach poczuł delikatne napięcie liny – to był znak, że pociągnęła ona kosz. Był to dodatkowy ciężar, parędziesiąt kilo. Na szczęście jednak Brandt dotarł już do części tunelu, gdzie przebiegał on prawie poziomo i łatwiej było mu się

poruszać. Po chwili wciągał więc kosz do góry. Wkrótce dotarł do „Komory Eliptycznej” – jak ją ochrzczono. Najtrudniejszą część przedsięwzięcia związanego z „Górą Osi Świata” miał już za sobą. Pozostało tylko wydostanie się na powierzchnię, dziecinnie łatwe w porównaniu z eksploracją i pokonaniem „dolnego odcinka”; no i oczywiście żmudne zrelacjonowanie przygody w podziemiach wszystkim pozostałym...

Na powierzchni już zmierzchało – należało jak najszybciej powrócić do obozowiska i przyrządzić jakiś posiłek. Jak już było w zwyczaju, skromna biesiada stała się pretekstem do omówienia sytuacji i planów na dni następne. Znalazienie starożytnej biblioteki zgodnie uznane zostało za wielki sukces i przeważała opinia, że przede wszystkim nie można dopuścić do jego zaprzepaszczenia. Oznaczało to, że w obliczu wciąż realnego ryzyka „wytropienia” przez wrogów całkowicie zrezygnowano z badań świątyń, kamiennych monumentów i innych zapomnianych zabytków okalających zbocze Góry. Za ważniejsze uznano bezpieczne, i jak najszybsze dostarczenie znaleziska do samolotu. Jeśli – a nie można było tego wykluczyć – wróg już dowiedział się o ich pobycie w tym miejscu, to najlepszym rozwiązaniem było jego jak najszybsze opuszczenie. Powrót na lądowisko miał się więc rozpocząć już następnego dnia o świcie.

Po opóźnionym obiedzie Brandt podjął ryzyko wjałmniczenia Schäfera we wszelkie szczegóły jego kolejnej i najważniejszej misji, która miała zostać zrealizowana w stolicy kraju – Lhasie. Chodziło mu w tym przypadku o jej jak najszybsze zakończenie, z tych samych powodów, z których należało jak najszybciej opuścić Górę Kalias. Nie byłoby to możliwe, gdyby zdany był sam na siebie – i nie byłoby też bezpieczne. Schäfer całkowicie podzielał ten punkt widzenia...

Rano następnego dnia, po śniadaniu, rozpoczęto więc zwijanie obozu, tym bardziej, że choroba górską – połączona ze zmęczeniem, objawiała się coraz ostrzejszymi dolegliwościami. Dotyczyło to przede wszystkim Brandta, który przez cały poprzedni dzień starał się „dać z siebie wszystko” nie zważając na konsekwencje. One natomiast okazały się bardzo poważne, żeby nie powiedzieć: alarmujące. Jako pierwszy dostrzegł je doświadczony Emby – zaburzenia pracy serca charakterystyczne dla stanu przedzawałowego. „Gdyby nie dzisiejszy powrót” – oznajmił – „wasz speleolog mógłby nie przeżyć następnych 24 godzin...” Tak czy inaczej wysokogórski epizod właśnie się kończył, a dolegliwości zdrowotne szybko ustępowały; w miarę schodzenia na coraz niższą wysokość. W jakimś sensie kompensowała je też świadomość niezwykłych „zdobyczy”, które – jak powszechnie sądzono – z pewnością zostaną docenione przez Berlin.

Tym razem cała grupa posuwała się znacznie szybciej i dotarła do lądowiska już wieczorem następnego dnia po wyruszeniu. Pomimo dwóch koszy ze starożytnymi manuskryptami (ładunek podzielono i owinięto w koce), wielu tragarzy nic nie niosło – ubyłoby przede wszystkim żywności. Na wniosek Brandta, któremu obce były tęsknoty mistyczne wyrażane zwłaszcza przez Schulzego i Begera, porporce ze swastykami zostały zwinięte. Po przemyśleniu sytuacji wszyscy zgodzili się, że niepotrzebnie zwiększają ryzyko, zwracając uwagę potencjalnych obserwatorów starających się wytropić hitlerowską ekspedycję.

Powrót obył się bez jakichkolwiek incydentów, być może dlatego, że bądź co bądź od momentu zauważenia podejrzanego samolotu wykonującego krąg upłynęło zaledwie parę dni.

Dornier wciąż stał na tym samym polowym lądowisku, na którym członkowie wyprawy widzieli go po raz ostatni. Pilot spędził czas na wędkowaniu w pobliskiej rzece. Ostatnie popołudnie upłynęło na pożegnaniu z tybetańskimi pomocnikami, porządkowaniu ładunku i przygotowaniach do następnego etapu – ostatniego ze względu na porzucenie planów dotarcia do grobowca Chrystusa. Jak zwykle spędzono ostatnie wieczorne godziny przy ognisku i lampce koniaku, zostawionego na taką okazję. Oblewano nim niespodziewane znalezisko z podziemi góry Kalias i wspominano mrożące krew w żyłach chwile. Chwile takie jak ta były właściwie jedyną rozrywką dostępną dla badaczy, pozwalały im zachować równowagę psychiczną w niegościnnych warunkach, w stanie ciągłego zagrożenia.

Rano następnego dnia zwinięto namioty i nieco lżejszy niż wcześniej samolot oderwał się od kamienisto – żwirowego pasa, choć na początku kwestia startu wcale nie była oczywista. Rozrzedzone, wysokogórskie powietrze zmuszało pilota do rozpędzenia maszyny do znacznie większej niż normalnie prędkości. Jak się wszyscy dowiedzieli dopiero po starcie, zdecydował się on „za wszelką cenę” zmniejszyć masę samolotu, co w tym przypadku oznaczało, że paliwo w zbiornikach nie zostało uzupełnione, a przecież jak słyszeli wcześniej, lądował on już na resztkach paliwa... Pilot musiał więc lądować już kilkanaście minut po oderwaniu się od ziemi – w pobliskim mieście Thoghchen. Leżało ono kilkadziesiąt kilometrów bardziej na wschód i znacznie niżej, a co najważniejsze: znajdowało się przy głównej drodze biegnącej wzdłuż podnóża Himalajów. Istniała więc pewna szansa znalezienia paliwa. W ostatnich minutach przed lądowaniem zgasły silniki samolotu i wylądował on lotem ślizgowym na położonej w pobliżu miasta łące. Tu cała grupa z wyjątkiem Webera udała się na poszukiwania benzyny lotniczej. Okazało się to znacznie trudniejsze niż początkowo sądzono. Dopiero po ośmiu

godzinach udało się zbierać prawie dwieście litrów. Połowę tej ilości stanowiło paliwo sprzedawane na ulicznych straganach w... szklanych butelkach.

Ta ilość pozwalała jedynie na wykonanie kolejnego „skoku” – przelotu o długości nie większej niż sto kilometrów. Tym sposobem udało się dotrzeć do miasta, a właściwie większej osady, Ombu w górnym biegu Brahmaputry licząc na to, że tu znajdą się jakieś większe zapasy paliwa przeznaczonego dla kursujących rzeką łodzi. Założenie to okazało się słuszne; wykupiono całą znajdującą się w osadzie benzynę i w końcu po kilku dniach „podniebnej tułaczki” i trzech godzinach lotu do stolicy Tybetu – Lhasy, *Dornier* bezpiecznie wylądował na obrzeżach tego miasta.

Święte miasto

Nie rozstawiano już obozowiska, lecz ekipa przeniosła się do hotelu dla pielgrzymów i nielicznych, odwiedzających Tybet podróżników. Ze względów bezpieczeństwa Brandt nie udał się na poszukiwanie wyroczni państwowej sam, lecz w towarzystwie Schäfera i Begera, zadaniem tego ostatniego było udokumentowanie „misji” przy użyciu aparatu fotograficznego i kamery filmowej. Nie bez znaczenia były też znajomości szefa ekspedycji w tybetańskiej stolicy. Brandt nie miał oczywiście oryginalnego trójkątnego kamienia, zabrał jedynie jego zdjęcia i oczywiście wiedzę o jego pochodzeniu i historii z nim związanej.

Mieli do przejścia parę kilometrów. Widzieli znany w całym świecie, wręcz legendarny pałac Dalajlamy (politycznego i zarazem religijnego władcy kraju), otynkowany na biało monumentalny kompleks „o tysiącu pokoi”. Po drugiej stronie miasta, nasuwającego pewne skojarzenia z europejskimi miastami średniowiecznymi, dotarli do nie mniej legendarnego uniwersytetu mnichów i klasztoru – Drepungu. Po drodze napotkali kilkudziesięciu pielgrzymów zapelniających drogę. Właśnie, jak się okazało w trakcie krótkiej rozmowy – po dwóch latach marszu – zbliżali się do celu pielgrzymki. Całą drogę odmierzali długością swych ciał. Mieli założone skórzane fartuchy osłaniające ich od pasa do kolan włącznie. Każdy krok polegał dosłownie na padnięciu na kolana i twarz, podciągnięciu nóg, powstaniu i tak dalej. Do dłoni mieli przymocowane deszczułki pełniące rolę sandałów, stopy natomiast mieli bosc. Czołgali się w ten sposób z najbardziej odległych części górzystego kraju. Kilometr dalej Niemcy ujrzeli siedzibę oficjalnego ciała doradczego rządu tybetańskiego – wyroczni. Był to klasztor Nechung. Znowu zrobiono użytek z proroców ze swastykami...

Zapukali do bram klasztoru, po czym Schäfer wytłumaczył jednemu z mnichów naturę ich misji, że przybyli specjalnie z bardzo odległego kraju, a następnie poprosił o audiencję u wyroczni. Zostali wpuszczeni bez żadnych problemów, być może znowu „zadziałały” hitlerowskie swastyki. Ujrzeli Świątynię Wyroczni – drewnianą budowlę, którą Schäfer uznał za koronny dowód

pogańskiego charakteru tybetańskiego „lamaizmu”. Wewnątrz głównego pomieszczenia, wypełnionego ponad setką drewnianych, kolorowych kolumn, pełno było wizerunków dawnych – przedbuddyjskich bóstw, a właściwie demonów, duchów sił natury. Trudno natomiast było dostrzec symbole typowo buddyjskie. Czołowe miejsca zajmowały wizerunki pierwszych Wielkich Lamów z panującej w Tybecie sekty Żółtych Czapek. Zwiedzanie przerwał im owinięty czerwoną szatą mnich, który zaprosił ekipę na audiencję.

Jak się okazało, wyrocznia mieszkała w oddzielonej od reszty części kompleksu świątynnego i prawie nigdy nie kontaktowała się z mnichami. Na co dzień człowiek ten miał kontakt jedynie ze... stadem świętych kogutów, które uporządkował. Audiencja miała formę normalnej rozmowy, chociaż wszyscy obecni na niej członkowie ekspedycji mieli wrażenie, jakby nagle przeniesli się w czasie. Naprzeciwko nich siedział stary człowiek odziany w zwyczajową czerwoną szatę, mający na głowie wielki trójkątny hełm wykonany ze... czczerego złota. Schäfer był na tyle bezpardonowy, że pozwolił sobie później go zważyć. Ważył 27 kilo! Niemcy w normalnych słowach opowiedzieli mu całą historię związaną z przekazaniem Hitlerowi kamieniem, dr Brandt pokazał oczywiście jego fotografie. Ich rozmówca zdawał się być, pomimo całego wypisanego na twarzy charyzmatu i nieco hipnotycznego spojrzenia, całkiem normalnym, rozsądnym człowiekiem! Schäfer wspominał jeszcze wiele lat później, że pomimo dziwnego wyglądu wywarł na nim, podczas tej normalnej rozmowy, bardzo pozytywne wrażenie. Zaskoczył go „bardzo wysoki poziom umysłowy”, ale też egocentryzm wyroczni.

Można uznać za bardzo prawdopodobne, że człowiek ten z miejsca zdał sobie sprawę z niezwyklej wagi tej wizyty i cały czas, pomimo wymiany zdań, starał się sobie tylko znanymi metodami niejako wysondować czy raczej „przejrzeć” gości, którzy przybyli w tak ważnej misji. Po pewnym czasie podzielił się z nimi przepowiednią, jaka mu się objawiła:

„Zjawią się latający ludzie. Nastąpi zniszczenie. W Lhasie pojawi się elektryczna iskra, przez co zostanie zniszczona nasza religia. A w waszych krajach wydarzy się wkrótce coś strasznego...”

Wkrótce miało się okazać jak trafna była to przepowiednia...

Człowiek-wyrocznia stwierdził, że odczytanie tajemnicy kamienia, ukrytego w nim tajnego przekazu, będzie możliwe bez fizycznego kontaktu z oryginałem, jednak wymagać będzie wejścia w trans. Niemcy przypuszczali, że trans będzie jakąś formą medytacji i w najśmielszych snach nie mogliby sobie wyobrazić przerażającego widoku, jaki się przed nimi roztoczy, widoku jakby nie z tej ziemi. Tybetańczyk zamknął oczy i zaczął nucić niezrozumiałe mantry czy modlitwy. Zdjął hełm. Już przez to ukazał swe zupełnie inne niż

dotychezas oblicze. Pod hełmem były bowiem skryte długie, brudne i pozlepiane włosy. W rytm kołysania się, a następnie konwulsji włosy powiewały w powietrzu, nadając scenie wstrząsający charakter. Nie był to już ten sam spokojny, racjonalnie myślący człowiek, z którym kilkanaście minut wcześniej rozmawiali patrząc sobie w oczy.

Stan szalonych płasów trwał kilka minut, po czym nagle „oświecony” wszedł w bardziej zaawansowaną fazę transu. Nagle cały zaczął drżeć. Jego ruchy przypominały ni to frenetyczny, szalony taniec, ni to epileptyczne konwulsje. Z ust płynęła mu piana, wydawał z siebie niezrozumiałe belkot. Jego twarz, przedtem ciemno-żółtawa, najpierw pojaśniała a zaraz potem stała się krwistoczerwona. Padł na ziemię i sprawiał wrażenie człowieka zupełnie pozbawionego ludzkich cech, jakby nieprzytomnego, bez świadomości. Jak to barwnie scharakteryzował sam Schäfer: „był drgającą kupą mięsa”.

Po jakimś czasie, może po dwudziestu – trzydziestu minutach od początku „seansu”, wyrocznia nagle powróciła do normalnej rzeczywistości. Oczy tego człowieka znowu stały się normalne, widzące, choć zdradzały też potworne wycieńczenie. Usiadł i bardzo szybko, bez jakiegokolwiek przerw, całkowicie monotonię, zaczął wydawać z siebie trudno zrozumiałe dla cudzoziemców potok słów, tak jakby bał się, że za chwilę może zapomnieć szczegóły wizji, która na niego spłynęła. Mówił tak przez parę minut. Brandt, który najlepiej znał miejscowy język, musiał wyteńczyć wszystkie swoje zdolności umysłowe aby uronić jak najmniej z cennego przekazu. W błyskawicznym tempie notował tylko najważniejsze słowa, rzeczowniki, i dopiero po zakończeniu dziwnego monologu rozwinał ten tekst w oparciu o to, co udało mu się zapamiętać.

Treść przekazu była zaskakująca i dopiero po opuszczeniu terenu kompleksu Nechung wywołała z pamięci Brandta urywki z mimowolnie podsłuchanych rozmów tragarzy na Górze Kalias, do których wtedy nie przykładał większej wagi. Tuż po przekroczeniu bramy wszyscy usiedli przy drodze – klepisku i z szeroko otwartymi oczami wpatrywali się w twarz Brandta. Spojrzenia te wyrażały ciekawość, oczekiwanie na wyjaśnienie tajemnicy, a może też świadczyły o tym, że niezwykłość przekazanej prawdy znajdowała zbyt wyraźne odbicie na twarzy wstrząśniętego językoznawcy. Przetłumaczył on najistotniejszą część tekstu:

„Skarbnice światła w skalnych ostępach. Tam prowadzi kamień. Jedna – w czerni otchłani, druga – w bieli. Najstarsza jest [fragment niezrozumiały], czerwienią okryte święte słowa króla.

Czern i biel czekały w uśpieniu, pozostawione w zamierzonych czasach. Jedno z drugim się uzupełnia. Jedno bez drugiego nic nie da.

To dwa klucze do potęgi niebios. To tajemnica boskiego metalu [niezrozumiała nazwa], który da ogromną siłę. Ale też śmiertelne niebezpieczeństwo z nim się łączy. Jest o krok.

Tajemnica wielką wywoła pokusę – obrócenia jej przeciwko ludziom, w imię sił ciemności. Wtedy cała jej potęga w niwecz obrócona zostać może...

Wszyscy wysłuchali tych słów w napięciu, po czym rozgorzała dyskusja. Każdy próbował na swój sposób coś zrozumieć z enigmatycznych określeń. Pierwszy zabrał głos sam Brandt:

– Trzeba będzie cały ten tekst poddać gruntownej analizie, ale już teraz rzuci się w oczy, że wyrocznia z jakiegoś powodu jakby wiedziała o dotarciu przez nas do podziemnego schowka na górze Kalias...

– Uważa pan, że „skarbnice światła” to właśnie stare manuskrypty – zapytał Beger?

– Z dużą dozą prawdopodobieństwa można tak stwierdzić. W buddyzmie światło to wiedza, świadomość, jakiś przekaz powodujący oświecenie.

– „Boskiego metalu” – wtrącił się Schäfer – czyżby chodziło o złoto?

– Nie byłbym tego taki pewien – odparł Brandt – wyrocznia podała jego nazwę, której nie znam, choć równie dobrze mogło chodzić o jakieś inne, nieznane mi określenie tego szlachetnego metalu. W wielu kulturach to właśnie metalom szlachetnym przypisywano boskie atrybuty, jako że nie poddawały się działaniu czasu. Chyba nie ma innego wyjścia jak przeanalizowanie zawartości manuskryptów, które już nam się udało zdobyć. Wtedy może zorientujemy się o co w tym wszystkim chodzi, czego przekazy te dotyczą.

– I może będziemy wiedzieli czym, czy raczej gdzie jest ta druga „skarbnica”... – dorzucił Beger.

– Tak, ale musimy brać pod uwagę też to, co zmusiło nas do skrócenia i przyspieszenia naszej ekspedycji – zauważył Schäfer. To samo zagrożenie, które według wyroczni „jest o krok”. Obawiam się więc, że byłoby wielką lekkomyślnością poszukiwanie teraz drugiej skarbnicy, tym bardziej, że jak już kolega zauważył, nie ma to większego sensu przed zapoznaniem się z treścią przekazów z tej pierwszej. Decyzje w tej sprawie musi zresztą podjąć Berlin, a nie my.

Wszyscy zgodzili się, że w istniejącej sytuacji należy wracać do Niemiec. I to jak najszybciej...

– Skoro tak – rzucił propozycję Brandt – to może dałoby się wrócić „naszym” samolotem...

– Żartuje pan, mamy ustaloną już datę wypłynięcia statku z Szanghaju. Tak już zostało ustalone – zaoponował szef wyprawy.

– Przecież podróż morska nie została jeszcze opłacona – Brandt nie dawał za wygraną. Prawie nie mamy bagaży, większości skrzyń można się już z powodzeniem pozbyć, zostałyby może ze sto pięćdziesiąt kilo, więc po co mamy pechać się na statek. Jeszcze nam znowu jakiś „życzliwy“ podłoży bombę – na środku oceanu. A samolotem będziemy w Berlinie za dwa dni, ewentualnie za trzy wliczając w to nocleg gdzieś po drodze...

– Szczerze mówiąc też tak sędzę – Brandta poparł Beger – to wcale nie będzie drożej. Moim skromnym zdaniem powinniśmy starać się unikać schematu, na którym przeciwnik opiera swe plany.

W tej sytuacji, po głębszym zastanowieniu, Schäfer zmuszony był przystać na tą propozycję, zastrzegając rzecz jasna, że trzeba będzie jakoś przekonać do tego pilota. Ten jednak, jak się okazało, tylko czekał na takie intrygantne, „ponadplanowe“ zlecenie specjalne. Wylot miał nastąpić następnego dnia rano. Przez sojuszniczy Związek Radziecki, samolot istotnie po trzech dniach wylądował na Berlińskim Lotnisku Tegel. Stało się to bez jakiegokolwiek uprzedzenia, fakt zakończenia wyprawy postanowiono zachować w tajemnicy.

Wewelsburg

Fakt przywiezienia do Rzeszy niezwyklej znalezisk tybetańskich został uznany przez kierownictwo SS za wielki sukces. Sprawa, tak jak na początku, spotkała się ze szczególnym zainteresowaniem samego Himmlera. Jego „czarny zakon“ przejął oczywiście cenne manuskrypty.

Himmler zwołał specjalną, tajną konferencję z udziałem wszystkich (tych żyjących) członków wyprawy, w zakupionym niedawno dla swej organizacji „zamku zakonnym“ w Westfalii. Nosił on nazwę Wewelsburg. Został wybrany ze względu na podobieństwo do legendarnego zamku Króla Artura – powiernika świętego Graala, ale też z uwagi na przepowiednię, zgodnie z którą zamek ten miał stać się ostatnią, niezwyciężoną redutą rodzącego się „germańskiego“ imperium. Wewelsburg był jednoznacznym dowodem istnienia okultystycznych słabości szefa SS, w tym jego niezwyklego zamiłowania do mistycznych zabytków z zamierzchłych epok. Zwłaszcza takich, które mogły być kluczem do władzy nad światem i wiedzy tajemnej nie pochodzącej z tego świata. Miały być relikwiami nowej religii. W przyszłości zamek miał stać się „centrum duchowym“ (w praktyce raczej okultystycznym) SS, czymś w rodzaju Watykanu narodowego socjalizmu.

Datę konferencji wyznaczono na 30 sierpnia 1934 r. Wszyscy spodziewali się chwały. Owszem, z ust Reichsführera padły słowa uznania, gratulacje – zwłaszcza pod adresem Brandta za przyczynienie się do wyeliminowania wrogiego agenta i za odkrycie drogi do „podziemnej biblioteki“. Padły też jednak bardzo kłopotliwe pytania. Większość uczestników wyprawy była pod wrażeniem wizji tybetańskiej wyroczni i spodziewała się kontynuacji poszukiwań – nowej wyprawy, która pozwoliłaby całkowicie wyjaśnić tajemnicę kamienia Hitlera. Wątpliwości ich „szefa“ szybko rozwiąły jednak te nadzieje...

Konferencja miała toczyć się w pomieszczeniu na zamku zwanym „kryptą“, gdzie wokół okrągłego dębowego stołu rozstawiono krzesła dla gospodarza i gości. Brandtowi jako żywo stanęła przed oczami sceneria z pałacyku Towarzystwa Thule w Monachium. Himmler był dobrze zorientowany w przebiegu i rezultatach ekspedycji. Zapytał:

z Azji centralnej, zawierające być może przydatną dla nas wiedzę. Jak jednak wyobrażacie sobie wykorzystanie tego, jeśli zgodnie ze słowami wyroczni jest to tylko część całego przekazu, nie nie warta bez drugiej części – o której na razie nie wiadomo kompletnie nic? Proponuje pan, Sturmführer Schäfer, drugą ekspedycję. A gdzie, ciekaw jestem, miałaby ona się konkretnie udać?

– Rozumiem pana argumenty, *Herr Reichsführer* – odparł Schäfer – ale sądzę, że przeprowadzenie drugiej wyprawy powinno być naszym celem. Przedstawiłem to jako powód uzasadniający rozpoczęcie badań nad przywiezionymi manuskryptami. Można mieć nadzieję, że te i ewentualnie inne prace dadzą odpowiedź na nurtujące nas wszystkich pytania. Pozwola jednemu stwierdzić czego dotyczą słowa wyroczni mówiące o drugiej skarbnicy. Drogi Reichsführerze, otrzymaliśmy wyraźne wskazówki, pokazujące że jesteśmy na właściwym i niezwykle ważnym tropie.

– Tak, rozumiem, jednak najpierw musicie panowie ustalić czego mamy szukać, a dopiero po tym będziemy się ewentualnie zastanawiać nad kolejną ekspedycją.

– Drogi Reichsführerze – do rozmowy włączył się Brandt – proszę o przyznanie skromnego funduszu na sfinansowanie badań manuskryptów. Musimy zapoznać się z ich treścią, aby zorientować się czego mamy szukać.

– Na jakiej właściwie podstawie uważa pan – w słowach Himmlera wciąż pobrzmiwała nuta sceptycyzmu – że w pismach sprzed, powiedzmy tysiąca lat, będzie napisane co miała na myśli wyrocznia mówiąc o „skarbnicy w bieli”. Jeśli przetłumaczy pan te teksty to obiecuję, że pana praca zostanie wynagrodzona, nie jestem jednak wcale przekonany, że idzie pan właściwą drogą. Liczy pan na to, że odpowiedź znajdzie pan w manuskryptach ponieważ jest to pana jedyna deska ratunku i tylko dlatego. Zwracam się do pana jako do językoznawcy i łachowca w kwestii historii Tybetu: proszę przede wszystkim ustalić czym jest ta „skarbnica w bieli”. Bez tego nie widzę jakiegokolwiek sensu podejmowania dalszych działań. Czy wyraziłem się jasno? – tym razem Himmler spojrział na wszystkich.

– Tak jest! – chóralnie odpowiedzieli zaproszeni goście.

Na tym zakończyła się narada, po której zupełnie błędnie naukowcy spodziewali się jakiegoś przełomu. Teraz byli zbici z tropu. Bezcenne manuskrypty zostały tymczasem zapakowane do drewnianych skrzyń, opieczątowane i pewnie właśnie zaczynały pokrywać się kurzem gdzieś w podziemiach Wewelsburga. Brandt natomiast uświadomił sobie, że właściwie cały dalszy los grupy spoczywa w jego rękach. Takie przynajmniej było jego subiektywne wrażenie. I on i pozostali musieli ochłoniąć. Brandt wrócił do

Miał wiele czasu na przemyślenie sobie zarówno całej wyprawy, odkryć, jak i treści enigmatycznej wizji zapisanej w świątyni wyroczni. Znal ją już na pamięć, jednak mimo upływu czasu słowa dotyczące brakującego elementu układanki w żaden sposób nie dawały się ułożyć w logiczną całość. Wiedział bardzo niewiele. W treści przesłania były właściwie tylko dwa zdania, mogące zawierać jakieś wskazówki co do charakteru czy położenia drugiej skarbnicy. W jednym użyto w stosunku do niej określenia „w bieli”, a drugie to kompletnie niezrozumiałe słowa: „najstarsza” i „czerwienią okryte święte słowa króla”.

Co do „bieli” – to mogło to właściwie odnosić się do wszystkiego. Wszystkiego co jest jasne, lub ma np. białe ściany, bardzo często spotykane w przypadku starych budowli w tym kraju. „Najstarsza” – zastanawiał się Brandt – jakaś bardzo stara skarbnica? W Tybecie jest przecież wiele ukrytych bibliotek. Niektóre w ogóle nie zostały odkryte, więc tym bardziej nie można stwierdzić, która jest najstarsza. To również było więc określenie niewystarczająco precyzyjne. Uwaga badacza skupiła się więc na najdziwniejszym słowencie przesłania. Tym mówiącym o „świętych słowach króla”. Co możnaby nazwać „świętymi słowami...”? darennie zastanawiał się dzień po dniu.

O radę prosił wszystkich znanych sobie współpracowników i innych znawców zagadnienia, rzecz jasna bez wyjawiania im całej prawdy o wyprawie, jednak bez żadnego sukcesu.

„Święte słowa” – doszedł po paru tygodniach do wniosku, czy raczej przyjął hipotezę roboczą, że w tym przypadku musi chodzić o miejsce związane z jakimś władcą Tybetu, którego możnaby określić mianem króla, a który dokonał jakiegoś czynu polegającego na szerzeniu religii, utrwaleniu przekazu religijnego, skojarzonego później z kolorem czerwonym. To założenie robocze też jednak z początku prowadziło do nikąd... Brandt nie znał miejsca, ani władcy spełniającego tak dziwne kryteria. Tybet zawsze był krainą bez wyraźnie określonego podziału na władzę świecką i duchowną, więc w jakimś sensie o każdym władcy można było powiedzieć, że głosił święte słowo.

Brandt zwątpił więc w obrany kierunek. Uznał, że to nie może działać na zasadzie takiego dopasowania. Musi to dotyczyć czegoś bardzo konkretnego, co wiąże w sobie słowa „czerwony-słowa-król”. No i oczywiście, co jest zarazem „najstarsze”. Nie miał żadnego potwierdzenia, że takie podejście do problemu jest właściwe, właściwsze od poprzedniego, jednak intuicyjnie był co do tego gorąco przekonany. Po paru tygodniach myślenie nad tym wszystkim zaczynało go już męczyć... Na ileś dni zajął się zupełnie innymi, pilniejszymi sprawami. Musiał wykonywać swoją normalną pracę naukową.

Dopiero po dłuższej przerwie miał umysł na tyle wolny, że problem kojarzenia słów zawartych w „zakodowanym” przekazie znowu zajmował jego wolne chwile.

Jego domeną była lingwistyka a nie historia polityczna czy społeczna Azji środkowej, więc trudno było mu operować szerszą niż językowa wiedzą, mogącą zawierać potrzebne skojarzenia. Po fazie „myślowych spekulacji” przyszła więc kolej na żmudną, systematyczną pracę. Brandt chciał czytać wszystko na temat Tybetu, co tylko uda mu się kupić lub wypożyczyć. Problem jednak w tym, że wybór był bardzo skromny. Postanowił więc pójść „na skróty”, przyznać się przed samym sobą do naukowej niemocy i poprosić o pomoc innych, tych którzy sami byli chodzącymi encyklopediami na interesujący go temat.

W pierwszej kolejności przyszedł mu do głowy poznany w Sinkiangu szwedzki profesor Sven Hedin. Był jednym z najwybitniejszych ekspertów na świecie, a poza tym był osobą zaufaną, z którą Brandt mógł się skontaktować. Napisał do niego list, prosząc jednocześnie aby ewentualnych sugestii nie przysyłał pocztą – lingwista bał się, że informacje takie mogą dotrzeć do niepowołanych oczu i poprosił jedynie Hedina o sygnał, że kontakt z nim jest wskazany lub nie. W przypadku odpowiedzi pozytywnej zamierzał pojechać pociągiem nocnym do Sztokholmu. Wiedział, że kontakt z tą wybitną osobistością raczej wart będzie takiego wysiłku...

Hedin jednak postanowił ułatwić mu zadanie. Nadesłał odpowiedź sobie tylko znanym kanałem, prawdopodobnie przez kogoś zaufanego z Monachium. Pewnego zimowego dnia, pod koniec 1934 roku, Brandt znalazł na uniwersyteckim biurku kopertę z wypisanym na niej swoim nazwiskiem. Koperta wykonana była z drogiego papieru czerpanego, więc młody naukowiec natychmiast zwrócił na nią uwagę. Nic było na niej nie tylko nazwiska nadawcy, ale i adresata – chociaż Brandt uznał, że pewnie jest przeznaczona właśnie dla niego, skoro leżała na jego biurku. Hedin okazał się nicoceniowy, chociaż list wprowadził Brandta w wielkie zakłopotanie. Zawierał mianowicie jedno tylko słowo, w dodatku nie adresatowi nie mówiące: „Sanye”. Z początku nie wiedział on nawet z jakiego języka pochodzi, mimo całej swej wiedzy lingwistycznej. Nie miał też pojęcia czy jest to odpowiedź, czy może jedynie podpowiedź-sugestia, względnie zwykłe przypuszczenie. Nie miał jednak odwagi wysłać do czcigodnego profesora jeszcze jednego zapytania. Być może – pomyślał – „stary wyjadacz” nie chciał dawać młodszemu koledze po fachu zbyt dokładnego wskazania, tak jakby stawiał go przed wyzwaniem, jakby miał to być rodzaj jakiegoś egzaminu...

Brandt daremnie próbował ustalić co oznacza tajemnicze słowo. Pytał znanych orientalistów – bez rezultatu. Zaczął spędzać całe popołudnia i wieczory w wydziałowej bibliotece, czytając od deski do deski wszystkie publikacje na temat historii Azji środkowej, jakie tylko mu wpadły w ręce. Znowu wzul się dzięki temu jak badacz, będący na tropie jakiegoś odkrycia. Pierwszą wzmiankę znalazł już po tygodniu, w książce będącej opisem podróży brytyjskiego badacza, niejakiego Aurela Steina z pierwszych lat XX wieku. Stein był bodaj pierwszym Europejczykiem poszukującym w Tybecie pradawnych, ukrytych księgozbiorów. W książce wspominał on o „klasztorze Sanye”, który miał być najstarszym sanktuarium buddyjskim (Schäfer powiedziałby: lamaistycznym), wzniesionym przez pierwszego władcę tej krainy, który nawrócił się na buddyzm. Już autor tego dzieła przeczuwał, że jest to jedna z najważniejszych „ukrytych bibliotek”, dla niego jednak była zupełnie niedostępna i dlatego skoncentrował on swe wysiłki na „dzikich” próbach dotarcia do zbiorów ukrytych w górskich jaskiniach. Według autora książki, życiową misją opisanego pierwszego władcy było wyrugowanie dawnej religii bon i narzucenie poddanym nowej. Wydał w związku z tym rodzaj edyktu, który dla upamiętnienia tego wydarzenia został wyryty na jednym ze słupów stojących na dziedzińcu klasztoru. Jak Brandtowi udało się później ustalić, słup ten pomalowany był na „królewski” kolor czerwony a sam klasztor znany był też jako „biały klasztor”, od koloru pokrywającej go elewacji.

Entuzjazm Brandta nie miał granic!

Powiadomił Schäfera i Begera o wyjaśnieniu tajemnicy i poprosił ich o zorganizowanie kolejnej audiencji u Reichsführera SS. Do spotkania udało się jednak doprowadzić dopiero po kilku miesiącach, na wiosnę 1935 roku, co dla Brandta było okolicznością niezwykle deprymującą. Uznał on, że Himmler stracił już zainteresowanie kwestią Tybetu i Kamienia Führera. Niestety, w trakcie rozmowy to przekonanie zostało jedynie umocnione. Odbyła się ona, podobnie jak poprzednia, w mrocznych podziemiach „zamku SS”. Himmler wyraził zadowolenie z odkrycia, jednak w słowach pozbawionych emocji i temat ten nie był zbyt długo dyskutowany. Nie zadawał zbyt wielu pytań, jakich wszyscy się spodziewali. Jego najważniejszym pytaniem, choć równie dobrze można było je odebrać jako ironiczną uwagę, było: „a w jaki właściwie sposób zamierzacie zabrać z klasztoru jego najcenniejsze księgozbiory?”

Himmler wystarczająco orientował się bowiem w problematyce, aby zdawać sobie sprawę, że klasztor górskie na tym terenie są miejscami hermetycznymi. Obcym trudno buszować w ich zawartości, a co dopiero mówić o wywożeniu zbiorów przez innowierców – niezależnie od tego, co na temat Kamienia miała do powiedzenia wyrocznia z Nechungu...

Konkluzją z rozmowy było stwierdzenie Reichsführera, że „na razie nie ma powodu, aby planować kolejną wyprawę”. A więc nawet o samym planowaniu nie chciał on słyszeć – pomyślał Brandt. Jego nastrój znacznie się pogorszył. Coraz częściej dochodził do przekonania, że cały dotychczasowy wysiłek, całe ryzyko, poszło na marne. Jego wrażenia były jednak błędne. Podobnie jak pozostali naukowcy z dawnego zespołu, nie zrozumiał on podejścia ani nieprzeniknionej mentalności swego zwierzchnika. Dla nich audyencja była rozmową. Może niezupełnie równorzędną, ale jednak rozmową. Problem leżał w tym, że w rzeczywistości stosunek szefa SS do sprawy nie był bynajmniej sceptyczny. Wręcz przeciwnie – uważał „tybetańskie wyzwanie” za zagadnienie najwyższej wagi i wiązał z nim wielkie nadzieje. Himmler jednak nie traktował spotkania w kategoriach rozmowy. Dla niego te dziesięć minut było aktem zdobywania informacji i wywierania wpływu. Po prostu chciał, aby badacze byli święcie przekonani, że uczestniczą w czymś istotnym, marginalnym. Był mistrzem tego rodzaju gier, były dla niego czymś najzupełniej naturalnym...

W tym samym więc czasie, gdy Brandta ogarniała frustracja i zniechęcenie, sprawy wkraczały na naprawdę poważne tory – dopiero teraz.

Himmler zaangażował swe służby specjalne – SD, czyli Służbę Bezpieczeństwa SS i wywiad. W tym jedynym przypadku nie był to jednak klasyczny wywiad, mający na celu zdobywanie informacji, względnie wykradzenie zbiorów (gdyż byłoby to praktycznie niewykonalne). U uruchomienie czegoś, co jest z reguły słabo widoczne, a określane jest mianem „agentury wpływu”. Korzystał w tym względnie ze słabo znanego atutu SD, jakim były związki z wieloma wybitnymi znawcami tego rejonu, zasłużonymi orientalistami – w otoczeniu jego samego, jak i Hitlera było z pewnością znacznie więcej takich ludzi niż w jakimkolwiek innym państwie, rzecz jasna poza samą Azją środkową.

Rozpoczęte zostały działania zakrojone na dużą skalę i długofalowe. Ich cel został bardzo konkretnie określony, choć również został nakreślony niezwykle ambitnie. Prawdę mówiąc, nikt inny wcześniej nie miał aż takich ambicji – i takich predyspozycji do ich realizacji... Służby Reichsführera otrzymały zadanie pozyskania najbardziej wpływowych usobistości w kręgach religijnych Tybetu (tam sfera polityczna była z definicji również sferą religijną). Skoncentrowano się przede wszystkim na otoczeniu samego władcy kraju – Dalajlamy. Chodziło o stworzenie czegoś w rodzaju tajnego, nieformalnego sojuszu z Tybetem. Takiego, który pozwalałby SS czuć się w tym kraju „jak u siebie w domu”. Dzięki temu Tybet miał stać się „górską trampoliną” do działań wywiadowczych na tyłach ZSRR, Chin, Brytyjczyków

w Indiach, ale nie tylko do tego. Sprawy te okrywa szeszelną zasłona tajemnicy, jednak jest faktem, że Himmlerowi w ciągu zaledwie paru lat udało się uzyskać wpływy większe niż mógłby prawdopodobnie marzyć w momencie rozpoczynania całej operacji. Tak duże, że (choć wydaje się to niewiarygodne), w styczniu 1943 roku wysłał on na tybetański dwór w pałacu Potala grupę specjalnych doradców, dowodzoną przez niejakiego Petera Aufschmeitera. Jeden z członków tej grupy, Heinrich Harrer został przysłany z misją... wychowania kolejnego Dalajlamy (wtedy regenta w wieku siedmiu lat, żyje do dzisiaj). Jego oficjalnym wychowawcą i nauczycielem był podoficer SS!

To jednak było później. Ważne jest to, że druga połowa lat trzydziestych przyniosła znaczny wzrost wpływów niemieckich w tym kraju. Wystarczający, aby można było doprowadzić do skutku kolejną i ostatnią, ale rzecz jasna znacznie lepiej przygotowaną, wyprawę Schäfera. Oczywiście sami naukowcy mieli tylko mgliste pojęcie o niezwyklej kulisach przygotowań, które realizację ambitnego przedsięwzięcia umożliwiły.

O tym, że wyprawa taka w końcu dojdzie do skutku dowiedzieli się dopiero wiosną 1938 roku. Schäfer miał zrealizować badania przyrodnicze, Beger miał zająć się zgłębianiem będących coraz bardziej na czasie kwestii rasowych. Było jednak jasne, że głównym celem będzie zdobycie i dostarczenie do Rzeszy najstarszych, słabo dotychczas poznanych księgozbiorów tybetańskich. Cała sprawa była tym razem doskonale przygotowana. Było to oczywiście dużym plusem, ale kryło w sobie też bardzo poważny mankament. W odróżnieniu mianowicie od wcześniejszych, na wół amatorskich przedsięwzięć, to znacznie skuteczniej przyciągało uwagę wrogów Rzeszy...

Znowu na „dach świata“

Z punktu widzenia naukowców przygotowania były prostsze i mniej angażujące niż wcześniej. Nie w pełni zdawali sobie oni sprawę ze wszystkich przyczyn takiej sytuacji, ale chodziło rzecz jasna o to, że w dużej mierze przygotowania te zrealizowali już inni – za nich. Dla samego Brandta wiadomość o udziale w nowej wyprawie stanowiła spore zaskoczenie. Nie znał całej prawdy, nie znał jej nawet Schäfer. Postęp techniki i wsparcie najwyższych władz umożliwiły oparcie całego przedsięwzięcia na transporcie lotniczym. Tylko ewentualne duże znaleziska, takie jak na przykład okazy dużych, nieznanych nauce zwierząt, miały być przetransportowane do Hamburga statkiem. Cała reszta mogła zmieścić się na pokładzie samolotu, przez co zarazem można było znacznie zmniejszyć wielkość koniecznych zapasów. Miała to być krótsza niż poprzednio wyprawa. Jej cele były tym razem precyzyjnie wyznaczone.

Brandt traktował nadarzącą się okazję do powrotu na „stare szlaki“ jako spełnienie marzeń, pochopnie porzuconej już nadziei. Cieszył się na myśl o tym jak dziecko – i jak dziecko naiwnie nie dostrzegał kryjących się za tym wszystkim niebezpieczeństw.

Tym razem nie było długich, tajemniczych narad, wydarzeń rozciągających na lata poprzedzających sam wyjazd. Wszystko wydawało się znacznie prostsze, a i uczestnicy mieli już pewne doświadczenie i rozeznanie w terenie. Brandt prawie nie spotykał się z pozostałymi uczestnikami. Wiedział jedynie, że w oznaczonym dniu, kilka dni przed wylotem z lotniska Tegel, ma stawić się w Berlinie. Sam wiedział najlepiej co ma wziąć ze sobą. Żałował jedynie, że nie miał, pomimo wcześniejszych obietnic Himmlera, możliwości zapoznania się z treścią manuskryptów przywiezionych cztery lata wcześniej...

Brandt nie był osobą eksponowaną publicznie, nie udzielał wywiadów prasowych i nie był fotografowany. Ominęło go więc zamieszanie będące udziałem Schäfera. Nie czuł gorączki towarzyszącej przygotowaniom, zwaną przez Niemców *Reisefieber*; poczuł atmosferę oczekiwania na ekscytującą przygodę dopiero wtedy, gdy ciężki samolot dalekiego zasięgu toczył

już się po betonowej płycie berlińskiego lotniska. Dopiero wtedy dotarło do niego, że nie ma już odwrotu.

Plan tym razem był taki, że najpierw grupa miała zająć się głównie „badaniami przyrodniczymi“, co w rzeczywistości – jak podejrzewał Brandt – było jedynie wygodną przykrywką dla zorganizowania przez Schäfera swego rodzaju górskiego safari. Oficjalnie polowania miały być metodą pozyskania nieznanych okazów tamtejszej fauny, chociaż sugerowano łapanie raczej zwierząt żywych. Wszystkich jeszcze raz czekała więc tulaczka górkami szlakami; co najmniej kilkudniowa. Ten etap przedsięwzięcia miał być połączony z próbami dotarcia do innych niż klasztor Sanye, nieznanych jeszcze i niezbadanych tajnych bibliotek na górkim pograniczu zapomnianego królestwa Bhutanu. Tam bowiem nie zapuszczał się jeszcze żaden europejski poszukiwacz. Po tym miał nastąpić powrót na północ, na tybetański płaskowyż – do Lhasy, jednak tylko i wyłącznie w celach „polityczno-reprezentacyjnych“. Chodziło o nawiązanie osobistych kontaktów na dworze Dalajamy, w pałacu Potala. Dopiero na samym końcu grupa miała skierować się do świętej doliny rzeki Yarlung (pomiędzy stolicą a pograniczem Bhutanu na południu), do celu najważniejszego jakim była „najstarsza skarbnica“ – klasztor Sanye. Taki plan miał pewną przewagę nad planem poprzedniej ekspedycji. Obszar wszystkich działań był znacznie mniejszy i zamykał się w kole o średnicy około 100 km, przez co można było mieć nadzieję na sprawniejszą realizację wyznaczonych w Berlinie celów. Miał jednak też istotną wadę. Z uwagi na aspekty propagandowe „do jednego worka“ wrzucono cele drugorzędne z poznawczego punktu widzenia (umiarkowanie potrzebne „safari“) i te naprawdę ważne. To pierwsze miało być ponadto powiązane z szukaniem na oślep ukrytych skarbnic, co dawało małe szanse powodzenia, za to budziło wokół wyprawy niepotrzebny rozgłos. Można było być pewnym, że w momencie wyruszenia do Sanye już wszyscy zainteresowani, i to nie tylko w samym Tybecie, będą wiedzieć o wyprawie i jej celach...

Do tego przyczyniła się też sama ceremonia pożegnalna w Berlinie. Samolot wystartował i tak jak poprzednio, w drodze powrotnej, pokonywał dystans przelatując nad terytorium największego wtedy sojusznika Hillera – stalinowskiego imperium. Na miejsce lądowania wybrano nie Lhasę, lecz odległe od niej o 50 km miasto Gonggar w samej dolinie Yarlungu – tam był bowiem jedyny w całym kraju pas startowy (i tak o nawierzchni gruntowej), zdolny do przyjęcia dużego, większego niż poprzednio samolotu. Samolot miał pozostawać na miejscu przez cały czas trwania ekspedycji – na wypadek konieczności jej wcześniejszego niż planowano zakończenia.

Oczywiście w odróżnieniu od wyprawy z roku 1934 ta była lepiej przygotowana, chociaż sami uczestnicy nie musieli znać wszystkich szczegółów tych przygotowań... To również przyczyniło się do zaoszczędzenia czasu, między innymi można było rozpocząć marsz w góry już następnego dnia po wylądowaniu w Gonggarze – konna karawana z kilkoma miejscowymi przewodnikami-pomocnikami już czekała.

Łądowanie odbyło się 28 kwietnia 1939 roku wieczorem, a już 30-go cała grupa znajdowała się na południowych stokach najwyższych gór świata, mając przed sobą ośnieżone szczyty oddzielające Tybet od małego, odciętego jeszcze bardziej niż on sam od świata, królestwa Bhutan. Wspinanie się wąskimi drogami w wysokie góry w niczym nie przypominało podróży na górę Kalias. Okolica była znacznie bardziej dzika i odludna a droga była tak trudna, że na wielu odcinkach konie z trudem dawały sobie radę z jej pokonywaniem. Była to teoretycznie jedna z głównych „nici” łączących Bhutan ze światem zewnętrznym, jednak przypominała raczej drogę dla kóz a nie ludzi, o koniach nie wspominając. W odróżnieniu od podnóża góry Kalias, tutaj znacznie częściej poprowadzono ją kładkami linowymi. Niejednokrotnie wiodła ona półkami skalnymi o szerokości mniejszej niż metr, a nawet czymś w rodzaju sztucznych półek – warstw kamieni usypanych na sztucznych, drewnianych podporach o całkiem niepewnej wytrzymałości. Podpory sprawiały wrażenie, jakby dzięki jakiejś magicznej sile były przyklejone do niemal pionowej ściany skalnej. Była to więc z jednej strony prawdziwa przeprawa przez piekło, okazja do wykonania przez Begera wielu spektakularnych ujęć fotograficznych i filmowych, z drugiej jednak była to jedyna istniejąca jeszcze, sensowna droga do odkrycia miejsc jeszcze przez Europejczyków nie poznanych. Nasuwała skojarzenia z utrwaloną na filmie wypowiedzią profesora Hedina, dotyczącą opuszczonej przez wszystkich prowincji Sinkiang: *„czułem i wierzyłem, że w środku pustyni, gdzie nie można spotkać żywej duszy, gdzie nie było dróg, można było znaleźć ślady jakiejś starej cywilizacji.”* Najwyraźniej Schäfer kierował się podobnym rozumowaniem.

Nie cały czas spędzano na przemarszach. W kilku miejscach rozbijano obozowiska, będące bazami wypadowymi do penetracji okolicy. Zwykle tylko jedna osoba zostawała na straży namiotów (nie przed ludźmi jednak a przed zwierzętami), pozostali natomiast wyruszali na patrole z lornetkami. Schäfer z kolei nie rozstawał się ze swym karabinem wyborowym. Ustrzelił on niezliczone okazy małych i dużych zwierząt górskich, w tym nieznanym wcześniej gatunek antylopy górskiej, nazwanej Schapi. Emocjonowało to jednak wyłącznie Schäfera.

Pewnego razu jednak wydarzyło się, na jednym ze skalistych stoków, coś co wzbudziło ogromne poruszenie wszystkich...

Cała kiluosobowa grupa w ciepłych, grubych i co miało się okazać istotne – ciemnych kurtkach, szła rzędem w kierunku niewielkiej doliny znajdującej się z drugiej strony góry. Tam miał znajdować się wartki strumień. Na podstawie doświadczenia wiedzano już bowiem, że zarówno zwierzęta gromadzą się na tym niegościnnym terenie wzdłuż rzek i strumieni, jak i dawne pustelnie ludzkie, gdzie można było coś ciekawego znaleźć, lokowano w pobliżu źródeł wody. Ludzie – zarówno Niemcy, jak i dwóch tybetańskich pomocników zamykających pochód – szli powoli, zmęczeni i zatrzymujący się co chwila aby obejrzeć wylaniający się przed nimi teren przy użyciu lornetek. Nic szczególnego nie zauważyli a jedynym słyszalnym dźwiękiem był szum wiatru przeciskającego się przez pobliską dolinę. Tylko od czasu do czasu do wrażeń tych dochodził dźwięk staczającego się w dół kamienia, poruszonego czyjąś nogą. W pewnym momencie pojawił się inny, dziwny dźwięk – przypominający krótki, jakby metaliczny świst – gdzieś z tyłu. Nikt nie zwrócił na niego szczególnej uwagi, oprócz Schäfera, który odruchowo przykucnął. Dwaj Niemcy idący za nim powtórzyli ten ruch, sami nie wiedząc właściwie dlaczego. Tybetańczycy natomiast stanęli. Działo się to w ciągu kilku sekund. Po tym względnie ciszę gór przeszył krzyk miejscowych przewodników. Po chwili nałożyło się na niego głucho i słabo echo odległego wystrzału. Człowiek idący na samym końcu padł na ziemię. Z jego nogi sączył się z daleka widoczny strumień krwi. Pomocnik żył i próbował się przeczołgać za niewysoki załom skalny, jednak wszystkich momentalnie ogarnęło uczucie przerażenia. Już nie tylko ze względu na świadomość, że stali się obiektem polowania. Najgorsze w tym wszystkim było to, że nie było wiadomo kto strzelał. Wróg pozostawał niewidoczny. Co gorsza, nie było nawet wiadomo z której strony padły strzały, gdyż odbijające się od gór echo wprowadziło zupełne zamieszanie. Wszyscy rzecz jasna natychmiast przywarli do ziemi, chociaż nie mieli nawet pojęcia, z której strony kamieni mają się chować. Nie wiedzieli co mają robić – czy leżeć tak do skutku, czy może zacząć uciekać. Nie wiedzieli czy mają jakieś szanse przycięcia, czy przeciwnik widzi ich jak na dłoni, czy będzie strzelał do skutku... Schäfer, który najwyraźniej zachował najwięcej zimnej krwi, doczołgał się do rannego i zawiązał mu wokół krwawiącej nogi mocną, chociaż prowizoryczną opaskę z własnej chusty zawiązanej dotychczas wokół szyi. On też jedyny zdawał się wiedzieć jak zachować się w istniejącej sytuacji. Stwierdził, że wyraźnie słyszalna różnica czasu pomiędzy trafieniem a echem samego wystrzału świadczy o tym, że polujący na nich „myśliwy” – kimkolwiek jest – znajduje się nie bliżej niż

jakieś pół kilometra od nich. A to znaczyło, według „szefa”, że nie jest to żaden zwykły myśliwy czy strzelec, lecz fachowiec posługujący się profesjonalnym karabinem wyborowym z lunetą. W związku z tym należy za wszelką cenę zmusić się do ucieczki biegiem – dwie najsilniejsze osoby będą musiały nieść rannego przewodnika. Snajper nie będzie bowiem strzelał, a przynajmniej nie powinien – do osób znajdujących się w ruchu. Będzie bowiem ryzykował dekonspirację i wytropienie, mając zarazem stosunkowo niewielkie szanse trafienia. Znacznie mniejsze niż przy strzelaniu do celu nie poruszającego się, nawet częściowo ukrytego. Według Schäfera była to ich jedyna szansa przżycia. W przeciwnym razie tropiciel z pewnością będzie strzelał tak długo, aż w końcu trafi kogoś z niemieckich członków ekspedycji, bez wątpienia jest dobrze ukryty i dostrzeżenie go będzie prawie niemożliwe.

Biec – łatwo powiedzieć! – mruknął pod nosem przerażony jak wszyscy Brandt. A jeśli zabójca będzie tropił ich cały czas, będzie szedł za nimi? Do obozu pozostały co najmniej trzy kilometry! Powoli zaczynał uświadamiać sobie całą groźbę koszmaru. No tak – pomyślał – sprawę Pazingera, amatora, trzeba było potraktować jako przestrożę. Teraz już mamy zupełnie innego przeciwnika. Nie wiemy nawet gdzie, ani kim jest! Jakby na potwierdzenie tych słów rozległ się trzeci strzał poprzedzony świstem rykoszetu odbijającego się od kamienia, nie dalej niż o kilkanaście centymetrów od ramienia Begera. Schäfer, „przyklejony” do ziemi za plecami Brandta, powiedział: „widać, że człowiek ma trudności z braniem poprawki na wiatr. Nie strzelał w górach, a tu prądy powietrza lubią płać figle. No cóż, los dał nam jakąś szansę. Za wszelką cenę musimy ją wykorzystać”. Rzucił do drugiego szerpę, że muszą wziąć rannego za ramiona i zmiatać stąd jak najszybciej. Sztucer i ciężką torbę oddał Brandtowi. Krzyknął jeszcze: „na trzy wszyscy się podnosimy i wracamy tą samą drogą, którą przyszlismy!”

Czyżby tak miała się zakończyć hucznie zapowiedziana ekspedycja? – przez głowę Brandta przelatywały coraz mniej pocieszające myśli...

W jednej sprawie Schäfer się pomylił – że przeciwnikowi nie będzie się opłacało strzelać do osób biegnących. Zanim wszyscy dotarli do najbliższej grani skalnej padły jeszcze trzy strzały. Wszystkie chybione, chociaż przelatujące pociski były doskonale słyszalne. To jednak tylko paręset metrów – Brandta nie opuszczały najczarniejsze myśli – przed nimi noc i co najmniej cały dzień przeprawy w dolinę, będzie miał jeszcze sto okazji do ustrzelenia nas wszystkich, po kolei!

Po minięciu grani w komplecie wszyscy odetchnęli z ulgą, chociaż było oczywiste, że nie mają zbyt dużo czasu. Brandt i Beger zmienili dwóch niosących rannego. Schäfer znów wziął swo rzeczy i biegnąc oglądał się zarówno

za siebie, jak i na rozciągający się poniżej stok. Próbował dostrzec wroga podczas zajmowania nowej pozycji, niczego niezwykłego jednak nie zauważył. Po minięciu kolejnej grani i wejściu na bardziej odkryty teren wyglądało na to, że zaniechał on pościgu. Nie było już słyhać żadnych strzałów.

Wie, że mamy przynajmniej przewagę liczebną i nie liczy na przypadek – doszedł do wniosku Brandt – widocznie będzie na nas czekał gdzieś w niższych partiach szlaku, w dogodniejszym miejscu.

Można więc było nieco zwolnić tempo, gdyż utrzymywanie dotychczasowego na wysokości prawie pięciu tysięcy metrów nad poziomem morza niosło w sobie bardzo konkretną groźbę zawału serca – przynajmniej w odniesieniu do Niemców. Tybetańczycy byli znacznie lepiej przystosowani przez naturę – mieli większą objętość płuc i znacznie więcej czerwonych ciałek krwi. Zaczął się najbardziej krytyczny etap wyprawy... Należało jak najszybciej wrócić. I to nie tyle do najbliższego miasta, co do samolotu – o ile oczywiście nie uda się uprzedzić któregoś z „ruchów” nieznanego strzelca. Podczas jednego z krótkich postojów Schäfer rzucił jeszcze pod adresem Brandta:

– Jestem przekonany, że to jest ktoś z zewnątrz. Tu w Tybecie nikt nie posługuje się taką bronią. Wie pan, nawet ich armia ma jeszcze działa na czarny proch. Zresztą kto z miejscowych mógłby chcieć nam wyrządzić krzywdę...

– Ale kto mógłby być w ogóle zainteresowany przeszkodzeniem w realizacji naszej wyprawy? – myśl ta najwyraźniej nie dawała Brandtowi spokoju – Było to zrozumiałe gdy mieliśmy dotrzeć do „grobu Chrystusa”, wielu się to mogło nie spodobać, ale teraz? Przecież nikomu nie zagrażamy tym, co robimy. Badania fauny himalajskiej i starożytnych manuskryptów...

– Nie zagrażamy. A może ktoś zna nasze cele na tyle dobrze, że doszedł do wniosku, że będzie to stanowić zagrożenie w przyszłości – dosyć enigmatycznie dorzucił dr Weber.

– Można na to spojrzeć jeszcze inaczej – Schäfera najwyraźniej wciągnął ten temat – założmy, że komuś w ogóle nie podoba się aktywność Trzeciej Rzeszy w tej części świata, leżącej pomiędzy Chinami, Rosją a posiadłościami brytyjskimi w Indiach. Postanowił uderzyć w nas tylko dlatego, że jesteśmy względnie łatwym celem.

– To mnie zupełnie nie przekonuje – skrzywił się Brandt – takie podejście raczej nie odniosłoby skutku. Wpływów Rzeszy by w ten sposób nie osłabił. Ten człowiek poluje dokładnie na nas. To my jesteśmy czyjąś solą w oku.

– Zastanówmy się w ten sposób – Schäfer cały czas próbował trzeźwo spojrzeć na sprawę – czyje służby specjalne są w ogóle aktywne na tym obszarze? Japonię można z góry skreślić – to nasz sojusznik. Związek Radziecki niby też, ale im akurat nie można ufać. Taak, to mogą być Rosjanie, może

przeszkadzamy im w czymś, o czym nawet nie wiemy...

– W takim razie nie przepuszczaliby samolotu przez swoje terytorium bez najmniejszych trudności – zauważył Beger.

No tak, a kto jeszcze? Wydaje mi się, że w kręgu podejrzanych raczej na pewno pozostają tylko Brytyjczycy i Amerykanie. Tylko oni są tu jeszcze aktywni. Musi to przecież być ktoś, kto dysponuje jakąś siecią informatorów i skądś mógł dowiedzieć się o naszych celach. Przecicki z otoczenia samego Reichsführera można chyba wykluczyć.

– To nie ma żadnego sensu – wtrącił się jeszcze Brandt – nie nie wymyśliłmy. Może jak już zejdziemy na dół, jeśli w ogóle zejdziemy, dowiemy się kto kręcił się w tej okolicy. Na razie jednak chyba powinniśmy skupić nasze myśli na czymś znacznie pilniejszym. Mam na myśli uniknięcie ewentualnych pułapek w drodze powrotnej. Może być tak, że „myśliwy“, bo chyba można go tak nazwać, zaczął się na nas gdzieś za kolejnym załosem skalnym i w pewnym momencie zacznie strzelać. Na jego miejscu jednak nie polegałbym nadmiernie na zdolnościach strzeleckich. Musi sobie też zdawać sprawę, że prawdopodobnie rozpoczniemy powrót natychmiast po pierwszym incydencie a w nocy przecież nie strzela się zbyt dobrze... Może natomiast przygotować dla nas jakieś inne niespodzianki.

– To znaczy? (Schäfer).

– Po drodze jest kilka miejsc bardzo niebezpiecznych nawet bez czyhającego na nas snajpera. Jak pewnie zauważyliście, jest parę sztucznych półek skalnych, opartych na jakichś stertach głazów, podpartych belkami drewnianymi... Prosty akt dywersji i w odpowiednim momencie wszyscy polecimy w przepaść. Druga sprawa: mosty, czy raczej kładki linowe. Czy trudno jest podciąć liny?

Wszystkim zjeżyły się włosy na głowach, ale całkowicie zgodzili się z rozumowaniem kolegi. Tego nie brali wcześniej pod uwagę – że oprócz kul śmigających nad głowami będą musieli analizować wiele innych wariantów działania wroga. Ktoś zaproponował aby w „niepewnych“ miejscach puszczać przodem objuczonego konia, z przywiązanymi do siodła workami z daleka przypominającymi kształtem człowieka. W dzień może taki trick zostałby rozpoznany, ale w nocy mógł się powieść. Dodatkowo koń wyposażony w „stracha na wróble“ powinien skutecznie przykuwać też uwagę wroga – strzelca.

Rozmowę szybko zakończono, gdyż czas naglił...

Skromna karawana ruszyła w dalszą drogę. Pozostawiono tylko najbardziej niezbędny zapas żywności, aby odciążać zwierzęta, dzięki czemu marsz był naprawdę szybki. Oczywiście nie bez znaczenia był tu fakt, że marsz w dół

jest z zasady szybszy niż w górę. Jedynym nieprzewidzianym problemem, jaki pojawił się po zmroku, był słaby wzrok koni. Czasem koń idący na przedzie gubił drogę (była to w wielu miejscach słabo zaznaczona ścieżka, którą i człowiek mógłby stracić z oczu). Trzeba było w takich wypadkach wziąć cugle w ręce i poprowadzić przerażone staczającymi się w ciemności kamieniami zwierzę.

Nagrodą za niedogodności „nocnej ucieczki“ był jednak jeden, niewątpliwy sukces – minęły już cztery godziny od zachodu Słońca a wszyscy członkowie wyprawy wciąż żyli. Najgorzej było oczywiście z postrzelonym przewodnikiem, jednak kula przeszła tylko przez mięsień i mocna opaska, którą obwiązano ranę, na razie załatwiała sprawę. Ranny cały czas był przytomny, chociaż był wyraźnie osłabiony i podróżował na koniu w pozycji prawie leżącej.

Po paru kolejnych godzinach zaczęło świtać a wróg wciąż nie dawał o sobie znać. Po takim czasie musiał już zgubić trop, zwłaszcza, że przynajmniej część trasy musiałby pokonać po bezdrożach, na pewno wolniej niż Niemcy – co do tego wszyscy byli przekonani, jakby zapominając o konsekwencjach faktu, że droga powrotu wyprawy była łatwa do przewidzenia.

Na razie jednak nikt nie miał siły aby wdawać się w tak skomplikowane wywody. O siódmej rano wszyscy byli już tak wycieńczeni, że postój, przynajmniej na krótką drzemkę, był absolutną koniecznością. Wybrano niszę skalną osłoniętą praktycznie ze wszystkich stron. Gwarantowała osłonę przed wiatrem, no i oczywiście przed wzrokiem prześladowcy. Nawet konie udało się skutecznie ukryć.

Dopiero koło południa realny był powrót na szlak. W oddali było już widać zieloną dolinę Yarlungu, co wszystkim dodało sił, chociaż było wątpliwe czy uda się zejść z gór przed końcem dnia. Na razie czekało wszystkich pokonanie paru wyjątkowo zdradliwych rozpadlin skalnych. Jedyną nadzieję przejścia przez każdą z nich dawał niezbyt stabilny linowy most wiszący. Podłoże każdego z nich stanowiła warstwa desek, czasem kijów, wokół których zaplecione były liny. Deski czasem były pęknięte, zresztą łatwo pękły, a węzły wokół kijów łatwo mogły się rozluźnić... Przeprawy te stanowiły największe niebezpieczeństwo dla koni, które przecież nie mogły w razie rozchwiania mostu złapać się bocznej liny – poręczy.

– Dobrze przynajmniej, że nie musieliśmy przechodzić przez te niepewne kładki w nocy... – próbował pocieszyć wszystkich dr Beger.

Pomimo tego, pomni spostrzeżeń Brandta wszyscy czuli ciarki przebiegające po plecach, gdy w końcu dotarli do pierwszej przełęczy. Chociaż po ich stronie nie było widać jakiegokolwiek śladów uszkodzenia wątlej konstrukcji, zgodnie z planem najpierw na drugą stronę miał przejść obciążony workami

koń. Ten jednak, wyczuwając nastrój towarzyszących ludzi, czy może samo niebezpieczeństwo – wcale nie chciał wejść na kładkę! Wierzał i rzał jak przysłowiowy uparty osioł i za nic miał „zaszczyt“, jaki przypadł mu w udziale. Beger poradził aby usiąść i chwilę odpocząć – w nadziei, że czworonożny wyczuje nastrój rozluźnienia i się przynajmniej trochę uspokoi. Pomogło tu, ale niewiele. Koń w końcu wszedł na luźno zamocowany podkład z desek, ale sprawiał wrażenie apatycznego. Jego oczy były mętne i bez wyrazu.

Szedł, zaznajomiony z górskimi przemarszami, i pomimo bujania się konstrukcji, która niejednego człowieka z nizin pewnikiem doprowadziłaby do ataku serca, powoli posuwał się do przodu. Most cały czas wisiał...

Cały czas, aż koń znalazł się mniej więcej w dwóch trzecich jego długości. Wtedy niespodziewanie pękła jedna z lin. Deski niebezpiecznie przechyliły się na lewo, nie osłonięte z tej strony liną – poręczą, gdyż to ona właśnie pękła. Człowiek by w tej sytuacji wrócił. Po prostu odwrócił by się na pięcie i trzymając pewnym chwytem drugą linę dotarłby do punktu wyjścia. Biedne zwierzę nie miało jednak wyjścia. Przez pierwsze parę sekund próbowało desperacko złapać równowagę na pochyłej i chyboczącej się nawierzchni. Po tym jednak runęło prosto w przepaść, wydając z siebie ostatnie, przeraźliwe technienie.

Nó tak, ta droga była już zamknięta.

Większość ludzi była przekonana, że „akt dywersji“ został dokonany jeszcze podczas wspinania się – prześladowca musiał ich cały czas śledzić. Postanowiono więc schodzić krawędzią przepaści, chociaż w ten sposób podążali drogą w istocie wybraną dla nich przez obcego szpiega – niedosłzłego zabójcę. Nic było jednak innego wyjścia, jeśli przed noclegiem mieli dotrzeć do granic doliny.

Brak drogi, czy raczej ścieżki – jaką poruszali się dotychczas, niewiele zwolnił tempo marszu. Zbocze było porośnięte tylko karłowatymi roślinami, co praktycznie rzecz biorąc nie stanowiło żadnej przeszkody. Co więcej – była to droga na skróty, najkrótsza prowadząca do doliny, w której jak sądzili, będą już mogli czuć się względnie bezpiecznie. To dawało spory komfort psychiczny, przeświadczenie, że prawdopodobnie udało im się wyprzedzić tajemniczego prześladowcę. Sprzyjał temu fakt, że od momentu „katastrofy na moście“ nie zauważono jakiegokolwiek śladów jego bytności, a sądzono, że podciął on liny jeszcze wtedy gdy śledził członków ekspedycji idących w górę.

W ten sposób udało się dotrzeć do doliny „bez strat“.

Po dotarciu do najbliższej, niewielkiej osady, skorzystano z pomocy szerpów i przenocowano w miejscowym klasztorze. Pomogły w tym również re-

komendacje pisemne posiadane przez Schäfera – pismo polecające Dalajlamę. Rano sprowadzono lekarza, który zmienił rannemu opatrunek, natomiast jego zdrowy kompan, wspomagany przez przeora klasztoru oraz Brandta, rozpoczął całodzienne wypytywanie mieszkańców osady o obcego, białego szpiega. Brandt nie tylko był w stanie osobiście zadawać pytania, rozumiał odpowiedzi wieśniaków, ale mógł się też poszczycić nieujawnianymi dotychczas zdolnościami rysunkowymi. Na podstawie kilku zeznań naocznych świadków narysował całkiem szczegółowy portret panięciový podejrzanego – istotnie widzianego przez miejscowych. Na kartec czerpanego, tybetańskiego papieru, pojawiło się oblicze człowieka, który tutaj aż nazbyt wyraźnie odróżniał się od „tła“. Miał wąską, wysoką głowę, długi, wyraźnie zarysowany nos, czarne oczy zwieńczone grubymi, również czarnymi brwiami oraz czarne, siwujące włosy z łysiną pośrodku głowy. Nie był więc młody, co dawało nadzieję, że w dalszym ciągu schodzi z gór – względnie postanowił przejść na drugą stronę pasma górskiego, do Bhutanu. Musiał przecież zdawać sobie sprawę, że w Tybecie, przynajmniej w tej jego części, będzie poszukiwany za próbę morderstwa... Co do narodowości, to na razie nie udało się ustalić. Brandt miał jednak nadzieję, że prędzej czy później służby Himmlera ustalą kim jest ta osoba – i dla kogo pracuje, a może również jaki cel próbowała osiągnąć. Na razie zrobiono tyle, ile w istniejących okolicznościach można było zrobić. Bezpośrednio po tym „śledztwie“ grupa, już bez tybetańskich pomocników, ruszyła dalej na północ, w kierunku lotniska w Gonggarze. Tam znajdował się samolot, a w nim – reszta zaopatrzenia i jakże cenna w tych okolicznościach – radiostacja.

Udało się tam dotrzeć w ciągu kolejnego, jednego dnia. Po odpoczynku przyszła kolej na jeszcze jeden – najważniejszy punkt planu; na misję w jednej z największej świętości Tybetu – starożytnym klasztorze Sanye. Z uwagi na ciągłe zagrożenie i tym razem zrezygnowano z niektórych „punktów programu“ tych związanych ze stolicą Tybetu...

Ze zrozumiałych względów Brandt traktował Sanye jako osobiste wyzwanie, ukoronowanie wszystkich dotychczasowych wysiłków, ostatni akt w niebezpiecznej podróżniczej epopei. Wydarzenie, które – jak sądził – przyniesie mu chwałę odkrywcy. To ostatnie miało się okazać prawdą, jednak „sprawa kamienia“, który go tu przywiódł, wcale się w tym momencie nie kończyła. Miała jedynie wkroczyć w nową, zupełnie inną fazę. Tego jednak młody naukowiec jeszcze nie wiedział, nie przeczuwał, i prawdopodobnie nie byłby nawet w stanie sobie wyobrazić...

Klasztor znajdował się na tyle blisko tymczasowej bazy, że podróż do niego i powrót można było zrealizować w ciągu jednego dnia – zwłaszcza, że

niemieccy „dyplomaci” spod znaku trupiej czaszki – w Lhasie załatwili na tę okazję rzadko widywany w Tybecie atrybut nowoczesnej cywilizacji – samochód. Nowy model Forda, doskonale znany z miast Ameryki i Europy. W kabinie zasiedli: Schäfer, Brandt i Schulze. Dr Weber pozostał „na straży” namiotów rozstawionych na obrzeżach połowego lotniska.

Mozna by się spodziewać, że dotarcie do niedostępnych przez całe wieki zbiorów, w zamkniętym dla obcych klasztorze, będzie przysłowiową „drogą cierniową”, że badacze będą musieli długo prosić chociażby o możliwość ich wysłuchania. Nic podobnego! Zostali przyjęci jak wysłannicy samego pałacu królewskiego i podobnie jak w przypadku szerpów na górze Kalias wydarzenie to uznane zostało za spełnienie jakiejś przepowiedni. Czyżby dotarli tu wieść o ich spotkaniu z wyrocznią, o wiadomości ukrytej w tajemniczym kamieniu? – zastanawiał się Brandt. Nadjeżdżający samochód był najwyraźniej widziany i być może słyszany z daleka, gdyż w otwartej bramie, obok czerwonego słupa znanego Brandtowi ze słów wyroczni, stał sam przeor klasztoru. Miał na sobie czerwono-żółte szaty i charakterystyczne nakrycie głowy w kształcie półksiężyca. Za nim stała cała świta. Brandt, który nie wiedział o działaniach SD w tej części świata, nie mógł pojąć w jaki sposób uzyskano wpływ tak wielki, że załatwienie rekomendacji samego Dalajlamy przestało stanowić jakąkolwiek przeszkodę. Co więcej – nie było żadnych widocznych oznak dystansu, jaki zawsze daje się odczuć ze strony lamaickich duchownych na widok „białych barbarzyńców”. Na twarzach mnichów malowała się wyłącznie życzliwość. Zdumienie Brandta nie miało granic...

Po ceremonialnym przyjęciu, dęciu w sześciometrowe rogi i biciu w bębny, przyszła kolej na część mniej oficjalną – na przejście do ukrytej pod ziemią „skarbnicy”; do pokrytej pajęczynami biblioteki. Niemcy, nawet odziany w ten sam co zawsze czarny, skórzany płaszcz ponury Schulze, wkraczali po wąskich, wytartych stopniach w ciszy i skupieniu; jak ci, którym dane zostało dostąpienie prawdy, choć nie mieli jeszcze zielonego pojęcia jaka to będzie prawda.

Brandt zastanawiał się po co właściwie tu przyjechali. Biblioteka była tak wielka, że pobieżne nawet zorientowanie się w jej zawartości musiałoby z pewnością zająć znacznie więcej niż kilka godzin przewidzianych przez Schäfera. Okazało się jednak, że mnisi doskonale wiedzą co ma zostać Niemcom przekazane. Ani Schäfer, ani Schulze nie pytali o to, nie wyrażali jakiegokolwiek wątpliwości – czy dotarli do właściwych manuskryptów, czy może powinno ich zainteresować coś całkiem innego – Brandt też nie odważył się na to. Wyglądało to tak, jakby dla gospodarzy sprawa była całkiem oczywista i nie wymagała jakiegokolwiek wymiany zdań...

Podobnie jak w podziemiach góry Kalias, manuskrypty były owinięte w wiele warstw tkaniny i leżały w prostokątnych niszach, szczelnie pokrywających wszystkie ściany niskiego i ciemnego pomieszczenia. Przeor od razu skierował się do najdalszego zakątka, leżącego po przeciwnej stronie niż wejście i z widocznym przejęciem zaczął niektóre schowki opróżniać. Już po kilku minutach na podłodze pojawiła się całkiem spora sterta. Brandt zaczął mieć wątpliwości, czy ładunek ten zmieści się do samochodu, jednak po ułożeniu jakich dwustu „pakietów” przeor mógł w końcu odetchnąć. Każdy „pakiet”, czy raczej tom, stanowił prostopadłościan o podobnych wymiarach: miał 30-40 cm długości, około 10 cm grubości i kilkanaście centymetrów szerokości. Pomiędzy drewnianymi tabliczkami, stanowiącymi ekwiwalent okładki, znajdowały się setki papierowych kart, połączonych dwoma przetkanyimi przez otwory sznurami.

Żaden z otrzymanych „okazów” starożytnego piśmiennictwa nie był jeszcze tłumaczony na jakikolwiek język zachodni i jako taki pozostawał dla europejskiej nauki praktycznie nieznanymi. Największym skarbem, jaki uczeni otrzymali było jedno z najstarszych tybetańskich dzieł pisanych, znane im jako Kangschur, względnie Kandzur. Brandt wiedział jako językoznawca, że zostało ono ostatecznie zredagowane w okresie europejskiego średniowiecza, jednak jego początki tkwią w czasach znacznie poprzedzających narodzenie Chrystusa. Kangschur zajmował aż 108 „tomów”, w których łącznie znajdowało się ponad trzydzieści tysięcy starannie wykaligrafowanych kart. Do tego dołączono coś w rodzaju współcześnie przygotowanego „przewodnika” – jeden „tom”, oraz niezliczone tomy innych, nierzadko traktowanych jako tajne pism. Przeor podkreślił, że realizacja „wyznaczonego” zadania będzie możliwa tylko pod warunkiem wcześniejszego skorzystania z „przewodnika”. Najwyraźniej, jak rozumiał Brandt, był on czymś w rodzaju tajemnego klucza do rozproszonych w wielu manuskryptach przekazów, mających jednak tworzyć jakąś jedną całość.

Niemcom nie pozostało nic innego jak przeniesienie całego „ładunku” do samochodu i... zastanawianie się po drodze nad czymś, co dotychczas nie przyszło im przez myśl: że być może to nie oni poddali Tybetańczyków swej manipulacji, ale że równie dobrze mogło być całkiem odwrotnie. To przecież oni, i jak na razie tylko oni, zdawali sobie sprawę z celu całej misji...

Brandt jeszcze jednego nie brał wcześniej pod uwagę: że okres najbardziej wytężonej pracy zacznie się dla niego dopiero teraz. Godził się jednak na takie wyzwanie, gotów był mu się zaprzedać bez zadawania zbędnych pytań.

Mittersill - faza pierwsza

Podczas pobytu na należącym do Himmlera zamku Wewelsburg w Westfalii, przed wyjazdem do Tybetu, Brandt nie przypuszczał w najśmielszych snach jak głęboko zakorzeniony jest sentyment Reichsführera SS do starych komnat, kamiennych sklepień i podziemnych korytarzy...

Wyprawa została zakończona na kilka tygodni przed wybuchem drugiej wojny światowej, a pomimo tego spotkała się z niezwykle gorącym, owacyjnym przyjęciem. Sam Himmler uznał jej wynik za wielki sukces – swój, SS i Schäfera, który, jak można było się po nim spodziewać, przypisał sobie większość laurów. Pomimo tego wkład dr Josepha Brandta w ten sukces został zauważony, chociaż już nie przez środki masowego przekazu. Wynikało to z dosyć oczywistego faktu, że za największe osiągnięcie uważano dostarczenie do Rzeszy zbioru tajnych i jak dotąd niezbadanych pism tybetańskich, przede wszystkim Kangschuru (Kandzuru).

Wybuch wojny w najmniejszym stopniu nie wpłynął na dalszą działalność grupy, która teraz miała przekształcić się w zespół ściśle naukowy, mający zająć się studiami nad olbrzymią ilością przywiezionego materiału. Prestiż Schäfera po tej wyprawie urósł do tego stopnia, że Himmler utworzył specjalny instytut, kierowany przez niego, mający zająć się wspomnianymi powyżej pracami. Formalnie było to „Stanowisko badawcze do spraw Azji środkowej i ekspedycji“ w ramach mistycznej organizacji SS Deutsches Ahnenerbe, przemianowane nieco później na „Instytut imienia Svena Hedina“. Na uczestników wyprawy posypały się awanse, Schäfer został nominowany do stopnia Sturmabführera (majora SS)! Otrzymał szpadę honorową SS i srebrny pierścień z trupią czaszką – *Totenkopfring*, nadawany wyłącznie za naprawdę niezwykle zasługi dla „czarnego zakonu“. Nawet udział Hedina – w odkrycie śladów zaginionej cywilizacji, został doceniony – i to przez samego Hitlera, który nieco później (w 1940 r.) odznaczył go Wielkim Krzyżem Zasługi, jednym z najwyższych orderów Trzeciej Rzeszy. Jest to dosyć niezwykle w świetle faktu, że Hedina był przecież cudzoziemcem. Zwykli obywatele imperium Hitlera nie mieli zielonego pojęcia dlaczego wyprawa o charakterze formal-

nie „archeologiczno – przyrodniczym“ nagle została uznana za jedno z kluczowych osiągnięć z punktu widzenia całego państwa, które przecież miało jesienią 1939 roku wiele innych, ważnych trosk...

Tak jednak właśnie było, z tym że cała prawda o dokonanych odkryciach była znana tylko wąskiej grupie wtajemniczonych. Nie należeli do niej bynajmniej nawet członkowie samej wyprawy, w tym dr Brandt.

Naturalną konsekwencją takiej sytuacji było uznanie przez Himmlera za punkt honoru i najwyższy priorytet kwestii stworzenia badaczom możliwie idealnych warunków do dalszej pracy. „Instytut“ zlokalizowano w miejscu adekwatnym do charakteru zadania, mającego polegać na detektywistycznych wręcz próbach ujawnienia wiedzy tajemnej ukrytej w pradawnych manuskryptach – w średniowiecznym zameczysku o romantycznej nazwie Mittersill, odremontowanym i częściowo odbudowanym po pożarze z 1938 r. Znajdował się on w malowniczym austriackim okręgu Pinzgau (teraz Austria została przemianowana na „Ostmark“ – „marchię wschodnią“), na przedgórzu Alp, około 70 km na południowy-zachód od Salzburga. Miejsce to miało też rzadko zauważaną zaletę, polegającą mianowicie na tym, że znajdowało się w sąsiedztwie górskiej rezydencji samego Führera, koło Berchtesgaden.

W czasie gdy armie Wehrmachtu zajęte były walkami w Polsce, cenne zbiory tybetańskie – te właśnie przywiezione i wiele innych materiałów „pomocniczych“, transportowano do ukrytego w górach zamku. Od tego czasu strzeżonego przez oddział w czarnych mundurach. Mittersill miał stać się miejscem pracy i zamieszkania Brandta oraz wielu innych lingwistów na najbliższe kilka lat.

Sam Brandt dopiero podczas powrotu, na pokładzie samolotu, na dobre uświadomił sobie, że najcięższa praca jest dopiero przed nim. Zamek zrobił na nim niezwykle wrażenie: łukowe sklepienia, grube kamienne mury, małe okna – stwarzały same przez się mistyczną atmosferę. Od razu po przekroczeniu jego progu wiedział, że praca tutaj wciągnie go nie tylko jako naukowca, ale i w pełni zawładnie jego duszą. Mittersill stanowił materializację jego najbardziej ukrytych, podświadomych pragnień i ambicji. Atmosferę tę potęgowała swoista hermetyczność tego miejsca – było ono zamknięte dla osób niepowołanych. Na jego niższych kondygnacjach urządzono biura i pomieszczenia zaplecza – kuchnię, jadalnię itp., na wyższych pomieszczenia mieszkalne (Brandt otrzymał w przydziale pokój w wieży, z widokiem na dolinę), natomiast archiwum i bibliotekę – jednym słowem całość cennych zbiorów – przeniesiono do dawnych lochów, które zapewniały najlepszą ochronę przed ewentualnym atakiem z powietrza. Oficjalnie tam też umiejscowiono pracownię naukowe, chociaż Brandt, jako szef zespołu

tłumaczy, najczęściej pracował w swoim pomieszczeniu mieszkalnym. Ono było najlepiej oświetlone.

Pierwsze tygodnie upłynęły wyłącznie na kompletowaniu zbiorów, w tym niezbędnej literatury fachowej i tłumaczenie można było rozpocząć dopiero późną jesienią 1939 roku. Brandt zaczął rzecz jasną od tajemniczego „przewodnika”, przekazanego mu przez przeora klasztoru Sanye. Zadanie to okazało się dosyć trudne, gdyż ten zbiór ponad stu kart nie był napisany normalnym, płynnym językiem, lecz był rodzajem skorowidza do licznych, innych pism. Zawierał wyłącznie odnośniki do różnych tomów, odnośniki do innych odnośników, z wyjątkowo skrótowymi opisami. Ich treść w zasadzie nie mówiła bez zaznajomienia się z samymi tekstami właściwymi, których odnośniki dotyczyły. Naukowiec realizował więc całymi tygodniami żmudną pracę, zupełnie nie orientując się w całości tajemniczej układanki. Musiał najpierw przetłumaczyć odnośniki, czy raczej „wskazówki”, przed dojściem do właściwych tekstów, napisanych mniej lub bardziej „normalnym” językiem opisowym.

W styczniu 1940 roku miał to już za sobą i mógł zacząć część najtrudniejszą: wertowanie i przeglądanie niezliczonych, prostopadłościennych „tomów”, szukanie wskazywanych, rozrzuconych w całej tej masie materiału fragmentów. Dopiero wtedy, stopniowo, zaczynał się w jego umyśle pojawiać jakiś obraz niezwyklej całości. Dopiero wtedy zaczynał pojmować jaki charakter ma całe przesłanie i czego konkretnie dotyczy. Nawet wtedy jednak zadanie nie było proste. W tekstach pojawiało się mnóstwo niezrozumiałych słów. Prawdę mówiąc większość „wskazywanych” przez skorowidz fragmentów napisana była niezwykle zawilim językiem, doprowadzającym Brandta niemal do palpacji serca. Przede wszystkim zaskoczyło go, że nie były to teksty ściśle religijne. Nie opisywały żadnych ceremoniałów czy mitycznych wydarzeń z życia świętych... Dotyczyły wprawdzie „świata bogów”, jednak nie miały żadnego związku z modlitwami, rozważaniami teologicznymi itp., lecz w większości wypadków były opisami różnych... urzędzeń. Zamiana „języka poetyckiego” zawierały olbrzymią ilość informacji na temat wymiarów, rodzaju użytych materiałów, nazwy nieznanych stopów, niejasne terminy odnoszące się do fizyki i zasad działania.

Po pewnym czasie Brandt zdał sobie sprawę, że przewodnik zawiera jakby szereg kluczy, według których można było pogrupować fragmenty pochodzące z różnych „ksiąg” – na opisy poszczególnych typów, konkretnych odmian urzędzeń, w zależności od ich przeznaczenia itp.

Był takim charakterem przesłania niezwykle zaskoczony, a nawet rozczarowany, i w marcu 1940 roku postanowił z własnej inicjatywy napisać

pierwszy obszerny raport na ten temat, adresowany do osobistego sztabu Heinricha Himmlera.

Miał skrytą nadzieję, że wobec tego, iż teksty tłumaczone „według przewodnika” niewiele wnoszą, według niego, do kwestii historii Azji, Himmler zwolni go z zadania, lub skieruje jego wysiłek na nieco inne, „łatwiejsze” tory. Środze się jednak przeliczył. Reichsführer SS sprawiał wręcz wrażenie, jakby niczego bardziej nie oczekiwał niż właśnie takiej odpowiedzi. Wkrótce też przysłał na zamek swego specjalnego wysłannika, oficera z Osobistego Sztabu RFSS, aby dokładnie zapoznać się z postępem prac.

Brandt nie zamierzał jednak ukrywać frustracji, wynikającej z zawilego i wyjątkowo niejasnego języka, jakim zapisano teksty. Pokazał, rozłożone w pracowni pożąłkłe karty i wyniki własnej pracy. Wyjaśnił, na czym konkretnie polega problem: fragmenty, mające tworzyć jakiś jeden spójny obraz, będący jakimś przesłaniem, tłumaczone dosłownie przypominały „opis lodówki lub silnika rakietowego dokonany za pomocą pojęć właściwych dla człowieka jaskiniowego”. Co więcej – kontynuował – niektórych słów nijak nie daje się przetłumaczyć na niemiecki, czy jakiegokolwiek inny znany język.

Oficer przysłany ze sztabu Himmlera wydawał się jednak niezrażony tym, co uznał za „wymówki” i dowód skrajnego przemęczenia. Rozkazał wręcz Brandtowi dwa tygodnie odpoczynku, spacerów i jazdę na nartach po okolicznych stokach górskich, kategorycznie zabronił mu zajmowania się tłumaczeniem w tym czasie! Miało to służyć „uporządkowaniu myśli”, odzyskaniu świeżości osądu i nabraniu sił, jak też zastanowieniu się gdzie w przyjętym podejściu tkwi błąd. W tym czasie tłumaczeniem mieli się zająć pozostali lingwiści zakwaterowani na zamku. Oni mieli właściwie odczytać „klucz” dołączony do manuskryptów.

Brandt dopiero teraz zrozumiał, że zadanie, za które się zabrał istotnie okazało się być ponad jego siły. Istotnie potrzebował odpoczynku... i świeżego powietrza. Ślęczenie nad słabo widocznymi, małymi hieroglifami w dzień i w nocy, zmieniło go nie do poznania. Dostrzegł to dopiero, gdy zaczął się przyglądać własnej twarzy w lustrze. Nie miał więc wyboru: musiał zastosować się do niecodziennego „rozkazu”.

Teraz dla odmiany całe dni spędzał głównie na długich wędrówkach po wciąż ośnieżonym lesie, a wieczory – na czytaniu książek przygodowych. Sam nie mógł uwierzyć, że w Europie ogarniętej gorączką wojenną był urzędowo „skazany” na wypoczynek w samym środku pięknych gór...

W tym czasie pozostali mieszkańcy zamku Mittersill pracowali jednak w pocie czoła. Setki stron maszynopisu zapelniały szuflady i segregatory. Zawierały tłumaczenia wybranych według „klucza” fragmentów wszystkich

starożytnych dzieł o niezwykłych nazwach: Kangschuru, Mahabharaty, Samaranganasutradhary, Rasarvanakalpy, Vimaaniki Saastry... Były katalogowane i segregowane z iście niemiecką dbałością o detale. Tworzono przewodniki tematyczne po przetłumaczonych fragmentach.

Widocznie Brandt był naprawdę tak przemęczony, że stopniowo tracił zdolność logicznej analizy, gdyż materiał przygotowany przez jego współpracowników – podwładnych powoli zaczynał jednak ukazywać jakiś głębszy sens. Były już w każdym razie widoczne trzy elementy, czy wątki, wspólne dla wszystkich dzieł, choć zgodnie z ogólnymi rozkazami nie informowano o tym Brandta do czasu zakończenia jego „psychicznej rekonwalescencji”. Jednym wspólnym elementem były techniki unoszenia się w powietrze, drugi stanowiła rtęć w różnych postaciach i opatrywana w zależności od tego różnymi nazwami (miała służyć do budowy urządzeń latających), natomiast trzeci dotyczył „boskich” broni, o niezwykłej sile rażenia. Komendant zamku z ramienia SS postanowił sam, bez wiedzy Brandta, wysłać pismo do Osobistego Sztabu swego najwyższego zwierzchnika – przez specjalnego kuriera, informujące go o tym fakcie. Sam Brandt dowiedział się o tym dopiero kilka dni później, gdy Himmler podjął już decyzję osobistego odwiedzenia na wpół tajnej placówki Mittersill. Nie miał więc czasu na podjęcie szczególnych przygotowań i zapoznanie się z imponującą ilością materiału w celu jego osobistego zreferowania – zdażył poznać tylko fragmenty. Zajął się tym jeden z podległych mu tłumaczy – dr. Gans. Brandt był więc równie ciekaw jego referatu, dokonanych odkryć, jak sam Reichsführer.

Do wizytacji doszło pod koniec kwietnia 1940 r. Na zamkowy dziedziniec zajechała kolumna czarnych Mercedesów, wśród których wyróżniał się ten z numerem rejestracyjnym „SS-1”. Himmler wysiadł i wraz ze swą świtą udał się do wielkiej sali posiedzeń, gdzie niegdyś zasiadał zapewne władca zamku. Goście zasiedli po jednej stronie okrągłego, dębowego stołu – tak aby mogli dobrze widzieć tablicę szkolną i plansze ustawione pod jedną ze ścian. Dr. Gans powtórzył to, co już znalazło się w meldunku komendanta: że teksty opisują jakąś nieznaną dzisiaj technikę, przy czym największy nacisk położono na wykorzystanie rtęci do pokonania siły ciężenia. Już samo takie nazwanie sprawy wywołało u Himmlera stan najwyższego podekscytowania i wzmożonej uwagi. Zadawał mnóstwo pytań i domagał się podawania jak największej liczby konkretnych przykładów – opisów. Gans gorliwie spełniał te życzenia. Zaczął od fragmentu Kangschuru, który stanowił opis rysunku jakiegoś okrągłego obiektu, zajmującego część jednej z kart. Była to ilustracja początku jednego z rozdziałów. Z czysto technicznego opisu wynikało, że „na dolnym pokładzie” obiektu znajdowały się kolisty kanały czy

przewody, w których rtęć „ogrzana do temperatury Słońca” krąży, powodując jego unoszenie. Gans referował:

– W oglądanym przez pana tekście opisana została energia wytwarzana w okrągłych kanałach, jednak przy użyciu słowa, którego nie udało nam się przetłumaczyć. Niestety mniejsze lub większe niejasności są właściwe w zasadzie dla wszystkich tekstów dotyczących tych zagadnień. Podano na przykład – tu Gans pozwolił sobie na ironiczny uśmiech, zauważony przez Himmlera – że przewody zawierające rozgrzaną rtęć „są połączone z niezmiernym morzem, przestrzenią i czasem”.

Słowa te wywołały grymas na twarzy Brandta, który siedział najbliżej „prelegenta” i doskonale widział wiszące na tablicy powiększone fotograficznie odnośnych fragmentów tekstów oryginalnych. Z ich rozumieniem radził sobie akurat doskonale bez pomocy jakiegokolwiek słownika, w związku z czym wstał i ośmielił się przerwać wywód Gansa:

– Drogi Reichsführerze, obawiam się, że fragmenty, do których odwołał się szanowny kolega można i należy przetłumaczyć nieco inaczej. Owo tajemnicze określenie energii wytwarzanej przez aparat to hieroglify „vrii”, którego znaczenie jest dosyć konkretne i znane. To „pierwotna energia Wszechświata – z czasu gdy nie było jeszcze gwiazd”, natomiast przewody, ta niezwykła maszyna, nie jest „połączona z niezmiernym morzem, przestrzenią i czasem”, lecz raczej „sięga do tworzywa czasu i przestrzeni” – co nota bene jest nieco innym określeniem energii „vrii”. Dokładną interpretację należałoby jednak pozostawić tybetologom-fizykom.

Po tym Brandt przeprosił za krótkie przerwanie prelekcji i usiadł. Wszystkie oczy, włącznie z oczami Himmlera, były jednak nadal utkwione w niego. Nikt nie odważył się przerwać tej ciszy.

W końcu przerwał ją Reichsführer. Wskazał na widniejący na jednej z odbitek, wspomniany rysunek aparatu latającego, widzianego jak wynikało z opisu od dołu, w czasie lotu. Wskazał na centralną część koła (obiekt był okrągły), gdzie znajdowała się dziwna figura geometryczna, przypominająca skrócone płatki kwiatu czy jakąś rozetę.

Cóż to takiego według pana jest? – zwrócił się do Gansa – tam, w samym środku tego szkicu,

To – o ile sobie dobrze przypominam, zostało określone mianem „wrót”.

Dla mnie to jest coś jako żywo przypominającego przysłone aparatu fotograficznego... To chyba nie wrota tylko jakiś właz – wszyscy pozostali zgodnie pokiwali głowami.

Czas mijał i Himmler domagał się przedstawienia przetłumaczonych już opisów pochodzących z innych manuskryptów. Z uwagi na niezbyt dobrą

kondycję Gansa, zdeprymowanego uwagami swego przełożonego, Brandt pozwolił mu odetchnąć i krótko omówił podobny fragment pochodzący z książki zatytułowanej Samaranganasutradhara, który przetłumaczył osobiście:

„...dzięki mocy drzemiącej w rłęci, która uruchamia wir napędzający, człowiek siedzący wewnątrz może pokonywać wielkie odległości w najbardziej cudowny sposób...“

– A ile lat ma ta „Samaran...“? – zapytał Himmler.

– Samaranganasutradhara ma co najmniej dwa tysiące lat, choć spisana sanskrytem została nieco później. – odparł naukowiec.

– Odkryliście przed nauką nowy, od wieków zapomniany świat! Jak na razie opisy są może i nieco dziwne, ale myśl przewodnia w nich zawarta jest najzupełniej jasna i czytelna: rłęć poddana działaniu dużych energii i wprawiona w ruch wirowy daje siłę napędową, której na imię „vrih“. Czy dobrze to rozumiałem?

– Tak, drogi Reichsführerze, też tak sądzę (Brandt), jednak są setki innych opisów, które są znacznie mniej czytelne – choć tysiące kolejnych kart czekają dopiero na właściwe przetłumaczenie. Wiele jest bardzo szczegółowych, dotyczy wąskich zagadnień a im bardziej „specjalistyczny“ opis, tym więcej zawiera słów, których znaczenia nie poznano... Nie brakuje fragmentów o charakterze czysto technicznym, dotyczących na przykład sposobów montażu różnych podzespołów czy ilości zużywanej energii, szczególnie w Mahabharacie i Rasarvanakalpic, jednak cóż z tego, jeśli właśnie tego precyzyjnego języka technicznego nie rozumiemy. Nie wiemy czym są wymienione tam podzespoły. Nikt po prostu jeszcze nie tłumaczył tekstów technicznych sprzed dwóch tysięcy lat, dotyczących do tego techniki obcej.

– Może pan podać jakiś przykład takiego opisu? – zapytał Himmler.

– Oczywiście – Brandt sięgnął do sterty tłumaczeń – oto część opisu jednego z systemów napędowych z częściowo na razie opracowanej książki Vi-maanika Saastra, z części dotyczącej, jak prawdopodobnie należy rozumieć – regulacji biegunów pola czy sterowania biegunami pola. Jest to fragment – i tak w większości zrozumiały, są jednak i opisy w większości niezrozumiałe na przykład te, które opisują skład chemiczny różnych elementów systemu. Słowa czy terminy niemożliwe do przetłumaczenia pozostawiono w brzmieniu oryginalnym: „Przez przepływ prądu, koła w górnej części powinny zostać wprawione w ruch przez odpowiednią regulację pokręteł. Wielkie koło należy zamocować na wprost otworu, za pomocą „gumbha kilakas“. Podobnie, inne wirujące koła powinny być zamocowane na dole każdego pionowego elementu nośnego. Natomiast na górze każdego z nich powinna zostać zamocowana „pattika“ o grubości pięści, lub płaska taśma, łącząca go z regulatorem

„samsarga“ i z przednią częścią „jantry“ elektrycznej. Przez operowanie tym regulatorem umożliwi się przepływ energii do podstaw pionowych elementów konstrukcyjnych, co wprawi znajdujące się tam koła w ruch wirowy. Po rozkręceniu wielkiego koła, koła „sandhi“ wewnątrz „naala dandas“ również zaczną się obracać z dużą prędkością a energia dotrze do „kilaka o pięciu twarzach“ i po dotarciu do „kotła“ [zbiornika?] nabierze jeszcze większej mocy. Po przejściu przez dwie „naalas“ wprawi wszystkie koła w głównym fllarze w potężny ruch wirowy, pozwalając na osiągnięcie prędkości 25000 „linka“, czyli obiekt będzie mógł pokonywać odległość 105 „krosa“ [przypuszczalnie 300-500 km] w ciągu 1 „gatika“ [ok. 20 minut].“

– Nie da się więc zrobić z tego wszystkiego czysto technicznego użytku? – na twarzy Himmlera widać było pewne rozgoryczenie.

– Obawiam się, że nie. Przynajmniej na razie.

– No cóż, pracujcie dalej, może jednak z czasem uda się wam przynajmniej część tego „szyfru“ odczytać. Chyba zdaje pan sobie sprawę jaka może być wartość tej wiedzy, jeśli tylko zostanie ona zrozumiana?

– Oczywiście – będziemy równi bogom, jak sądzę.

– Będziemy rasą boską. Będziemy wszechmocni... Niech wszyscy obecni w tej sali czują się zobowiązani do utrzymania treści narady w ścisłej tajemnicy. Żadnej takiej narady nie było i nigdy nie będzie ona miała miejsca! Dotyczy to wszystkiego związanego z treścią tłumaczeń i analiz dokonanych na tym zamku!

Himmler wyjechał bardzo przejęty, choć wkrótce pojawili się na zamku – i to na stałe – dwaj oficerowie kontrwywiadu Gestapo. Praca w kamiennych komnatach trwała dalej, choć już w całkowitej izolacji. Żadne informacje nie wydostawały się na zewnątrz i od tego czasu nikt z pracowników – analityków nie opuszczał już terenu specjalnej placówki badawczej SS, kryjącej się pod nazwą Mittersill. Nie było to wynikiem przekonania Himmlera, że wiedza tam gromadzona będzie miała jakiś konkretny wpływ na sytuację Rzeszy, czy przebieg wojny. Na razie przynajmniej było to raczej projekcją jego przeczuć i intuicyjnego wrażenia, że udało mu się uchwycić nić, która kiedyś może się okazać bardzo cennym atutem – w przyszłości.

Prace pod kamiennymi sklepieniami Mittersill toczyły się wytyczoną drogą, jednak dziwnym zrządzeniem losu najważniejsze wydarzenia dla dalszego losu wydobyte z mroków prehistorii „wielkiej tajemnicy“ miały się rozegrać zupełnie gdzie indziej, bez wiedzy zamkniętych tam badaczy.

„Zbieg okoliczności“

Heinrich Himmler był niewątpliwie pod wrażeniem odkryć związanych z manuskryptami, jednak poza skłonieniem naukowców do jeszcze większego wysiłku nic ze sprawą nie robił. Nie było sposobu, ani podstaw, aby można było zrobić coś więcej. Toczyła się wojna i Himmler był teraz zajęty omawianiem monstrualnych planów eksterminacyjnych, budową obozów koncentracyjnych oraz rozbudową swych własnych sił zbrojnych – Waffen-SS... Doskonale jednak pamiętał wywody, jakie do niego dotarły w wielkiej kamiennej sali. Od czasu do czasu wertował nawet raporty nadechodzące z zamku, choć było oczywiste, że im dłużej to trwało, tym mniej docierało informacji nowych. Pojawił się wyraźny impas. Cały rok minął bez zauważalnego przełomu.

Pojawiło się jednak zupełnie nowe źródło informacji.

Reichsführer SS należał do osób o nieograniczonej ambicji, dążących do wykorzystywania wszelkich okazji, wszelkich dróg, aby tylko zwiększyć zakres swej władzy. Miał już w ręku całość policji, własny wywiad, służbę bezpieczeństwa inwigilującą inne instytucje państwa, własne elitarne wojsko liczące pół miliona ludzi, własną armię niewolników – więźniów obozów koncentracyjnych. Chciał mieć własny przemysł zbrojeniowy, którego namiastkę stanowiły zrabowane firmy żydowskie i zakłady produkcyjne zbudowane na terenie obozów. To jednak mu nie wystarczało. W czasie wojny jedną z najbardziej kluczowych i najbardziej opłacalnych gałęzi gospodarki Rzeszy stał się olbrzymi sektor naukowo-badawczy. Jak dotychczas znajdował się on poza zasięgiem władzy Himmlera, chociaż „konkurencyjny“ Wehrmacht miał już własne placówki naukowo-badawcze. Najważniejsi naukowcy Rzeszy byli jednak cały czas obiektem niezwykle uważnej, czujnej obserwacji Reichsführera. Liczył na możliwość ich pozyskania – jeśli tylko pojawiłyby się okoliczności umożliwiające rozwinięcie własnego potencjału w tym zakresie. Jednym z następstw takiej sytuacji było bardzo poważne traktowanie wszelkich sygnałów z ich strony.

Niektóre „sygnały“ stanowiły zaledwie informacje interesujące służbę bezpieczeństwa, niektóre jednak były czymś więcej – umożliwiały Himmlerowi

wykonywanie różnych ważnych ruchów. Z czasem miały doprowadzić do objęcia niepodzielnej kontroli nad wybranymi działami badań naukowych, związanych z najbardziej awangardowymi rodzajami broni. W roku 1940 jednak dużo jeszcze do tego brakowało. Ważne jest, co wywołało określone nastawienie szefa SS – już wtedy. Przyczyniło się to bowiem do pewnego przełomu w roku 1941...

Wczesną wiosną tego roku na biurku Himmlera, raczej w wyniku niezwykle zbiegu okoliczności, znalazł się meldunek dotyczący pracy dwóch wybitnych naukowców: dr Hansa Thirringa z Wiednia i jednego z jego bliskich współpracowników – pracującego w Monachium profesora Walthera Gerlacha. Meldunek ten miał związek z eliminowaniem „należności żydowskich“ w życiu naukowym i akademickim Trzeciej Rzeszy, scharakteryzowano w nim bowiem stosunek obu naukowców do Teorii Względności Alberta Einsteina. Był on krytyczny, co spowodowało, że wzrok Himmlera na chwilę spoczął na dokumencie. Taka krytyka, jeśli opierała się na jakichś racjonalnych podstawach, mogła z jednej strony dowodzić pozytywnego nastawienia obu naukowców do ideologii narodowosocjalistycznej, przez co rzucała pozytywne światło na możliwość pozyskania ich dla SS (a profesor Gerlach był uważany za jednego z najważniejszych naukowców w Rzeszy), z drugiej natomiast strony jeśli ludzie ci mieli do zaproponowania coś wartościowego, nowego, to również mogli okazać się interesujący... Himmlera niewiele interesowały same aspekty naukowe, gdyż w dziedzinie fizyki, zwłaszcza relatywistycznej, był ignorantem. Zresztą w ogóle niewielu ludzi ją rozumiało...

O dalszych związkach tych ludzi z SS zadecydowały dosłownie sekundy. Reichsführer tylko rzucił okiem na treść raportu, dostrzegł zaledwie wybrane słowa. Przypadek sprawił, że przez chwilę wzrok jego spoczął na linijce, w której wspomniano o pracach Gerlacha nad wirowaniem rtęci w bardzo wysokich temperaturach, jako o „furtce“ do przełomu w omawianej dziedzinie, do zupełnie nowych zjawisk, które rzekomo Einstein zignorował. Wystarczyła chwila, aby intuicja Himmlera uruchomiła w jego umyśle „dzwonek alarmowy“ – skojarzył on tę wzmiankę z treścią, niezrozumiałych przecież, tekstów tybetańskich, nad którymi z jakiegoś tajemniczego powodu tak trudzili się naukowcy na zamku Mittersill.

Reichsführer SS, zafascynowany okultystycznymi przekazami z zamierzchłych czasów uznał, że warto dowiedzieć się o skrótno opisanych w raporcie pracach czegoś więcej. Polecił szefowi swego Osobistego Sztabu zwrócić się do obu ludzi z prośbą o krótki, przystępnie napisany referat wyjaśniający na czym polega przełomowy charakter ich teorii i dlaczego ważną rolę odgrywa w niej rtęć.

Odpowiedź nadeszła już po paru tygodniach. Tekst zajmował tylko cztery strony maszynopisu. Wprawdzie nie był nawet w połowie tak przejrzysty jak oczekiwał szef SS, jednak wynikało z niego, że Gerlach i Thirring stworzyli wspólnie pewną teorię. Ten drugi zajął się bezpośrednio alternatywnym podejściem do tego samego zagadnienia co Einstein – do fizyki czasoprzestrzeni i natury grawitacji. Podobnie jak jego francuski kolega, bardziej obecnie znany na tym polu – Elie Cartan, Thirring zwrócił uwagę na fakt, że Einstein zupełnie pominął w swojej teorii siły atomowe i w ogóle wszystko co dzieje się w skali atomowej, w tym ruch wirowy atomów i jąder atomowych – a to miało być elementem kluczowym, podstawą opisu znacznie lepiej pasującego do wyników różnych eksperymentów i prac teoretycznych. Kilka lat po Pierwszej Wojnie Światowej Thirring stał się pionierem (słusznej) teorii, w której opisał grawitację i czasoprzestrzeń z uwzględnieniem szybkiego ruchu wirowego atomów i jonów. Dowiódł istnienia czegoś co dawało szansę na prawdziwy przełom w fizyce – a mianowicie, że jedną z dróg do „wplynięcia” na kształt czasoprzestrzeni i siły grawitacyjne jest wirowanie pól elektromagnetycznych zajmujących tą właśnie przestrzeń – gdyż i jedno i drugie są ze sobą „sprzężone” – używając jego języka. Stworzył wzory pozwalające obliczyć działające siły – które w tym przypadku dawałyby grawitację... ujemną. Idealną sytuacją byłoby wirowanie szybkie – takie, które doprowadziłoby – zgodnie z jego teorią – do izolacji pola związanego z wirującą masą od pola zewnętrznego. Izolacja pól elektromagnetycznych, ze względu na wspomniane „sprzężenie” tworzyłaby również „barierę” dla zewnętrznego pola grawitacyjnego. W efekcie słabłoby przyciąganie grawitacyjne. Thirring nawiązał współpracę z Gerlachem, gdyż ten odkrył drogi prowadzące właśnie do takiej „izolacji” czy „separacji pól”. Gerlach był współautorem słynnego eksperymentu Sterna-Gerlacha, którym dowiódł m.in. „skwantowania” czasoprzestrzeni – pracował jednym słowem nad związkami wirowania jąder atomowych z tym aspektem fizyki, w którym specjalizował się Thirring. To jednak zbliżyło obu do siebie tylko pośrednio. Gerlach wpadł na najciekawszy trop współpracując z wybitnym fizykiem radzieckim – Piotrem Kapicą. Obaj zajmowali się przed wojną naturą nadprzewodnictwa. Ponieważ Gerlach specjalizował się w analizach związanych z magnetyzmem, patrzył on na to zjawisko z punktu widzenia jego wpływu na magnetyzm. Materiał nadprzewodzący ma mianowicie cechę, która go bardzo zafrapowała: całkowicie izoluje pola magnetyczne. Umożliwia więc dokonanie w praktyce to, co jako „teoretyczną abstrakcję” traktował Thirring. Wykorzystanie nadprzewodników jest jednak trudne, w szczególności tracą one swe „magiczne” właściwości przy zbyt silnych polach. Raz zachęcony Gerlach nie dawał jednak za wygraną i szukał

analogicznych zjawisk, które pozwoliłyby odizolować od siebie wirujące pola magnetyczne, gdzie indziej. Kierowany raczej intuicją geniusza (był jednym z najwybitniejszych fizyków niemieckich) niż klasycznym rozumowaniem naukowym wpadł na inny ciekawy trop – i co najważniejsze: właściwy. Zainteresowały go pioruny kuliste, na temat których napisał cały szereg interesujących prac. Doszedł do wniosku, jak się później okazało – przełomowego, że w tych tajemniczych „kłębkach szybko wirującej plazmy” dochodzi do podobnego jak w nadprzewodnikach zjawiska izolacji pól. Wiedział jednak, że wejście na pole zastosowań technicznych będzie wymagało odtworzenia tego zjawiska w warunkach znacznie większych energii, prędkości wirowania, a co najważniejsze: wtedy, gdy stosunkowo lekkie atomy gazów zawartych w powietrzu, zresztą znacznie rozrzedzonych, zostaną zastąpione bardzo ciężkimi atomami, łatwo ulegającymi jonizacji i spełniającymi szereg innych warunków. Biorąc pod uwagę szereg różnych czynników doszedł po pewnym czasie do wniosku, że najlepszym takim materiałem będzie rtęć – rozgrzana do bardzo wysokiej temperatury i poddana działaniu prądu elektrycznego o dużym napięciu i natężeniu. Pierwsze prace teoretyczne jakie zdążył napisać i proste eksperymenty, jakie zdążył do wybuchu wojny przeprowadzić, całkowicie potwierdziły wstępne założenia. W efekcie zacieśniła się współpraca pomiędzy Gerlachem a jego wiedeńskim kolegą. Stworzone zostały podwaliny teorii niezupełnie sprzecznej wprawdzie z teorią Einsteina, ale zupełnie innej o tyle, że ta „aryjska” oparta była na zupełnie innych podstawach – została „wyprowadzona” z fizyki kwantowej, ze zjawisk zachodzących wewnątrz atomów i pomiędzy atomami – a to był, jak wspomniano, aspekt którego Einstein w ogóle nie dostrzegał.

O ile teoria tego ostatniego była z technicznego punktu widzenia zupełnie nieprzydatna (jako w pewnym sensie oderwana od rzeczywistości ziemskiej), opisywała raczej kosmos, to ta alternatywna dawała szansę wykorzystania jej do skonstruowania różnych urządzeń – można było ją sprawdzić w warunkach laboratoryjnych. Pozwalała na zupełnie nowe spojrzenie na kwestię napędu obiektów latających.

Ta ostatnia myśl, zawarta w otrzymanym przez Reichsführera „memorandum” trafiła na najbardziej podatny grunt, jaki tylko można sobie było wyobrazić i bardzo głęboko utkwiała w jego świadomości. Zaistniał zbieg okoliczności, który miał przestawić wydarzenia na zupełnie nowe tory, chociaż na razie ani naukowcy z Mittersill, ani fizycy, nie zostali o zbieżności swych dróg poinformowani. Himmler jeszcze zastanawiał się jak tą partię rozegrać...

Był jednak głęboko przekonany, że cała „afery tybetańska”, do której doszło za sprawą trójkątnego kamienia – który z bliżej nieznanym przyczyn

znalazł się kiedyś w Wiedniu, nie była marnotrawstwem czasu i pieniędzy, że był to właściwy kierunek.

Na razie jego głównym problemem było stworzenie głęboko utajnionej komórki, która mogłaby się całą tą sprawą zająć. Nie było przecież od czasu zaciągnięcia Himmlera do służby, w odróżnieniu od sił zbrojnych, żadnej agencji zajmującej się nauką, a zwłaszcza fizyką. To był pierwszy, ale nie jedyny problem. Nie miał bowiem też zgody na taką działalność, ewentualna komórka musiałaby, przynajmniej na razie, działać w zasadzie nielegalnie. Musiał więc znaleźć do kierowania nią nie tyle naukowca, co osobę, którą mógłby obdarzyć całkowitym zaufaniem. Kogoś na tyle odpowiedzialnego i pragmatycznego, że mógłby sprawę poprowadzić i na tyle nie wpadającego w oko, że nikt się nie zainteresuje jego działalnością. W przeciwnym wypadku Himmler nie tylko mógłby wejść w konflikt, np. z Hitlerem, ale co gorsza mógłby stracić „swój” projekt, z którym wiązał już pewne nadzieje. Wybór był więc prosty: musiała to być osoba zaprzysiężona, należąca do tajemniczego „wewnętrzny kręgu” z Wewelsburga, grupującego dwunastu najbardziej oddanych generałów „czarnego zakonu”. Kwalifikacje naukowe były wymaganiem i tak nierealnym – nie miał ich żaden generał. Tym sposobem powiernikiem i pełnomocnikiem specjalnym Himmlera w tej sprawie został jeden z jego okultystów: SS-Gruppenführer Emil Mazuw, współautor wcześniejszej „okultystycznej” wyprawy SS na Islandię – „do źródeł dziedzictwa rasy aryjskiej”. Mimo wysokiego stopnia generalskiego był w Rzeszy postacią praktycznie nieznaną. Mógł więc korzystać z pełnej swobody działania.

Pomimo nakreślenia już planu „rozegrania partii”, związanej z „metałami bogów”, powiązanie przywiezionej z Tybetu wiedzy tajemnej z tą czysto naukową napotkało na bardzo niepokojącą przeszkodę.

Krzyż i róża

Parę dni po przeczytaniu przez Himmlera materiału nadesłanego przez Gerlacha i Thirringa dotarł do niego zupełnie inny raport. Wynikało z niego, że placówka kontrwywiadu Gestapo z Salzburga zaobserwowała na swoim terenie podejrzaną osobę. Jak odnotował na marginesie akt oficer z berlińskiego Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, nadesłane zdjęcie bardzo przypominało tajemniczego „strzelca”, którego portret pamięciowy sporządził Brandt w Tybecie podczas ostatniej wyprawy. Po powrocie do Niemiec w 1939 r. złożono wprawdzie odpowiedni meldunek, nigdy jednak nie udało się ustalić kim był ten człowiek, ani dla kogo pracował. Dopiero teraz pojawił się pierwszy sygnał, i co było dosyć niepokojące – blisko otoczonego tajemnicą Mittersill.

Dla Reichsführera był to sygnał tym bardziej alarmujący, że zaskakujący. W żadnym wypadku nie mógł sobie pozwolić na jego zignorowanie... Na jego osobisty rozkaz postawiono na nogi cały aparat tajnej policji – wszystkich oficerów i agentów w tym rejonie. Rozpoczęły się poszukiwania. Podejrzanym widziany był w jednym z miejscowych pensjonatów, w małym miasteczku Fusch, gdzie zgodnie z obowiązującymi przepisami został odnotowany w księdze gości. Posługiwał się paszportem Rzeszy, chociaż właściciel pensjonatu odniósł wrażenie, że język niemiecki nie jest językiem ojczystym tego człowieka. Wkrótce się on wyprowadził, być może wyczuł nutę podejrzliwości ze strony gospodarza, jednak ten i tak złożył meldunek na Gestapo. Nie miał już jego paszportu, wydała go gościowi w momencie wyjazdu niczego nieświadoma żona. Można jednak było sporządzić dosyć dokładny portret pamięciowy. Wylądował on w końcu na biurku Reichsführera, gdyż okazało się, że nie istnieje paszport o zapisanym w księdze gości numerze.

Oficerowie Gestapo mieli prawo przypuszczać, że tajemniczy osobnik nadal przebywa w ich rejonie działania. Wypytywali właścicieli sklepów, kierowców, rolników z okolicy, jednym słowem wszystkich. Mówiono im, że sprawa dotyczy zamachowca – dywersanta, który zamierza wysadzić w powietrze most kolejowy. Pomimo tego w ciągu najbliższych dni nie napłynął

żaden interesujący sygnał. Tajemniczy „zamachowiec“ rozplynął się jak kamfora. Miasto, w którym znajdował się pensjonat było jednak tylko jednym z dwóch rejonów poszukiwań. Na podstawie wskazówek z Berlina przyjęto założenie, że celem podejrzanego będzie zamek Mittersill, poinformowano więc właścicieli tamtejszych pensjonatów, policjantów i inne wybrane osoby a w najbliższej okolicy ulokowano dodatkowo kilku najlepszych agentów kontrwywiadu.

Znowu mijały dni bez jakiegokolwiek meldunku.

Dopiero na początku maja coś się zmieniło. Właściciel miejscowej wypożyczalni sprzętu turystycznego poinformował policję o wizycie osoby bardzo podobnej do poszukiwanej. Zaznaczył, że człowiek ten mówił z jakimś dziwnym, obcym akcentem – wzbudziło to tym większe zainteresowanie, że informacja o jego „słabości językowej“ nie była udostępniana ludności, w ten sposób zamierzano ułatwić sobie ocenę doniesień. Meldunek był „gorący“, jako że w momencie złożenia dotyczył wydarzenia sprzed zaledwie paru godzin. To wystarczyło aby postawić na nogi całą miejscową policję, wykorzystano nawet członków partii (NSDAP), których wysłano na ulice. Agenci kontrwywiadu również opuścili swe kryjówki. Akcja ta wydawała się dawać duże szanse powodzenia, jako że samo miasteczko Mittersill było niewielkie i w czasie wojny prawie pozbawione przyjezdnych. Na ulicach znowu nie natrafiono jednak na ślad przybysza. W godzinach popołudniowych na posterunek zadzwonił sam komendant miejscowej policji z elektryzującą informacją. Powiedział, że dzwoni z leśniczówki na skraju miasta, gdyż będąc na polowaniu wytropił mężczyznę z listu gończego... w lesie. Czyżby „myśliwy“ miał teraz zamienić się w „zwierzynę“?

Obcy widocznie domyślał się, że grozi mu niebezpieczeństwo i postanowił nie zatrzymywać się w mieście. Zbudował sobie prowizoryczny, zamaskowany szałas w środku lasu. Pojawiła się też spekulacja, że w ten sposób poczynił on przygotowania do przejścia przez zieloną granicę do nie tak znowu odległej Szwajcarii.

W rejon leśniczówki wysłano wszystkich policjantów z okolicy, w drodze były posiłki w postaci żołnierzy pobliskiego oddziału przeciwlotniczego Luftwaffe i kilkunastu żandarmów. Skąpymi siłami otoczono teren, obstawiono leśne drogi i stopniowo zacieśniano pierścień okrążenia. Żandarmi z psami dojechali do samej leśniczówki, skąd biegła najkrótsza droga do zaobserwowanego przez komendanta policji szałas. Psy miały podążać tropem intruza.

W momencie gdy patrol był już w odległości jakichś stu metrów od kryjówki rozległy się strzały. To tropiony zorientował się w sytuacji...

Strzelał jednak, podobnie jak w Tybecie, niezbyt celnie. Trafiał wprawdzie jednego psa, który wkrótce wyzionął ducha, ale żołnierze natychmiast przypadli do ziemi i nie pozostawili obrońcy żadnych złudzeń. Ogień pistoletów maszynowych musiał wywrzeć właściwy efekt psychologiczny, podobnie jak dwa granaty, które rozerwały się gdzieś pomiędzy gałęziami nad szałasem. Dowódcą patrolu krzyknął zgodnie z instrukcją: „ręce do góry, broń trzymaj nad głową!“ Nieznajomy wiedział, że dalszy opór oznaczałby pewną śmierć i poddał się. Został przewieziony na posterunek policji a stamtąd do placówki Gestapo w Salzburgu.

Rozpoczęły się przesłuchania.

Pomimo bicia siepacze w czarnych mundurach nie mogli wydobyć od niego żadnej wiarygodnej historii – za każdym razem jego „niewinna“ wersja nieco różniła się od poprzedniej. Nie ustalono jego personaliów. Nie wiadomo było nawet z jakiego kraju przybył. Tortur nie stosowano, gdyż takie było zalecenie Berlina. Himmler chciał za wszelką cenę zachować pojmanego przy życiu...

Dopiero po dwóch dniach, z zupełnie innej strony, dotarł sygnał, który rzucił pewne światło na cele i charakter jego misji. Po aresztowaniu cudzoziemca, z uwagi na niezwykle priorytet sprawy, wysłano w rejon dawnego szałas doświadczoną ekipę kryminalistyczną z Salzburga, ze specjalnie przeszkolonym psem. Miała ona zająć się dokładnym przeszukaniem najbliższej okolicy, licząc na znalezienie jakichś przeoczonych wcześniej śladów oraz ewentualnych rzeczy porzuconych lub ukrytych w pobliżu – np. map, notatek. Niczego takiego nie udało się odnaleźć, chociaż jeden z policjantów zwrócił uwagę coś innego. Była to niewielka broszka czy spinka, która w pewnym momencie zabłysła w Słońcu, chociaż teren w którym leżała był przeszukiwany wcześniej kilka razy.

Broszkę natychmiast wysłano przez specjalnego kuriera SS do placówki w Salzburgu – jako jedyne znalezisko, na jakie udało się natrafić. Spinka przypominała stylizowany krzyż i chociaż niewiele mówiła gestapowcom, to jednak wywarła wielkie wrażenie na przesłuchiwanym. Z jego pierwszej reakcji było widać, że przedmiot ten należał wcześniej do niego. To podziało na niego bardziej niż bicie. Być może uznał, że odkrycie jego prawdziwej tożsamości będzie teraz tylko kwestią czasu, w każdym razie zaczął zdradzać oznaki załamania psychicznego. Fakt ten został odnotowany a następnie wykorzystany przez przesłuchującego oficera. Obiecał on aresztowanemu przeżycie, jeśli zgodzi się współpracować. Po konsultacji z Berlinem okazało się, że Reichsführer SS jest gotów nawet przedstawić mu taką obietnicę na piśmie. To nieco rozwiązało jego język.

Zznał, że nazywa się Dagobert Farrell, przybył z Anglii i jest członkiem bractwa Różokrzyżowców. Informacja ta wkrótce dotarła do Himmlera i wywołała piorunujący efekt. Rozkazał on natychmiastowe przeniesienie Farrell'a do specjalnego więzienia znajdującego się w piwnicach Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy w Berlinie.

Miało to zająć parę dni. W tym czasie Himmler musiał znaleźć odpowiedniego oficera do poprowadzenia tak nietypowej a zarazem delikatnej sprawy. Jego wybór padł na eksperta od wiedzy tajemnej, SS-Standartenführera Herberta Linsego, który w ramach paranaukowego i niemal okultystycznego „towarzystwa naukowego SS” – Deutsches Ahnenerbe – miał poprowadzić planowaną „Placówkę do spraw weryfikacji tzw. wiedzy tajemnej”. Taak – przekonywał sam siebie Himmler – Linse będzie osobą idealną do rozwiązania tej zagadki... Przypominał zresztą postać z reklamy Waffen-SS wiszącej w sekretariacie Reichsführera: wysoki blondyn o surowej twarzy, jednym słowem rasowy i polityczny ideał przedstawiciela „rasy aryjskiej”.

Został więc wezwany na rozmowę. Nie został poinformowany o jakiego rodzaju problem tym razem chodzi...

Gdy w końcu już do niej doszło, zamiast wstępu Himmler pokazał mu dziwną spinkę-broszkę, znalezioną w alpejskim lesie, zadając następujące pytanie:

Niech pan się dokładnie przyjrzy temu przedmiotowi i postara się powiedzieć na jego podstawie jak najwięcej o osobie, do której on należał. Jest to sprawa niezwyklej wagi.

No cóż – zastanawiał się przez chwilę Linse – wygląda na to, że człowiek ten był, lub raczej jest członkiem Bractwa Różokrzyżowców, tajnej w zasadzie organizacji międzynarodowej o charakterze okultystycznym. Ta odznaka to jakby symbol przynależności – krzyż ze stylizowanym motywem róży. Zaryzykowałbym twierdzenie, że pochodzi on z Anglii; to jest raczej ich „wersja”...

– Co dokładnie ten symbol oznacza i jaki może, jeśli może, mieć związek z Tybetem?

– Hmm, sam symbol jest niejako połączeniem dwóch symboli: krzyża i róży. Znaczenie krzyża naprawdę nie pokrywa się jednak zupełnie z symboliką chrześcijańską, chociaż Różokrzyżowcy uważają siebie za chrześcijan. Krzyż ma starszą genezę i występuje na różnych kontynentach, jest to po prostu jeden z najprostszych symboli geometrycznych, który występuje w różnych mitologiach. Ma wiele znaczeń: jest podstawą mandali, modelu świata obecnego również w Tybecie, już dla Pitagorasa krzyż był symbolem boskim. Symbolizuje liczbę 4, co z punktu widzenia Różokrzyżowców jest o tyle istotne, że ich ideologia jest przepelniona numerologią – wiarą w magiczną moc

liczb. Róża natomiast jest symbolem liczby 5 i pentagramu. Jeśli by natomiast spojrzeć na to bardziej konkretnie z punktu widzenia ich symboliki, to przede wszystkim krzyż jest odzwierciedleniem transcendentalnej natury człowieka, jego umiejscowienia w czasie i przestrzeni. Tybetańczycy powiedzieliby analogicznie, że chodzi o umiejscowienie człowieka w „mandali życia”. Jest to też motyw, który pojawił się w Europie w okresie Renesansu, gdy odżywały niektóre idee starożytne. Krzyż jest poza tym symbolem jedności samego bractwa oraz „braterstwa ludzkości”. Jest to więc nieco inne rozumienie niż w religii chrześcijańskiej, gdzie krzyż jest przede wszystkim symbolem poświęcenia życia doczesnego, cierpienia, śmierci i nieśmiertelności.

– A róża?

– Róża też ma bardzo długą historię – jako symbol; i też znaczenia jej przypisywane są w wielu punktach sprzeczne. Sam symbol wywodzi się z mroków starożytności. Pierwotnie uosabiał on ziemskie pasje i niebiańską doskonałość, dziewictwo i płodność, śmierć i życie... Był to też kwiat bogini Wenus oraz symbol krwi boga Adonisa, później stał się też symbolem krwi Chrystusa. Od czasów zamierzchłych, np. w starożytnym Rzymie, róża była symbolem boskiego raj. Sadzono je na cmentarzach, gdzie z jednej strony były znakiem świata boskiego, a z drugiej – przez swe kolce przypominały o bólu poświęcenia i odkupienia za grzechy. Róża przypominała też o wygnaniu z raj, przez co była jakby symbolem boskiej wiedzy tajemnej, jakby inną wersją „drzewa wiadomości dobrego i złego” – boskiej wiedzy, której ludzie nie mieli osiągnąć. W starożytności jest też zakorzeniona związana z różą symbolika transmutacji – przekształcania materiałów, a w szczególności metali. Starożytni wyobrażali sobie to w ten sposób, że róża „zamienia” banalną ziemię w doskonały kwiat, jest on przeobrażoną ziemią... Ze względu na wątek transmutacji, w okresie mody na alchemię róża kojarzona była z „boskim metalem” – z rtęcią, która miała się zamieniać w złoto. Ale jest też zupełnie inna, można rzec „niematerialna” symbolika róży, która chyba była najważniejsza dla Różokrzyżowców. Róża jest mianowicie symbolem eizy i tajemnicy. Określenie sub rosa, czyli „pod różą” odnosi się do naku dyskrekcji. W starożytności, a później w tajnych stowarzyszeniach, jeśli na drzwiach była zawieszona róża, względnie jeśli znajdowała się nad obradującymi, oznaczało to, że wszyscy obecni zobowiązani są do zachowania w tajemnicy wszystkiego tego, co usłyszeli „pod różą”. Można więc powiedzieć, że w przypadku Różokrzyżowców obecność róży oznacza, że celem stowarzyszenia jest utrzymywanie pradawnej wiedzy w tajemnicy.

– Hmm, zaskoczył mnie pan. A co z tą rtęcią, czy w mitologii Różokrzyżowców, jeśli można tak rzec, zajmuje ona jakieś miejsce?

– Słyszałem, że tak, ale nie jestem w stanie udzielić dokładnych informacji na ten temat. Wiem tylko, że jako najstarszy, motyw róży pojawia się w odniesieniu do egipskiego boga Totha, tego który boską wiedzą obdarzył ludzi. Tego samego, który później był czczony pod postacią greckiego Hermesa i rzymskiego Merkurego. A od Merkurego, tego latającego boga – z piórami na sandałach i hełmie, pochodzi przecież angielska nazwa rtęci, podobnie właśnie stało się tak za sprawą Różokrzyżowców... O ile wiem, ich głównym źródłem informacji są jednak tajemnicze przekazy związane z alchemią, a więc pochodzące głównie ze źródeł arabskich – co oczywiście nie wyklucza, że część z nich miała źródło w przekazach Totha... Tam też rtęć jest głównym motywem badań, miała służyć do wytwarzania złota. To zresztą również doskonale wpisuje się w symbolikę róży, jako „kwiatu cudownej przemiany”.

– Czyli w jakimś sensie Różokrzyżowcy mogą też okazać się źródłem informacji o ukrytej wiedzy starożytnej?

– Dokładnie tak, chociaż zniekształconej przez wieki. Nie można też zapominać, że ich głównym celem jest utrzymanie całej tej wiedzy w tajemnicy!

– To się dobrze składa, bo akurat mamy tu jednego takiego – szpiega, przysłanego chyba z Anglii. Do niego właśnie należał symbol, który panu pokazałem. Chcę wiedzieć dlaczego interesuje się naszym tajnym projektem związanym z rtęcią i wyprawami do Tybetu. Człowiek ten próbował zabić moich ludzi w Himalajach, a teraz dotarł za nimi nawet do miejsca, gdzie zostali ukryci, tu w Rzeszy. Za wszelką cenę muszę się więc dowiedzieć dlaczego tak mu na tym zależało i czynię pana odpowiedzialnym za wykonanie tego zadania. Jeśli ktoś będzie wiedział jak się do tego fachowo zabrać, to tylko pan, więc proszę mnie nic zawieść...

– Postaram się wykonać to zadanie najlepiej jak to będzie możliwe, jednak ci ludzie są fanatykami. To sekta. Jeśli nie będzie się bał śmierci, to nie zmuszę go do mówienia. Mogę jednak spróbować go przekonać, zwerbować... Odrębną kwestią jest jednak pytanie, ile on naprawdę wie. Może się bowiem okazać, że wie bardzo niewiele i nie ma pojęcia dlaczego wykonywał te zadania.

– Czyżby? – na twarzy Himmlera pojawił się grymas niedowierzania.

– Obawiam się, że trzeba się i z tym liczyć. W organizacji Różokrzyżowców obowiązują nie tylko ścisły reżim zachowania tajemnicy wobec osób z zewnątrz, ale i wewnątrz jej samej. Oni są doskonale zorganizowani. Istnieje pięć stopni wtajemniczenia i wszyscy z wyjątkiem przywódców znają zawsze tylko strzępy prawdy...

Na tym audyencja się zakończyła.

Standartenführer Herbert Linse stuknął swymi podkutymi butami, wyprężył się do salutu *Heil Hitler!* i zaczął przemierzać długie korytarze Główne-

go Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, aby po kilkunastu minutach dotrzeć do szczególnie tajnej części gmachu – do ukrytego w podziemiach „aresztu specjalnego”, gdzie trzymano szczególnie interesujących więźniów. Takich, którzy wyjątkowo byli rozpracowywani przez samą „centralę”.

Linse wszedł do ciasnej celi, pozwolił aby strażnik zatrzasnął za nim drzwi i spojrzał na więźnia. Ten sprawiał obraz wraku człowieka – fizycznie zużytego, choć nie noszącego śladów szczególnie dotkliwego bicia, a pod względem psychicznym – kompletnie załamane. Jeszcze starał się trzymać godnie, ale i tak Linse dostrzegł w jego oczach coś z oblicza zaszczutego psa. „Boi się – pomyślał wysłannik Himmlera – to dobrze, jest więc jeszcze coś na czym mu zależy”. Oficer wyszedł z założenia, że jeśli dotychczasowe metody wywierania presji nie przyniosły efektu, należy spróbować innego podejścia. Z punktu widzenia więźnia pojawienie się nowej twarzy stanowiło jakąś nić nadziei i należało to – według cesarza – wykorzystać. Linse spróbował jakoś rozładować atmosferę, pozwolił mu usiąść na pryczy, przystawił bliżej krzesło i uśmiechnął się. To jednak wywołało jeszcze większe przerażenie na jego twarzy. Spróbował więc jeszcze inaczej:

– Nie karmią tu chyba pana zbyt dobrze...

– No cóż, jak w więzieniu aresztowany najwyraźniej bał się powiedzieć jak jest naprawdę.

– Coś z tym zrobimy, niech pan się niczym nie przejmuje, musi pan przecież dojść do siebie.

Wyszedł na kilkanaście minut i wrócił ze strażnikiem niosącym gulasz z „uprzywilejowanego” bufetu oficerskiego na drugim piętrze.

– Smacznego! – rzucił z uśmiechem, choć mogło to wzbudzić skojarzenie z kotem czerpiącym radość z zabawy właśnie upolowaną myszą.

– Dziękuję – odparła jego ofiara łamiącym się głosem.

Linse wprawdzie nie był oficerem śledczym, jednak widział już wystarczająco wiele, aby wiedzieć jak łatwo można manipulować człowiekiem „sprowadzonym do poziomu podłogi”. Pamiętał rozmowę z oficerem jednego z departamentów RSHA, który werbował więźniów do „prowokacji gliwickiej” i jego słowa: „*pamiętaj Herbercie, tacy ludzie, dla nas ludzie jednorazowi, będą znacznie bardziej oddani i wierni niż ci, którzy zdecydowaliby się z wolnego wyboru. Oni przeszli taką szkołę, że już zapomnieli kim byli w normalnym życiu. Im wystarczy podać kromkę chleba z masłem a będą ci oddani do końca swego życia. Czasami trzeba umieć być bogiem.*”

Po przerwie na posiłek Linse spróbował nawiązać kontakt:

– Będę z panem szczery. Mimo wszystkiego tego co pan zrobił, chcemy dać panu szansę przeżycia. Nie interesuje nas zemsta, nie mielibyśmy z niej żadnej

korzyści. Wolelibyśmy, aby pan odkupił swoje winy i zdecydował się na współpracę – oczy Farella czujnie wpatrywały się w postać w czarnym mundurze z trupią czaszką na czapce. – Jest to dla nas tak cenne, że gotowi jesteśmy darować winę. Ważne jest dla nas tylko to, co pan wie. O tym co robimy. To jest pana jedyna szansa. Ma pan 24 godziny na określenie się w tej sprawie, po tym czasie nie będę mógł już nic dla pana zrobić. Przyjdę tu jutro o tej samej porze.

Linse odczekał chwilę, próbując wysondować wzrokiem reakcję drugiej strony, starał się przeniknąć jego myśli, chociaż nie mógł tam dostrzec nic oprócz przerażenia.

Wyszedł.

Następnego dnia pojawił się znowu. Liczył na swą intuicję, która podyktowała mu podejście, jakie zastosował.

Więzień sprawiał wrażenie jakby nie spał. A jednak – zauważył Linse – trafiłem we właściwy punkt. Jaka więc będzie reakcja „obiekta“?

– Jakie mógłbym otrzymać gwarancje, że w wypadku współpracy ucałuję życie?

– Może pan otrzymać pisemną gwarancję od Reichsführera SS, że w takim wypadku zostanie pan przeniesiony do obozu jenieckiego i otrzyma pan status jeńca. Wypuścić na wolność pana nie możemy, jest wojna.

– Zgadzam się, choć zarazem obawiam się, że nie znam odpowiedzi na wszystkie wasze pytania.

Linse odniósł sukces, wyszedł z celi i udał się wprost do Osobistego Sztabu Himmlera. Uzyskanie od niego gwarancji nie było żadnym problemem, choć taki wariant postępowania nie został wcześniej uzgodniony. Po godzinie wrócił do podziemi. Mógł rozpocząć przesłuchanie.

– Pana personalia...

– Nazywam się Dagobert Farell, jestem obywatelem brytyjskim.

Dlaczego miał pan zlikwidować naszą ekspedycję badawczą?

– Zostałem przysłany przez przełożonego naszego bractwa, gdyż jak uznał – byliście o krok od odkrycia jednej z naszych największych tajemnic, choć podążaliście zupełnie inną drogą niż my znamy.

– W takim razie skąd wiedzieliście, że była to właściwa droga i dokąd w ogóle prowadziła?

– Tego niestety nie wiem, nie byłem w takie szczegóły wtajemniczany. Mam załedwie drugi stopień wtajemniczenia.

– To znaczy który?

– *Teoricusa*.

– A jak panu się wydaje, skąd mogły pochodzić informacje mówiące wam na jakim to właściwie tropie jesteście?

– Naprawdę nie wiem, przypuszczam że przełożony bractwa miał jakiś osobisty kontakt z którymś z członków grupy, lub może z osobą analizującą naukowe wyniki wyprawy tu, w Niemczech...

– No dobrze, na razie zostawmy ten wątek, wrócimy do niego w przyszłości. Zznał pan, że chodziło o jedną z waszych największych tajemnic. Zatem czego ona dotyczyła?

– W jakimś sensie dotyczy ona rtęci. Szczegółów nie znam. Wiem jednak, że sprawa ma związek z pewnego rodzaju zaszyfowaną wiadomością będącą w posiadaniu bractwa, czy raczej z przekazem. Ma on w zasadzie charakter szyfru alchemicznego, chociaż tak naprawdę wywodzi się ze starożytnego Egiptu. Przełożony posiada wykonany ze srebra jakby herb przedstawiający szereg tajnych symboli, m.in. węża, krzyż, różę, symbole planet, Słońca i inne. Ten „herb“ nie jest jednak naprawdę herbem. Posiada on tekst otwarty, czy jawny, oraz tekst tajny, zapisany w formie znaków znanych tylko kilku średniowiecznym alchemikom. Jest to jakby średniowieczny rebus... Podobno całość stanowi kopię znacznie starszego, okrągłego symbolu, dysku wykopanego przez Arabów w pobliżu jednej z piramid egipskich – tej najwyższej. W warstwie jawnej, jeśli można tak powiedzieć, jest tam mowa o rtęci, słowa te wypisane są nad węzem pożerającym własny ogon.

– Symbol wiru, a może jest to związek z symbolem starożytnego boga – Merkurego, z jego atrybutem znanym jako *kaduceusz*? Kaduceusz to laska z drzewa oliwnego, wokół której splecione są dwa węże. Z laską połączone są dwa skrzydła. Symbol latania? Merkury był przecież bogiem, który latał...

– Być może, w każdym razie na „herbie“, czy tej prawie okrągłej srebrnej płycie, jest zapisane łaciną jedno zdanie...

Taak, a jakie?

– „*Ktokolwiek rozszyfruje tę alchemiczną zagadkę, będzie w stanie podróżować do łądów w inny sposób zupełnie niedostępnych*“.

O co w tym konkretnie chodzi? Dlaczego jest to jedna z waszych największych tajemnic? Podróże?

– Tego nie wiem.

Linse się zamyslił. Wyjął papierosy, poczęstował jednym Farella i zaczął chodzić po celi. Wypytywał go o szczegóły okrągłego „herbu“ i w miarę słuchania opowieści sprawa wydawała mu się coraz bardziej znajoma. Po paru minutach był już niemal pewien, że kiedyś zetknął się z tym samym symbolem podczas rozpracowywania Różokrzyżowców niemieckich. Z tego co sobie przypominał, była to istotnie jedna z ich pilniej strzeżonych tajemnic. A więc

Farell mówi prawdę – pomyślał i zapalił jeszcze jednego papierosa. Doszedł do wniosku, że przed kontynuowaniem przesłuchań musi zdać dokładny raport a resztę pytań trzeba będzie prawdopodobnie pozostawić „fachowcom”, którzy będą mieli jeszcze wiele spraw do ustalenia – głównie chodziło o podejrzenie, że Farell miał współpracowników w Rzeszy.

Rano na biurku Himmlera wylądowało więc dokładne sprawozdanie.

Ten potraktował śledztwo i całą sprawę jako wiele mówiący sygnał. Nie mógł uwierzyć aby ktoś taki był w stanie działać zarówno w Tybecie, jak i w Rzeszy bez wsparcia brytyjskich lub alianckich służb specjalnych. Chciał więc to jeszcze wyjaśnić. Z drugiej strony był to dla niego impuls nakazujący jeszcze poważniejsze potraktowanie badań, w myśl zasady, że „jeśli przeciwnikowi tak bardzo zależy abyśmy czegoś nie mieli, to właśnie dlatego powinniśmy to mieć...”

Póki co wysłał do Mittersill jeszcze raz swego specjalnego przedstawiciela, zaufanego generała – Mazuwa. Sam natomiast kazał wezwać do Osobistego Sztabu obu naukowców: Gerlacha i Thirringa, których prace tak dziwnie „zazębiały się” z treścią materiałów przywiezionych przez ekspedycję kierowaną przez SS-Sturmbannführera Ernsta Schäfera.

Przedstawił im sprawę – wyniki tłumaczeń prowadzonych na zamku, wieńczące wyprawę tropem śladu zakodowanego w „Kamieniu Hitlera”, informacje uzyskane od Dagoberta Farella – bez owijania w bawełnę. Uznał to za dowód, że obaj fizycy są na właściwym i prawdopodobnie przełomowym tropie. Zadał jedno proste pytanie:

– Czy są panowie na etapie, na którym można zaprojektować urządzenie, dzięki któremu możnaby sprawdzić, czy jest to droga istotnie rokująca nadzieje?

– Prosty eksperyment można już wykonać – odparł Gerlach, zwany „królem fizyki niemieckiej”. Byłaby to pierwsza próba powiązania ze sobą kilku kluczowych, nowych zjawisk w jednym urządzeniu. Jednak – jak w przypadku każdego całkowicie nowego pomysłu, trzeba będzie prawdopodobnie długo dochodzić do dojrzałego rozwiązania. Jest to zupełnie nowy dział fizyki, byłibyśmy pierwszymi, którzy wkroczą na ten dziewiczy obszar. Dlatego trzeba się liczyć z tym, że zajmie to wiele czasu; i jak w przypadku każdej nowatorskiej techniki – będzie sporo kosztować. Możemy jednak zaprojektować pierwszy eksperyment. Taki, który nie dałby sił użytecznych w skali technicznej, ale pozwoliłby sprawdzić, czy w ogóle takie siły występują...

– Proszę więc zabrać się do pracy. Czy możliwe jest przygotowanie wstępnego projektu w ciągu dwóch tygodni?

– Sądźmy, że tak – naukowcy spojrzeli na siebie.

Punkt zwrotny

Istotnie, w wyznaczonym czasie przygotowali oni plan przystosowania do eksperymentu jednego z pierwszych akceleratorów, jaki znajdował się w Instytucie Cesarza Wilhelma, w Berlinie.

Ruszyły prace badawcze i już po miesiącu, dzięki protekcjom Reichsführera, dziwne urządzenie w kształcie dysku o średnicy ponad jednego metra było gotowe do pracy...

Miało ono, w oparciu o prace teoretyczne Thirringa i (głównie doświadczalne) Gerlacha, dostarczyć informacji czy uda się wytworzyć i utrzymać, chociażby przez parę sekund, wir par rtęci o prędkości ponad tysiąca obrotów na sekundę. Miał on być utrzymywany w stanie stabilnym przez bardzo silne pole magnetyczne. Urządzenie różniło się od zwykłego akceleratora większą prędkością wirowania i obecnością jonów rtęci, a nie elektronów jak dotychczas – przynajmniej tym różniło się pod względem samej budowy. Najważniejsza różnica nie była jednak z zewnątrz widoczna. Polegała ona na tym, że wytworzony wir był w istocie sztucznym piorunem kulistym, czyli czymś co nazwano „wirem magnetycznie zamkniętym”. Taki był i jest w każdym razie sens teorii Hansa Thirringa. Oczywiście tak miało być w teorii, prawda miała wyjść na jaw dopiero po uruchomieniu niezwyklej maszyny...

Na czas eksperymentu ewakuowano z instytutu cały zbędny personel a służby SS zadbały o to, aby o jego prawdziwym charakterze wiedziało jak najmniej ludzi. Stało się tak, pomimo że w istocie chodziło tylko o stosunkowo prosty eksperyment, który miał dostarczyć odpowiedzi zaledwie na najbardziej podstawowe pytania.

Atmosfera była więc, jeśli można tak rzec, kameralna. W hali akceleratora było tego dnia tylko czterech ludzi: Gerlach, Thirring oraz dwóch miejscowych techników. Ich uwaga skupiona była na konsoli sterującej aparaturą zasilającą, ukrytej za grubą betonową ścianą, chroniącą ludzi przed szkodliwym promieniowaniem. W analogicznym pomieszczeniu znajdowali się też obaj pomysłodawcy. Oni jednak obserwowali przez wizjery z pancernego szkła coś zupełnie innego: zestaw specjalnie na tą okazję skonstruowanych

wag, wykonanych z metali niemagnetycznych. One miały pokazać czy wtręciowy generuje sztuczną grawitację...

W pewnym momencie technicy ukryci w sekcji sterowania uruchomili migające czerwone światło i syrenę, której ryk dotarł nawet do osłoniętego betonem drugiego z pomieszczeń. Był to znak, że za chwilę w środku dyskoko-sztaltnej komory dojdzie do potężnego wyładowania elektrycznego, które w mgnieniu oka spowoduje wyparowanie ręci i przyspieszenie jej atomów do olbrzymich prędkości.

Po włączeniu zasilania nie się nie stało – przynajmniej na pierwszy rzut oka. Jakiś laik, amator, który w tym czasie by obserwował niezwykłą scenę, prawdopodobnie nie odnotowałby niczego niezwykłego poza głośnym buczeniem (choćby jego ciało uległoby słabemu napromieniowaniu). To jednak były tylko pozory. W rzeczywistości delikatne rysiki przesuwające się po rolkach papieru w betonowej komorze pokazały, że wagi odnotowały słabą, ale niewątpliwą zmianę siły grawitacyjnej w bezpośrednim pobliżu dysku. Była to zmiana, jej osłabienie, zaledwie na poziomie paru procent, ale była!

Teoria się na razie sprawdziła, choć obaj fizycy nie mieli jeszcze zielonego pojęcia jak można będzie ten jeden procent „zamienić” w sprawność większą niż stuprocentowa.

Himmler nie miał wprawdzie nigdy do czynienia z pracami badawczymi, jednak rozumiał, że jest to wynik zachęcający. Uznał go za potwierdzenie, że opisy zawarte w tajnych pismach tybetańskich nie są bajką... Nie był naukowcem, jednak nie zajęło mu zbyt wiele czasu uzmysłowienie sobie, jak wielkie możliwości może dać to odkrycie. Nie tylko w sensie technicznym, ale też jako atut, który być może da w przyszłości SS monopol na najbardziej przełomową ze wszystkich broni.

Postanowił wszystko postawić na tą kartę. Eksperyment został ściśle utajniony, podobnie jak stworzony w oparciu o niego projekt badawczy, który Himmler zamierzał przedstawić do zaaprobowania przez samego Hitlera. Było to najtajniejsze przedsięwzięcie Reichsführera a miało stać się najtajniejszym projektem badawczym Trzeciej Rzeszy...

Pięczę nad całością miał sprawować generał Mazuw – „szara eminencja z Wewelsburga”. Jego ludzie – specjalnie powołany sztab – mieli przygotować propozycję projektu, w którym urządzenie oparte na pracach fizyków miało stać się podstawą nowego rodzaju broni – broni strategicznej.

Na 21 lipca 1942 roku wyznaczono termin ściśle tajnej konferencji, która miała się odbyć w Berlinie. Himmler zamierzał na niej domagać się nie tylko zgody na realizację projektu wyłącznie przez SS, ale też oficjalnego uznania go za „projekt, który rozstrzygnie wojnę”! Na konferencji obecny był przed-

stawiciel samego Hitlera (prawdopodobnie Reichsleiter Martin Bormann – jego zastępca) i najwybitniejsi niemieccy fizycy.

Odbyła się ona w czasie, gdy Rzesza była wciąż u szczytu potęgi wojskowej, na długo przed Stalingradem (a szczytowy moment z punktu widzenia potencjału gospodarczego miał pojawić się dopiero dwa lata później!). Pomimo zaangażowania SS kluczową instancją decyzyjną był na konferencji „dyrektor ministerialny prof. dr Erich Schumann” – specjalista jądrowy i szef wydziału badawczego Heereswaffenamtu, czyli urzędu uzbrojenia wojsk lądowych (Wehrmachtu). Drugim z decydentów był „Pełnomocnik Marszałka Rzeszy do Spraw Fizyki Jądrowej” – radca stanu profesor dr Abraham Esau (mamy więc do czynienia ze śmietanką nauki niemieckiej). Oni przyznali projektowi najwyższy możliwy status, priorytet i tzw. „stopień pilności” (*Dringlichkeitsstufe*), który stawiał te prace ponad wszystkimi innymi programami zbrojeniowymi, co zgodnie z planem ogólnie podsumowywał specjalnie dla niego stworzony nowy termin-priorytet: „Rozstrzygający Wojnę”, stanowiący oficjalną etykietkę programu. Na pierwszy rzut oka dosyć dziwnego, bo opartego na fizyce wysokich napięć i wykorzystującego niezwykle silne pola magnetyczne do przyspieszania ciężkich jonów oraz generowania określonej energii na poziomie relatywistycznym – związanym z Teorią Względności... To wiemy na pewno, gdyż jest to określone w dokumentach. Bez względu jednak na naturę zjawisk fizycznych zachodzących w tajemniczym urządzeniu – akceleratorze ciężkich jonów (tym „prowizorycznym” już przebadanym i większym – planowanym), najważniejsze jest chyba jednak to, że całość nie stanowiła broni samej w sobie, lecz była jedynie narzędziem, które miało umożliwić stworzenie środka przenoszenia broni masowego rażenia o zasięgu strategicznym. To właśnie było zasadniczym, dalekosiężnym celem Himmlera. To dałoby mu kartę przetargową stawiającą go w przyszłej, „rozstrzygającej” fazie wojny niejako ponad Wehrmachtem, gdyż tylko strona dysponująca bronią strategiczną odgrywałaby w takim konflikcie znaczącą rolę. Tak oczywiście widział to sam Himmler, nie uwzględniał oczywiście szerszych uwarunkowań, w tym przypadku podstaw polityki Hitlera, który bał się dawania pełnej władzy nad czynnikolwick, a zwłaszcza „rozstrzygającym”, jednej osobie czy jednej instytucji. Ten monopol Himmler miał w końcu utracić, to jednak stało się później...

Nie znamy nazwisk wszystkich obecnych na wspomnianej naradzie z lipca 1942 roku i wszystkich argumentów, jakie w tej dziejowej i zarazem niezwykłej debacie padały, ale spróbujmy odtworzyć jej przebieg, wyobrazić go sobie na podstawie szczeru fragmentarycznych informacji. Możemy m.in. przyjąć niemal za pewnik, że argumenty jakie pozwoliły zaklasyfikować

projekt ponad wszystkimi istniejącymi normami były bardzo konkretne i nie mogły odwoływać się tylko do prac teoretycznych, musiały wynikać z przebiegu sprawdzalnych eksperymentów.

Wiadomo, że Himmler zaangażował dwóch swoich zaufanych generałów odpowiedzialnych za prace badawczo rozwojowe: Mazuwa i Gärtnera. Ten ostatni miał być odpowiedzialny za logistykę i pełnił funkcję szefa „Grupy Badań i Rozwoju” przy urzędzie uzbrojenia Waffen-SS. Znamienny jest fakt, że zarówno oni, jak i naukowcy zajmującymi się kwestiami szczegółowymi byli praktycznie nieznani nie tylko opinii publicznej Trzeciej Rzeszy – ale do dzisiaj detale na temat ich działalności pozostają zupełnie nieznane nawet dla ogromnej większości historyków. Byli to m.in. doktorzy zajmujący się budową aparatury w berlińskim Instytucie Wysokich Napięć koncernu AEG: Crämer, Debus i dyrektor Instytutu Badawczego AEG, profesor Carl Wilhelm Ramsauer.

Tak jednak czy inaczej decydenci z najwyższego szczebla władzy doszli bez większych wątpliwości do wniosku, że zaproponowany przez ludzi Himmlera projekt zbrojeniowy przyniesie im decydujące zwycięstwo i pozwoli wybić wrogów Rzeszy bronią o wielkiej sile zniszczenia, bez względu na to czy będą oni w Moskwie, Londynie, w Nowym Jorku czy w Waszyngtonie... Taka była mniej czy bardziej wola Führera, reprezentowanego w omawianych pracach przez swego zastępcę i szefa partii – Martina Bormanna. Przypieczętowano to odpowiednim, tajnym protokołem. Narada ta była brzemienne w skutki i zainicjowała cały ciąg wydarzeń...

Skończył się etap badań czysto akademickich. Przyznane zostały bardzo duże fundusze, które pozwalały naukowcom rozwinąć skrzydła i rozpocząć budowę „generatora rtęciowego” w pełnej skali. Projekt otrzymał kryptonim „Tor” („Brama”) i stał się najtajniejszym przedsięwzięciem badawczym realizowanym w Rzeszy podczas całej wojny. Na razie naukowcy mieli korzystać z różnych laboratoriów, rozsianych po całym kraju, zapadła jednak decyzja o budowie wielkiego, podziemnego centrum badawczego, zatrudniającego tysiące osób – głównie „gwarantujących zachowanie tajemnicy” więźniów z zarządzanego przez Himmlera niewolniczego imperium obozów koncentracyjnych. Gwarantujących zachowanie tajemnicy, gdyż jako tzw. jej „nosi-ciele” (*Geheimnisträger*) nigdy nie mieli opuścić podziemnego kompleksu. W istocie chodziło o zaadoptowanie na ten cel olbrzymiej, byłej kopalni węgla kamiennego na Dolnym Śląsku, która zbankrutowała kilka lat przed wybuchem wojny i została przejęta przez państwo. Miała ona wiele zalet, m.in. długość dostępnych korytarzy była rzędu kilkuset kilometrów, wyrobiska znajdowały się w większości w skale pozwalającej na łatwe i szybkie ich

poszerzanie (tworzenie hal) – w piaskowcu, a ponadto zasadnicza część infrastruktury kopalnianej była położona w zamkniętej z dwóch stron dolinie. Dzięki temu mogło powstać centrum de facto odcięte od zewnętrznego świata, w rejonie znajdującym się w zasadzie poza obszarem zainteresowania alianckiego lotnictwa bombowego. Oddanie tego podziemnego monstrum do użytku planowano jednak dopiero na rok 1944, na razie Gerlach ze swym zespołem zmuszony był korzystać z innych, dostępnych placówek. Dr Thirring cały czas pozostawał jego bliskim współpracownikiem, jednak przestał odgrywać kluczową rolę – jako, że był teoretykiem, a teraz chodziło już głównie o rozwiązywanie problemów technologicznych reprezentujących jakby dalszy etap. Innymi słowy, znaleziono już odpowiedzi na zasadnicze pytania wynikające z teorii tego naukowca...

„Brama“ - do piekieł?

Pierwszą konsekwencją decyzji podjętych na konferencji z lipca 1942 roku było niezwłoczne rozpoczęcie projektowania, a następnie budowy, dużego generatora przyspieszającego ciężkie jony, który pozwalałby na osiąganie energii o kilka rzędów wielkości większych niż w przypadku pierwszego, próbnego wariantu. Tworzenie wirów zjonizowanych par rtęci zamierzano osiągnąć w ten sposób, że ciekły metal miał znajdować się wewnątrz rozkręcanych do bardzo dużych prędkości, dwóch metalowych cylindrów. Miały się one obracać w przeciwnych kierunkach. W każdym rtęć pod wpływem siły odśrodkowej pokrywałaby wewnętrzne ścianki cylindrów. W kolejnej fazie pomiędzy ich obwodem a osią obu bębnow przepuszczano prąd elektryczny o napięciu prawdopodobnie dochodzącym do miliona woltów. W ten sposób rtęć ulegałaby odparowaniu, zjonizowaniu a zarazem byłaby w polu elektrycznym przyspieszana do środka. To dodatkowo znacznie zwiększałoby prędkość kątową jonów (w stosunku do prędkości katowej samych cylindrów). W efekcie można było liczyć na osiągnięcie prędkości jonów nawet na poziomie kilometrów na sekundę. Przy tej wielkości urządzenia – ok. metr średnicy i 2,5-3m wysokości – przekładałoby się to na katowe prędkości wirowania samych jonów rzędu kilkuset tysięcy obrotów na minutę. To w żaden sposób nie przekraczało ówczesnych możliwości technicznych. Elementem zupełnie nowym było natomiast wytworzenie nie „zwykłych“ wirów, lecz takich, które swoimi właściwościami przypominałyby pioruny kuliste. Chodziło o zjawisko, które sami Niemcy nazwali „separacją pól magnetycznych“ (na marginesie: obecnie nazywa się to wirami solitonowymi). Za to odpowiedzialny był od strony technicznej już nie Thirring, lecz „wschodzący talent“ z instytutu badawczego koncernu AEG – młody fizyk Kurt Debus. Z punktu widzenia Himmlera miał jeszcze jedną ważną zaletę: był podoficerem SS (jakkż mogłoby być inaczej!) i fanatycznym, „politycznie pewnym“ nazistą. Pomagała mu w skomplikowanych analizach równie zdolna i zaufana pani matematyk z uniwersytetu w Królewcu – dr Elizabeth Adler.

Prace były trudne, pionierskie i względnie dojrzały prototyp generatora można było dostarczyć do testów dopiero po kilkunastu miesiącach – w roku 1943.

W ciemnej, pilnie strzeżonej hali na obrzeżach Berlina znajdował się cylindryczny, obły kształt plandeki, przykrywającej największą nadzieję hitlerowskiego, czy raczej himmlerowskiego imperium. Nikt z postronnych nie miał prawa widzieć co ona skrywa... Aury tajemnicy dodawały grube jak ludzkie ramię kable, których wielkie wiązki wychodziły spod plandeki i wiodły do podziemnego kanału – podobnie jak potężne reflektory skierowane właśnie na ten, ustawiony pośrodku pomieszczenia kształt.

W odległości ok. 20 metrów znajdowała się betonowa przegroda o grubości pół metra, z biegnącą poziomo na wysokości nieco przekraczającej jeden metr grubą szybą pancerną. To tworzyło jakby osłonę „trybuny honorowej“. Za grubą warstwą betonu i szkła, zatrzymującą przynajmniej część szkodliwego promieniowania powstającego przy zderzeniach ciężkich jonów, znajdowały się prowizorycznie ustawione krzesła dla personelu naukowego. Chodziło nie o bezpośrednich „architektów“ pierwszego eksperymentu, gdyż ci mieli być zajęci jego przygotowaniem i nadzorowaniem, lecz o zaproszonych gości – Gerlacha, Mazuwa, dyrektora instytutu i wyjątkowo: Josepha Brandta, którego uhonorowano tym zaszczytem w dowód uznania jego dotychczasowych osiągnięć.

Wprowadzono ich na „scenę“ już na samym początku, aby mogli zapoznać się z budową wewnętrzną „rozstrzygającego wojnę“ generatora jeszcze przed jego zamknięciem i uszczelnieniem. Grupę wprowadził oficer SD odpowiedzialny za ochronę placówki. Zdjęto plandekę. O ile Mazuw czy Gerlach wiedzieli już co się pod nią kryło, to dla Brandta, którego zaproszono bez udzielania jakichkolwiek wyjaśnień, było to prawdziwe objawienie. Dopiero po ujrzeniu lśniących, metalowych cylindrów, turbiny napędzającej, kabli i przewodów zrozumiał, że chodzi o współczesny odpowiednik starożytnych maszyn, skonstruowanych przez „boskie istoty“ i opisanych w licznych tybetańskich manuskryptach. Nie wiedział w jaki sposób uzyskano dane pozwalające na wykonanie dokładnego projektu, ani czemu urządzenie ma w przyszłości służyć, ale o to wolał nie pytać. Wiedział jednak, że runiczne symbole SS widoczne na brązowej ceramicznej pokrywie, którą po chwili zakryto cylindry, nie wróżą pokojowych zastosowań. Nie dziwiło go to jednak, w końcu w „Mahabharacie“ opisano nie „loty krajoznawcze“ dawnych bogów, lecz toczone przez nich, przy użyciu latających maszyn, okrutne wojny. Opisano zagładę całych miast w różnych częściach Azji – jak słonie nagle stawały w płomieniach i biegały jak oszalałe, jak ptaki stawały się białe i spadały na

ziemię, jak przażeni żołnierze rzucali się do strumieni, jak żywność ulegała „skażeniu”. To wszystko od pojedynczego pocisku wystrzelonego przez maszynę bojową o napędzie rteciovym, który wzbil w powietrze „Rozżarzoną kolumnę dymu i płomienia, jasną jak tysiąc Słońc”. Broń tą nazwano w tej księdze (w Mahabharacie) „gigantycznym zwiastunem śmierci”...

Po krótkim czasie, gdy generator został już przygotowany a śruby mocujące go do konstrukcji budynku solidnie dokręcone, zaczęto wnosić do hali aparaturę pomiarową i „obiekty doświadczalne” – zgodnie ze słowami jednego z techników. Brandt ujrzał ludzi w białych kitylach ustawiających statywy z czujnikami, kamerami i aparatami fotograficznymi a następnie zestawy szklanych pojemników, w których umieszczone były najróżniejsze substancje. Zamierzano sprawdzić wpływ wytwarzanej przez generator energii na nie. Po tym pojawili się technicy pchający wózek, na którym ustawione były klatki i pudełka z różnymi zwierzętami – od ślimaków i żab, aż po szczury i dwie małpy. Inny statyw zawierał całe szeregi doniczek z roślinami zielonymi. Na końcu jednak wpcchnięto do hali znacznie większy wózek. Spoczywały na nim dwie solidne klatki z... ludźmi. Byli to dwaj mężczyźni w młodym wieku, najwyraźniej nie w pełni władz umysłowych, i być może poddani działaniu środków uspokajających. Umieszczono ich tyłem do urządzenia, w odległości zaledwie kilku metrów.

W ten sposób było ono obstawione statywami i klatkami ze wszystkich stron.

Uruchomiono reflektory zawieszane pod sufitem i rozpoczęto głośne odliczanie. Do włączenia prądu o napięciu pół miliona woltów pozostały trzy minuty. Goście – obserwatorzy musieli niezwłocznie zająć wyznaczone miejsca za betonowo-szklaną osłoną. Brandt słyszał wyraźnie głosy świadczące o przerażeniu „obiektów” znajdujących się w największych klatkach, oraz szum ciekłego azotu, którego zadaniem było schłodzenie cylindrów z rtecją – aby nie stopiły się w kilka sekund po przepuszczeniu przez nie prądu o potężnej mocy. Napięcie wśród obserwatorów systematycznie rosło.

Brandt znowu miał poczucie, że znalazł się w centrum wydarzeń, które wymknęły się spod jego kontroli. Przestał już łudzić się, że jego praca służy postępowi ludzkości. Miał raczej wrażenie, że stał się sprawcą przerażającego „wyścigu śmierci”, prowadzącego w niewiadomym kierunku.

Gdy prowadzący eksperyment odliczał ostatnie sekundy, Brandt z coraz większym skupieniem wpatrywał się w ceramiczną, zaokrągloną o góry kopułę. Usłyszał „trzy... dwa... jeden... zero!”. Rozległ się narastający świst turbin rozpędzających metalowe cylindry w przeciwnych kierunkach. Na początku był ledwo słyszalny, przypominał świst pracującego silnika elektrycznego,

jednak już po kilkudziesięciu sekundach stawał się nie do zniesienia. Wypełniał halę przesywającą wibracją. Po jednej, może dwóch minutach zmienił ton. To podłączono prąd, który zaczął wytwarzać gorące jak Słońce dwa „obwarzanki” pędzących w przeciwnych kierunkach strumieni jonów „boskiego metalu”. Brandt nie był pewien, czy to jego nerwy wywołały przyspieszone bicie serca, czy poczuł na twarzy jakby falę ciepła, która nieco rozmyła obraz cylindrycznego urządzenia. Przypominało teraz ciemną plamę o niewyraźnych krawędziach, jakby mniejszą niż przed włączeniem prądu. Z klatek rozległ się jednak krzyk. A jednak „to coś” emitowało jednak jakąś penetrującą otoczenie energię – pomyślał z niejakim przerażeniem. Po chwili zamocowane pod sufitem reflektory eksplodowały, sypiąc fragmentami szkła. Teraz halę rozświetlało znacznie słabsze światło wpadające przez małe okna pod sufitem. Naukowiec rzucił okiem na klatki. Ludzie w jasnych drelichach wili się, jakby w konwulsjach. Po krótkiej chwili ich krzyki zamieniły się w trudne do opisanego, nieludzkie wycie. Zwierzęta również sprawiały wrażenie jakby wpadły w amok. Rzuciły się wewnątrz przerażone. Brandt był w szoku. Stracił rachubę czasu. Nie spodziewał się, że będzie świadkiem najbardziej przerażającego „widowiska” w swoim życiu, którego był nie tylko jednym z autorów, ale też mimo woli jednym z uczestników. Z trudem mógł powstrzymać się przed opuszczeniem przedziału za osłoną, co do skuteczności której zaczynał już mieć wątpliwości. Chciał uciec jak najdalej, jak człowiek oglądający przez szybę jakiś potworny pożar, który rozpętał się tuż przed nim. Rozsądek jednak zwyciężył i pozostał na swoim miejscu. Po chwili zmienił się dźwięk dochodzący ze środka hali. Zanikło buczenie, przypominające bzyczenie miliona pszczoł zamkniętych w jakiejś wielkiej butelce, znowu dał się słyszeć tylko świst. Tym razem był cichszy i stopniowo zanikał. Przez dłuższą chwilę nie się nie działo. Czyżby coś poszło nie tak, jakiś problem? – Brandt nie był pewien co się dzieje. Ludzie i zwierzęta zamknięci stalowymi prętami ledwo dawali znaki życia.

Dopiero po paru minutach otworzyły się drzwi w tylnej części hali i wbiegła grupa jakichś ludzi w czarnych, gumowych kombinezonach, w hełmach przypominających hełmy nurków głębinowych. Na wysokości oczu mieli grube i prawie nieprzezroczyste, poziome pasy czerwonego szkła. W pośpiechu wyprowadzili „obserwatorów” i zaciągnęli ich do korytarza wiodącego do jakichś podziemnych pomieszczeń. Drzwi hali zamknęły się za nimi z hukiem. Obserwatorzy, w tym Brandt, zostali umieszczeni w jednej z części schronu przeciwlotniczego – w izolatce. Jeden z ludzi w kombinezonie, najwyraźniej jakiś przywódca, gdyż wydawał polecenia pozostałym, zakazał opuszczania schronu.

Po kilku minutach Brandt usłyszał znajomy dźwięk wózków toczonych po betonowej posadzce. Wiozą „obiekty doświadczalne” – pomyślał. Słychać było ciche rżenie a następnie uderzenie stalowych drzwi do sąsiedniego pomieszczenia. A jednak ci ludzie żyją – skonstatował nieco zaskoczony.

Do sali, w której przebywał wraz z pozostałymi wszedł lekarz w asyście dwóch esesmanów. Wszyscy zostali zbadani, ale w dalszym ciągu „z uwagi na kwestie bezpieczeństwa” zalecono pozostanie w pomieszczeniu. Zszokowany naukowiec nie mógł zebrać myśli. Nic nie wiedział jeszcze, że kwarantanna zarządzona przez kierownictwo instytutu miała być obowiązkowa i będzie musiał pozostać zamknięty w schronie przez cały następny dzień... Już sam, pozostałych Niemców umieszczono najwyraźniej w innych pomieszczeniach. Początkowy strach minął. Brandt nie odczuwał poważniejszych dolegliwości. Jego zdrowie było mimo wszystko w porządku, przynajmniej taką miał nadzieję. Szok i zmęczenie zmusiły go do położenia się na kozetce, gdzie wkrótce zasnął. Gdy się obudził, był już następny dzień. Obudziły go jakieś odgłosy z sąsiedniej części schronu. Słyszał ożywioną rozmowę. Rozumiał tylko strzępy wypowiedzi: „zniszczenie materiału biologicznego...”, „nieznane dawki...”, „rozkład kaskadowy”.

Wstał i uchylił pancerne drzwi. Teraz słyszał znacznie więcej. Jacyś naukowcy dyskutowali z przerażeniem o wpływie emitowanej przez generator energii na organizmy żywe. Brandt wyszedł na korytarz i dyskretnie zajrzał do sąsiedniego pomieszczenia. Ludzie w białych kitlach stali do niego plecami, byli zresztą tak zajęci ożywioną rozmową, że pewnie i tak nie zwróciliby na niego uwagi. Zbliżył twarz do szpary w drzwiach i... dopiero teraz ogarnęło go prawdziwe przerażenie. Ujrzał dwa łóżka pod jedną ze ścian. Spoczywali na nich dwaj więźniowie czy może jacyś chorzy psychicznie, siłą zmuszeni do udziału w doświadczeniu. Tylko ich szynele więzienne wskazywały na to, że to ci sami ludzie, którzy wcześniej byli umieszczeni w stalowych klatkach. Poza tym ludzi nie przypominali. Twarze i dłonie były pokryte wrzodami i krostami, z których jeszcze niedawno ciekła krew. Ludzie ci nie poruszali się a ich skóra miała szaro-siny kolor. Brandt doszedł do wniosku, że prawdopodobnie obaj zmarli i to całkiem niedawno. Nawet ich oczy były jasno szare, co nadawało im jeszcze bardziej nieczłowieki wygląd. Dyskretnie odsunął się od drzwi, żałując że w ogóle przez nie zajrzał. Dopiero teraz zauważył, że w dalszej części jasno oświetlonego korytarza znajduje się statyw, na którym podczas testu znajdowały się doniczki z roślinami. Był w stanie zauważyć, że jeszcze wczoraj całkiem normalnie wyglądające pelargonie, ciągnący się po drewnianych tyczkach bluszcz czy powój i inne rośliny – straciły całą swą zielen. Wszystkie rośliny były całkowicie lub przynajmniej częściowo

szare lub wręcz białe. „Zupełnie jak gołębie opisane w *Mahabharacie*” – pomyślał. W niektórych doniczkach nie było już nawet roślin, lecz biała lub półprzezroczysta, rozplywająca się maź, która jeszcze tylko w niektórych miejscach miała kształt łodygi i liści, zdradzając przez to swoje „pochodzenie”.

Brandt teraz jeszcze mniej pojmował z rozgrywających się wydarzeń. Cicho wycofał się do swego pomieszczenia, przerażony myślą, że z otchłani zamierzonych czasów przywołał do życia śmiertelnie groźnego demona.

Tak jak bez uprzedzenia i jakichkolwiek wyjaśnień został wcześniej zaproszony, czy raczej wezwany do Berlina, tak i teraz bez słowa wyjaśnienia został odesłany z powrotem. Usłyszał jedynie ostre pouczenie dotyczące ochrony tajemnicy państwowej. Już nigdy nie podszedł z takim jak wcześniej entuzjazmem do tłumaczeń sanskrytyckich manuskryptów, choć innym mieszkańcom zamku Mittersill nie mógł wyjaśnić przyczyn zmiany swego zachowania. Czuł się jak po przebytej ciężkiej chorobie. Potrzebował wiele czasu i spokoju aby dojść do siebie...

Nie wiedział też, że wyniki eksperymentu wywołały prawdziwą burzę wśród kierownictwa projektu. Dostarczyły dwóch niezwykle ważnych, choć też w pewnym sensie sprzecznych ze sobą informacji. Z jednej strony wzbudziły przerażenie skutkami ubocznymi i konsternację co do sposobu ich wyeliminowania, z drugiej jednak jeszcze raz potwierdziły, że droga do generowania użytecznej energii grawitacyjnej jest słuszna. Rtęć okazała się właściwym kluczem.

Jak się okazało, nie tylko więźniowie, na których postanowiono przetestować wpływ nieznaną wcześniej energii padli jej ofiarą. Poważne dolegliwości odczuwało też wielu naukowców biorących udział w próbach. W rezultacie śmierci pięciu z nich rozwiązano cały pierwszy zespół badawczy. Na szczęście (dla Niemców) ominęło to osoby kluczowe, takie jak dr Debus czy sam Gerlach. Przykrych następstw uniknął też dr Herbert Tholen, który zaprojektował specjalny superwytrzymały, prawdopodobnie oparty na tantalu stop, użyty do wykonania wirujących cylindrów – gdyż nie brał on bezpośrednio udziału w doświadczeniach.

W ciągu najbliższych kilkunastu miesięcy skupiono się na rozwiązywaniu dwóch problemów: na zwiększaniu prędkości wirowania (ogólnie rzecz biorąc na zwiększaniu sprawności generatora) oraz na ograniczaniu skutków ubocznych energii zabijającej organizmy żywe, gdyż póki co uniemożliwiała ona zbudowanie obiektu latającego kierowanego przez pilota. To z kolei zamierzano osiągnąć poprzez modyfikowanie konfiguracji pola magnetycznego; w drodze analiz matematycznych realizowanych przez Debusa i dr Elizabeth Adler. Chodziło w tym wypadku o jak najlepszą stabilizację geometryczną

wirów, aby w miarę możliwości przypominały one symetryczne „obwarzanki“ (toroidy). To nie samo pole grawitacyjne było bowiem źródłem zabójczej energii, lecz promieniowanie neutronowe i jonizujące powstające wtedy, gdy wskutek niestabilności wirów rozpędzone do wielu kilometrów na sekundę ciężkie jony uderzały w ścianki cylindrów i ich oś, zwaną „rdzeniem“. Podczas każdego takiego zderzenia dochodziło do reakcji jądrowych, w tym termojądrowych i rozpadu jąder atomowych.

Wiele na tym polu udało się uzyskać, jednak jeszcze pod koniec 1944 roku uszkodzeniu lub zniszczeniu za każdym razem ulegało kilkanaście a nawet kilkadziesiąt procent próbek substancji biologicznych umieszczanych w pobliżu generatora. Wszystkie problemy wynikały w jakimś sensie z bardzo dużych energii jonów i pionierskiego charakteru prac – nigdy wcześniej, ani o ile oficjalnie wiadomo – później (po wojnie) nie zbudowano niczego podobnego...

Zaczęły powstawać projekty obiektów latających napędzanych podobnie jak maszyny opisane w starych manuskryptach tybetańskich i indyjskich. Podobnie jak w tych opisach, ich głównym zadaniem miało być przenoszenie broni masowego rażenia – docelowo jądrowej. W praktyce jednak, z uwagi na niewielkie postępy w pracach nad nią, na pierwszym miejscu znalazła się nie mniej groźna (jeśli nie nawet bardziej), a już dostępna broń chemiczna i biologiczna. I jedna i druga była zresztą nieporównanie tańsza niż jądrowa. W tym przypadku Niemcy mieli na tyle duże osiągnięcia, że wyprzedzali o głowę aliantów. Dysponowali środkami chemicznymi wywołującymi efekty toksyczne już w ilościach rzędu tysięcznych części miligramu – alianci o czymś podobnym mogli tylko marzyć, przy czym miały one jeszcze istotniejsze zalety: nie były mianowicie zatrzymywane przez jakiekolwiek filtry czy pochłaniacze, na przykład stosowane w maskach przeciwgazowych. Tabun i Sarin – bo o nich mowa, były też prawie bezwonne – w odróżnieniu od tego wszystkiego czym dysponowali alianci. Były zresztą równie dobrze wchłaniane przez skórę jak przez płuca. Nie było więc skutecznych środków ochrony. Można więc zaryzykować twierdzenie, że była to najgroźniejsza broń tej wojny... W roku 1944 była ona już wytwarzana w tysiącach ton, oczywiście w najściślejszej tajemnicy. Była ona jednak w praktyce bezużyteczna w sytuacji gdy Rzesza nie miała kontroli nad własnym niebem, a tym bardziej nie mogła wysłać flot bombowców nad Londyn czy Moskwę, o Nowym Jorku i Waszyngtonie nie wspominając. Ofensywa z użyciem broni masowego rażenia miała by tylko wtedy sens, jeśli możnaby spełnić dwa warunki:

- Jeśli przeciwnik, czy raczej przeciwnicy nie byłiby w stanie jej zatrzymać – jeśli nie mogliby zestrzelić maszyn latających czy pocisków zdalnie kierowanych ją przenoszących. Byłaby wiarygodna jako środek zmuszający

do zawieszenia broni lub kapitulacji tylko gdy groźba niszczenia miast byłaby realna i niemożliwa do powstrzymania.

- Warunek ten w zasadzie spełniała już rakietą V-2 (nie było przed nią żadnej obrony), jednak nie spełniała drugiego kryterium: nie mogła osiągnąć celów na całym terytorium przeciwnika. W tym przypadku chodziło przede wszystkim o możliwość „wylimitowania z gry“ zaplecza gospodarczego Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego. Tylko taki cios mógł „rozstrzygnąć wojnę“. To samo dotyczyło możliwości niszczenia wielkich miast przeciwnika, np. w USA. Sto ton niemieckiej broni chemicznej (tabunu lub sarinu) mogłoby wytruć sporą część Nowego Jorku – miliony ludzi. Realna groźba ponawiania takich ataków, powiedzmy co parę dni, byłaby już atutem nie do odrzucenia.

Trzecia Rzesza w zasadzie miała więc już broń, która rzuciłaby aliantów na kolana i teoretycznie przynajmniej zasługiwała na określenie „rozstrzygająca wojnę“. Nie miała „jedynie“ możliwości jej skutecznego dostarczenia do celów na skalę strategiczną... To nad czym pracowano pod egidą SS było więc wymarzonym rozwiązaniem, niejako ogniwnem brakującym do zwycięstwa. Ogniwnem o tyle interesującym, że mogło ono przeważać szalę w zasadzie bez związku z sytuacją na frontach „konwencjonalnych“. Mogłaby zatrzymać nawet wielkie armie pancerne. Nawet w ostatnich miesiącach wojny taka broń strategiczna miałaby wystarczającą moc przekonywania...

Choć więc na pierwszy rzut oka trudno sobie wyobrazić jak jakkolwiek pojedynczy projekt badawczy miałby „rozstrzygnąć wojnę“, np. na przełomie 1944 i 1945 roku (zwłaszcza oparty na fizyce wysokich napięć...), to jednak po porównaniu paru faktów widać, że nie było to wcale pozbawione sensu.

Czas jednak naglił a do całkowitego pokonania głównego problemu – wylimitowania szkodliwego promieniowania – było wciąż daleko. Trudno było nawet stwierdzić jak daleko. W związku z tym już na wczesnym etapie prac zapadła decyzja aby równoległe z projektowaniem maszyn załogowych opracowywać także rmięszc, bezzałogowe. Pilota można było przecież zastąpić sztucznymi układami naprowadzania. Niemcy mieli w tej dziedzinie bardzo znaczne osiągnięcia, będące rezultatem prac nad raketami i bombami kierowanymi – stworzono około czterdzieści (!) różnych typów głowic samonaprowadzających, począwszy od radiowych, a na telewizyjnych, cieplnych, akustycznych i elektrostatycznych skończywszy. W obiektach latających z nowym napędem zamierzano jednocześnie zastosować ich różne rodzaje, wzajemnie się uzupełniające. W pierwszej fazie lotu najbardziej logicznym wariantem byłoby kierowanie radiowe z ziemi – bezpośrednio komendami przesyłanymi do układu kierowania lub metodą tzw. „wiązki prowadzącej“

(pocisk utrzymuje się w wąskiej wiązce radiowej i sam koryguje tor swego lotu). Wariant taki zastosowano zresztą w niektórych egzemplarzach rakiet V-2. Kierowanie metodami radiowymi możnaby w pewnym sensie „przedłużyć” stosując kierowanie z samolotu towarzyszącego obiektom nad własnym terytorium lub nad oceanem, np. podczas nocnego lotu. Samo w miarę precyzyjne dotarcie do odległego celu, np. do miasta na wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, też leżało wbrew pozorom całkowicie w granicach ówczesnych możliwości technicznych. Obiekty czy pociski mogły się naprowadzać na specjalne nadajniki radiowe umieszczone przez szpiegów lub dywersantów, przetrzuconych wcześniej okrętami podwodnymi. Potwierdzenie tego stanowi fakt aresztowania w USA kilku Niemców, z takim właśnie wyposażeniem, już na jesieni 1944 roku.

Latem 1944 roku najbardziej zaawansowane były jednak prace nad jeszcze jedną wersją obiektu, która nie miała przenosić jakiegokolwiek uzbrojenia. Podczas planowania całej „kampanii strategicznej” i projektowania maszyn bojowych pojawiła się bowiem bardzo ważna wątpliwość. Kwestia, od której zależało powodzenie operacji a więc i przeżycie Rzeszy.

Prace zmierzające do „geometrycznej stabilizacji” wirów pokazały bowiem, że sprawność generatora w dużym stopniu zależy od zewnętrznych pól elektromagnetycznych dużej mocy, zwłaszcza o określonych częstotliwościach. Nie wiadomo było np. jak obiekt będzie się zachowywał w wiązce fali elektromagnetycznej wrogiego radaru, czy urządzeń o dosyć dużej mocy instalowanych na alianckich bombowcach, które służyły do zakłócania radarów niemieckich – naziemnych i na pokładach myśliwców nocnych Luftwaffe. Wątpliwości takie musiały być jednoznacznie usunięte przed rozpoczęciem planowanej ofensywy z użyciem broni masowego rażenia, która w przypadku fiaska tego rodzaju obróciłaby się przeciwko samej Trzeciej Rzeszy. Z drugiej strony opracowanie „próbnych” aparatów latających miało też sprawdzić działanie skomplikowanych układów nawigacyjnych i kierowania, a w szczególności ich podatność na zakłócenia. Chodziło więc o przetestowanie nowatorskiej koncepcji w rzeczywistym, wroгим środowisku bojowym. Tu jednak pojawiło się pewne „ale”. W pewnym sensie koncepcja „lotów próbno-rozpoznawczych” mogła przekreślić sens całego projektu – przecież nawet jeśli chociaż jeden obiekt w wyniku jakiegoś błędu czy zakłóceń utknie gdzieś w stodole czy między drzewami, wróg podda go badaniom i zrobi coś podobnego, albo wypracuje metody niszczenia podobnych maszyn. W związku z tym koncepcję nieco zmodyfikowano. Postanowiono „latając zóhwie” (bo tak były podobno nieoficjalnie nazywane) badać tylko nad własnym terytorium oraz wyposażyć je w niezawodne układy samozniszczenia, działające

w przypadku awarii układu sterowania lub uderzenia w ziemię. „Wroгим środowiskiem bojowym” miały stać się formacje alianckich ciężkich bombowców, przelatujące regularnie nad powoli kurczącym się hitlerowskim imperium. To z kolei narzucało konieczność zastosowania nieco innego niż w aparatach bojowych systemu naprowadzania. Nie chodziło przecież o przelot po linii prostej do określonego punktu (i ewentualnie powrót), ale o podążanie śladem samolotów i to w możliwie małej odległości od nich. Zastosowano pomysł, który doskonale sprawdził się w zapalnikach zbliżeniowych (inicjujących wybuch w pewnej odległości od celu) – naprowadzanie... elektrostatyczne w głównej fazie lotu. W momencie osiągnięcia obcej formacji „aparat próbny” mógł dzięki temu niezawodnie utrzymywać stałą, zadaną odległość od samolotu, nawet rzędu dziesięciu metrów... To samo umożliwiała też lot kilku obiektów w formacji, tak aby nie zderzały się ze sobą.

Znacząca część roku 1944 upłynęła więc na przygotowaniach do „ofensywy próbnej” mającej sprawdzić przydatność samej koncepcji nowego napędu i kierowania...

Spotkanie w przestworzach

Piloci zawsze należeli do ludzi przesądnych, toteż data 13 grudnia 1944 roku budziła wśród lotników RAF nienajlepsze odczucia. Zwłaszcza, że przygotowywali się właśnie do nalotu na Hamburg – miasto, o którym zaczynały już krążyć dosyć ponure legendy. Otrzymało ono ostatnio bardzo skomplikowany i równie skuteczny, nowoczesny system przeciwlotniczy. Alianci nigdy wcześniej nie zetknęli się z czymś podobnym. Działa przeciwlotnicze, kalibru 105 i 128 mm zostały automatycznie sprzężone z najnowszymi radarami typu Würzburg-Riese, ustawionymi na olbrzymich betonowych wieżach (w sieci triangulacyjnej). Miały one wysokość odpowiadającą nawet kilkunastu piętrům. Oznaczało to, że były w stanie określać współrzędne samolotów w trzech wymiarach z nieznaną wcześniej precyzją i szybkością. Precyzja radarów bezpośrednio przekładała się w tej sytuacji na celność dział. Brytyjczycy szybko zorientowali się, ku jeszcze większemu swemu przerażeniu, że układ taki zapewnia względną odporność systemu na brak jednego czy dwóch radarów w całej sieci. Nasilili więc zakłócenia. To jednak nie pomagało. Jak wkrótce donieśli agenci ich i amerykańskiego wywiadu, ustawienie radarów w sieci triangulacyjnej wynikało też z faktu, że były one dodatkowo wyposażone w tzw. „ciepłomierniki” – półprzewodnikowe detektory podczerwieni, które dzięki temu mogły dostarczać dokładne dane o celach nawet w wypadku całkowitego zagłuszenia samych „Würzburgów”. Nie emitowały żadnych sygnałów, więc nie można było też ich namierzyć.

Załoga „Liberatora” numer 432 miała więc powody do obaw. Po raz pierwszy miała brać udział w podobnie ryzykownym nalocie. Bardzo niewielkie pocieszenie stanowił w istniejącej sytuacji fakt, że miał on się odbywać w nocy.

Pilot, Graham Whiting, osobiście sprawdził więc wszystkie urządzenia samolotu, jakie tylko był w stanie sprawdzić. Reszta załogi robiła to samo, widać było jej wyraźne rozdrażnienie. Najbardziej bali się nie młodzi, niedoświadczeni strzelcy, żądni „nocnej przygody”, lecz ci, którzy mieli już za sobą kilka lotów bojowych.

Start formacji nastąpił w godzinach popołudniowych, tak aby dotrzeć nad terytorium Rzeszy po zapadnięciu ciemności. Maszyna Whitinga leciała na przedzie, co jeszcze bardziej zwiększało ryzyko ataku i zestrzelenia – zarówno przez myśliwce nocne, jak i przez wielkie działa na *Flaktürmen* – „wieżach przeciwlotniczych”. Priorytetem obrony przeciwlotniczej były bowiem pierwsze bombowce, gdyż z reguły one miały najlepszych nawigatorów i one wskazywały cele bombami oświetlającymi. Zniszczenie ich dawało nadzieję na znacznie zmniejszenie skuteczności nalotu.

Załoga miała więc wiele powodów do niepokoju i po osiągnięciu Morza Północnego coraz uważniej rozglądała się po niebie. Na szczęście dla nich myśliwce nocne nie okazały się szczególnie dokuczliwe. Pojawiało się ich kilkanaście, jednak bombowce miały własną osłonę myśliwską, dzięki czemu utracono w tej fazie lotu zaledwie dwie maszyny. Wynikało to nie tylko ze skuteczności przeciwdziałania, ale także z faktu, że do osiągnięcia Hamburga pozostawało tylko kilkanaście minut i samoloty Luftwaffe mogły wykonać niewiele podejść, zanim zmuszone były do ucieczki przed ogniem własnej artylerii przeciwlotniczej. Po ich „odejściu” Whiting i jego załoga mogli nacieszyć się kilkoma minutami spokoju, przysłowiowej „ciszy przed burzą”. Samo miasto, w którym już wyły syreny ostrzegawcze, było dosyć dobrze zaciemnione i piloci pierwszych maszyn musieli wykazać się sporą dozą wyczucia i doświadczenia, jeśli bomby miały zostać ulokowane w wyznaczonych rejonach miasta. Liberatory majestatycznie przesuwały się w czerni nocy, tworząc zwartą formację typu „schody”. Piekło na niebie rozpętało się nagle.

Pociski zaczęły wybuchać dokładnie na wysokości pierwszej fali nalotu, w różnych miejscach jej frontu. Co gorsza, od razu wybuchały dokładnie pomiędzy ciasno „upakowanymi”, obciążonymi kolosami. Dwa potężne błyski rozkwitły na ułamek sekundy po obu bokach maszyny lecącej po skosie względem samolotu Whitinga. Zakolysała się ona a po parunastu sekundach w otworach, w których umieszczone były wielkokalibrowe karabiny maszynowe pojawiły się migocące języki płomieni. Samolot zaczął opadać nad miasto, przechylając się na lewe skrzydło. Trzeci pocisk wybuchł dokładnie w środku kadłuba Liberatora lecącego bezpośrednio przed „432” i w mgnieniu oka rozerwał go na dwie połowy. Ogon odpadł a z rozprutego kadłuba zaczęły wysypywać się płonące sylwetki strzelców. Nawigator siedzący z Whitingiem oderwał wzrok od swych przyrządów i mimowolnie spojrział w oszklenie kabiny, w którym scena ta widoczna była niczym na panoramicznym ekranie kinowym. Pilot ujrzał jego zatrzymane na kilka sekund spojrzenie, bladą twarz i szeroko otwarte usta. Jakby chciał go choć trochę uspokoić krzyknął:

– To strzelają najnowsze działa 105 mm kierowane radarem!

Nawigator jednak sprawiał wrażenie, jakby w tej sytuacji, i w tym huku, i tak nie do niego nie docierało.

Szczęśliwie precyzyjny ogień jakoś oszczędził tę maszynę, ale szyk czołwki formacji został wyraźnie przerzedzony i w ogniu pocisków oraz w ogólnym chaosie Brytyjczycy musieli jakos przegrupować pozostałe samoloty, jeśli miały one ocaleć w rychłej, kolejnej konfrontacji z myśliwcami nocnymi. Na chwilę znowu zapanował względny spokój a huk pocisków stał się jakby cichszy. Fala ognia przeciwlotniczego przeniosła się teraz w głąb formacji, w miarę jak przesuwała się ona nad dwoma dużymi bateriami dział.

Otwarte zostały pierwsze luki bombowe i jednotonowe „prezenty” zaczęły sypać się na ogarnięte trwogą miasto, jego domy mieszkalne i fabryki. Bezpośrednio po tym cały „spektakl” – nawałnic precyzyjnie trafiających pocisków – powtórzył się. To formacja dotarła do kolejnego kompleksu dział, tym razem jeszcze większego kalibru, prawdopodobnie rozlokowanych w tym rejonie ze względu na sąsiedztwo ważnych zakładów zbrojeniowych. Jednak i tym razem maszyna „432” uniknęła zagłady. Przerzedzona i nieco zdeorganizowana formacja zaczęła wykonywać powolny zwrot w kierunku północnym – aby dotrzeć do drugiej grupy celów, a po tym rozpocząć powrót w stronę morza. Ogień przeciwlotniczy znowu nieco osłabł.

Teraz jednak pojawił się na horyzoncie zupełnie inny przeciwnik.

Pośród odległych, pomarańczowych błysków eksplodujących pocisków artylerii przeciwlotniczej, smug płomieni spadających bombowców, dało się zauważyć słabe, ale wcale nie znikające pomarańczowe światło. Pierwszy zwrócił na nie uwagę, przez interkom, lewy strzelec bombowca „432”. Piloci spojrzeli we wskazaną stronę i zauważyli jaskrawy, może nieco pulsujący punkt, który się wyraźnie powiększał. Obiekt w bardzo szybkim tempie zbliżał się do formacji, jakby kierowany ręką jakiegoś pilota czy operatora. Po chwili obserwowano go już cała załoga, a i ludzie na pokładach innych bombowców musieli na pomarańczowe, już bardzo jasne światło, zwrócić uwagę – tym bardziej, że nad miastem wrogie myśliwce nie absorbowwały uwagi załóg. Świecąca całą swą powierzchnią, nieco spłaszczona kula o średnicy rzędu 1-2 metrów, nie leciała wcale po linii prostej. Wykonywała łagodne zygzaki, skutecznie skupiając na sobie uwagę strzelców. Gdy znajdowała się w odległości kilkuset metrów od frontu formacji, otwarty został w jej kierunku ogień z kilku różnych bombowców. Kula jednak w dalszym ciągu się zbliżała i po chwili leciała już równoległe w stosunku do samolotu Whitinga, kilkanaście, może nawet kilka metrów za końcówką jego skrzydła.

Ogień ciężkich karabinów maszynowych najwyraźniej nie wyrządzał jej najmniejszej szkody, chociaż w chwilach ostrzału na rozmytej, świetlistej powierzchni jaśniały jakby błyski iskier. Tak jakby pociski zamieniały się w iskry po wejściu w „strefę światła”.

Ostrzał więc chwilowo wstrzymano. Pojawił się natomiast inny problem. Jak zauważyli piloci, w słuchawkach ich radiostacji słychać było jedynie szum, tak głośny, że załoga musiała zdjąć hełmofony. Nie była w stanie nawiązać żadnej łączności radiowej. Co więcej, nawigator wsunął się do kabiny pilotów i zameldował o awarii urządzeń nawigacyjnych, które działały wprawdzie, ale ich wskazania zmieniały się całkowicie chaotycznie. Nikt nie miał już wątpliwości, że oto właśnie są świadkami prób jakiejś nowej, niekonwencjonalnej broni niemieckiej.

Splaszczona kula cały czas leciała obok bombowca, jakby połączona jakąś niewidzialną nicią z końcówką jego skrzydła, chociaż jak zauważyli wpańtrzeni w nią lotnicy, nawet teraz nie poruszała się zupełnie po linii prostej. Wyglądało to tak, zwłaszcza chwilę później, jakby tor jej lotu składał się z oderwanych od siebie linii. Kula potrafiła, z jakiegoś nieznanego powodu, nagle, dosłownie w ułamku sekundy, zmieniać swą pozycję. Jakby skakała w powietrzu, jakby była pozbawiona bezwładności.

Na załodze to właśnie, a nie zakłócenia urządzeń elektrycznych, zrobiło prawdziwie piorunujące wrażenie – to wynikało przynajmniej z notatek reportera „New York Timesa”, który po zakończeniu lotu napisał bezpośrednio na lotnisku krótki artykuł, opublikowany następnego dnia w tej gazecie.

Obraz obserwowany przez lotników zupełnie nie pasował do zakodowanych w ich umysłach wzorców, do zdrowego rozsądku. Tak jakby kuli nie obowiązywały podstawowe prawa fizyki, w tym to związane z bezwładnością ciał. Jej wpływ na aparaturę pokładową jasno dowodził, że jest to zjawisko rzeczywiste, a nie jakiś zbiorowy miraż, jednak ludzie ci wprost nie mogli uwierzyć w to co widzieli. Kula leciała zresztą na tyle blisko, że jej jaskrawe, nienaturalnie zabarwione światło szczelnie wypełniało kabinę pilotów bombowca i oślepiło strzelców pokładowych. Jakby dodatkowym potwierdzeniem realności zjawiska były dwa myśliwce eskorty, które najwyraźniej również zaalarmowane, przybyły z odsieczą. Ustawiły się za skrzydłem bombowca i próbowały zestrzelić świetlisty obiekt, który teraz podskakiwał już w szybkim tempie, jak płaski kamień odbijający się od powierzchni jeziora. Po jakiejś minucie i sporej ilości wystrzelonej amunicji piloci myśliwców jednak zrezygnowali. Może i oni odnotowali silne zakłócenia urządzeń radiowych i nawigacyjnych...

Formacja już dawno opuściła niebo nad Hamburgiem a kula nadal jej towarzyszyła, przez co piloci lecieli niejako „na ślepo”, pozbawieni orientacji w przestrzeni. Co charakterystyczne, nie pojawiły się, wbrew oczekiwaniom, myśliwce niemieckie – ani jeden!

Po około dziesięciu minutach od momentu opuszczenia granic miasta kula nagle, niespodziewanym i gwałtownym manewrem opuściła formację i zniżając się poleciała na południe. Radiostacje zaczęły znowu działać, choć nawigatorzy nadal mieli problemy z ustaleniem dokładnego kierunku, jakby ich urządzenia były namagnesowane. Napięcie w końcu opadło i załogi zaczęły wymieniać w eterze najróżniejsze uwagi i spostrzeżenia. Jeden z pilotów, nie wiadomo który, rzucił uwagę, że kula świeciła migocącym, czerwonym światłem „zupełnie jak ci francuscy strażacy – *foeu fighters*” – łącząc połowę angielskiego wyrażenia *firefighters* z wyrażeniem francuskim. Z powodu, którego prawdopodobnie nigdy nie poznamy, powiedzenie to niezwykle się wszystkim spodobało. Zostało podchwyczone nawet przez oficerów wywiadu, którzy później sporządzali raport na temat całego zajścia, chociaż z czasem zostało przekreślone i zaczęło funkcjonować jako „*foo fighters*”.

Nie był to pierwszy ani ostatni taki raport. Zaczęły się one pojawiać mniej więcej na początku listopada 1944 roku i już w pierwszych tygodniach następnego roku były liczone w setkach!

Nigdy aliancom nie udało się ani jednego „żółwia” zestrzelić, ani wpłynąć na zmianę kierunku jego lotu, choć zdarzały się przypadki, że „zdezorientowane” z jakiegoś nieznanego powodu obiekty nagle zmieniały kierunek lotu i uderzały w ziemię. Każdy taki przypadek kończył się silną eksplozją, czasami obserwowaną przez załogę alianckiej maszyny.

Wielkie plany

Wyniki bardzo intensywnych prób w obcych ugrupowaniach bojowych brzmiały bardzo zachęcająco i pomimo braku przełomu w kwestii zabezpieczenia ludzi przed szkodliwym promieniowaniem, na pełną skalę realizowano przygotowania do produkcji tysięcy obiektów bojowych.

Plany ofensywy strategicznej wciąż były aktualne i jeszcze jesienią 1944 roku Gerlach zapewniał zastępcę Hitlera – Bormanna, że broń „rozstrzygająca wojnę” będzie gotowa. Sytuacja Rzeszy nie wydawała się więc wciąż beznadziejna, szczególnie dla wąskiej grupy osób wtajemniczonych. Hitlerskie imperium znacznie się wprawdzie skurczyło w stosunku do stanu z 1942 roku, ale wciąż panowało nad prawie całym pierwotnym terytorium Rzeszy (z wyjątkiem większej części Prus Wschodnich), północnymi Włochami, Danią, Norwegią i sporą częścią Polski. Na wschodzie front zatrzymał się na dłużej na linii Wisły.

Z uwagi na to, że za podstawowy warunek „rozstrzygającej” ofensywy z użyciem broni masowego rażenia, uznano atak zmasowany – na cele znajdujące się na całej głębokości terytorium przeciwnika i z różnych kierunków, kierownictwo Rzeszy podjęło niezwykłą, bezprecedensową decyzję...

Pomimo wyjątkowego nacisku na zachowanie przygotowań w tajemnicy, postanowiono... podzielić się wiedzą na temat zarówno samego napędu, jak i całych obiektów – z Japonią! Zapewne zadecydowało o tym kryterium „dobra wspólnego” – przekonanie, że w obliczu bezpośredniego zagrożenia należy uciec się do wszystkich możliwości. W tym przypadku chodziło o przeprowadzenie „ofensywy totalnej” także z terytorium sojusznika, który na przełomie 1944 i 1945 roku znajdował się w znacznie lepszej sytuacji strategicznej. Strefy walk były jeszcze bardzo odległe od wyspy japońskich...

Zarazem jednak pojawiał się bardzo istotny problem, a nawet cały szereg problemów. Udostępnienie tak nowatorskiej technologii wymagało przekazania dużej ilości planów konstrukcyjnych, prototypów podzespołów i wysłania ekspertów. To jednak było zadaniem o tyle trudnym, że jedynym dostępnym

jeszcze kanałem wymiany był tylko „szlak podwodny” – transporty realizowane przez niemieckie i japońskie okręty podwodne. To jednak nie jedyny problem. Największym bowiem ograniczeniem był brak kluczowych surowców po stronie japońskiej – brak wystarczających zapasów rtęci. Japonia nie miała dostępu do żadnych złóż tego płynnego metalu, a do prób i produkcji seryjnej obiektów latających potrzebne były co najmniej setki, a raczej nawet tysiące ton!

Kierownictwo Trzeciej Rzeszy podjęło więc odważną decyzję. Postanowiono przestawić praktycznie całe, istniejące jeszcze siły Kriegsmarine, z zadań bojowych na te związane z koniecznością zapewnienia sojusznikowi możliwości dokonania uderzenia strategicznego. W tym czasie, tj. od połowy 1944 roku, jedynym funkcjonującym jeszcze komponentem niemieckich sił morskich pozostawała tylko flota podwodna. Jednak i ona, od czasu wprowadzenia przez aliantów udoskonalonego radaru, mogącego wykrywać nawet peryskopy i chrapy U-Bootów, działała w skrajnie trudnych warunkach. Ponosiła znacznie większe straty niż była w stanie zadać. Plan był więc skrajnie ryzykowny. Ryzyko z nim związane było wręcz olbrzymie; bywały okresy gdy straty w rejsach do (lub z) Japonii były rzędu 50%! Angażował poza tym cenne siły i zasoby. Nie dość, że okręty podwodne miały bardzo małe szanse przeżycia w takich rejsach, to jeszcze brakowało ich samych oraz doświadczonych załóg. Nawet paliwo było od jesieni 1944 roku na wagę złota – od czasu gdy Rzesza została w sierpniu odcięta od złóż rumuńskich. Teraz dostawy opierały się w większości na produkcji syntetycznej – z węgla i wodoru. Fabryki paliwa syntetycznego zabezpieczały tylko niewielki ułamek potrzeb, w dodatku alianci szybko zorientowali się jak wąskie gardło niemieckiej gospodarki one stanowią oraz jak podatne są na zniszczenie bombami zapalającymi...

Przerzut planów i surowców do produkcji nowej, przełomowej broni – najbardziej przełomowej ze wszystkich zastosowanych w tej wojnie, był więc prawdziwym wyścigiem ze śmiercią. Wyścigiem, w którym stawką było przetrwanie Trzeciej Rzeszy. Aby go wygrać, obie strony postanowiły połączyć siły również w dziedzinie podmorskiego transportu. Utworzono eskadry specjalnych okrętów podwodnych po obu stronach, które transportowały cenny, ciekły metal wahadłowo. Każda z takich tras liczyła kilkanaście tysięcy kilometrów a jej pokonanie zajmowało za każdym razem około dwa miesiące! Operacja została tak ściśle utajniona, że o jej prawdziwym celu alianci nigdy się nie dowiedzieli, chociaż w ostatnich tygodniach wojny zdawali już sobie sprawę, że głównym „dobrem” dostarczanym do Japonii jest rtęć. Metal, który nigdy wcześniej nie był traktowany jako strategiczny i nie zajmował

istotnego miejsca w żadnym ze znanych projektów zbrojeniowych. Teraz jednak awansował do rangi surowca, z którym wiązano jedyne jeszcze nadzieje na zwycięstwo...

Okręty podwodne wypełnione nim zaczęły kursować do kraju kwitnącej wiśni już latem 1943 roku, jednak ten szlak przerzutowy został rozwinięty na dobre dopiero w drugiej połowie roku następnego, równoległe z rozpoczęciem produkcji „latających żółwi” (pierwszych maszyn próbnych) w samej Rzeszy. Niewiele później niż w Europie, lotnicy amerykańscy zaczęli więc składać raporty o podobnych, niezemskich spotkaniach w powietrzu również znad Japonii.

Zgodnie z przewidywaniami „podwodny szlak” zebrał obfite, śmiertelne żniwo. Wiele jednostek nigdy dotarło do portów przeznaczenia. Ciężki, znacznie cięższy od ołowiu metal pociągnął je na dno Atlantyku i Oceanu Indyjskiego, gdzie spoczywają do dzisiaj. Jednostki japońskie pływały z reguły bezpośrednio do swych baz macierzystych, natomiast U-Booty docierały na ogół tylko do Batawii (dzisiejszej Dżakarty), gdzie rtęć przeladowywano na okręty lub samoloty japońskie...

Ocenia się, że przedmiotem ściśle tajnych umów była dostawa ponad tysiąca ton metalu, jednak faktycznie udało się dostarczyć jedynie około połowę. Dostawy realizowano nie tylko ogromnym kosztem związanym z zaangażowaniem (i traceniem) coraz mniej licznych jednostek podwodnych, paliwa, załóg... ale także kosztem innych deficytowych surowców, które przez to nie zasiliły odizolowanej od świata gospodarki wschodniego sojusznika Hitlera.

Przygotowania do produkcji seryjnej maszyn bojowych tuczyły się równoległe w stosunku do prac badawczych, których głównym celem było teraz ograniczenie „skutków ubocznych”. Miało to służyć nie tylko radykalnemu zmniejszeniu emisji śmiertelnośnego promieniowania, co pozwoliłoby na wykorzystanie obiektów pilotowanych, ale także zwiększyłoby sprawność energetyczną generatora napędowego poprzez znaczne zmniejszenie strat energii. Z tych samych względów zwiększyłaby się ich żywotność, dotychczas ograniczona w wyniku „wypalania” wirujących dysków i elektrod przez bardzo szybko wirującą plazmę, złożoną z ciężkich jonów. Być może właśnie to było przyczyną tak dużego zużycia rtęci – wiadomo, że samo tylko laboratorium badawcze w Rzeszy zużyło w ciągu paru miesięcy pod koniec 1944 r. około 20 ton...

Krypta

Dr Brandt nie spodziewał się telefonu z Osobistego Sztabu Reichsführera SS, zwłaszcza o szóstej rano.

Głos w słuchawce należał do adiutanta Himmlera i zdradzał wyraźne zdenerwowanie. Co w tym Berlinie się dzieje? – zadawał sobie pytanie zaspany Brandt. Adiutant przekazał ustnie „rozkaz specjalny”: naukowiec miał stawić się już następnego dnia wieczorem na stacji kolejowej w miejscowości Paderborn, w Westfalii. Po upewnieniu się, że treść rozkazu została zrozumiana, rozłączył się.

Brandt nie miał więc zbyt wiele czasu na przygotowania, prawdę mówiąc – nie miał go wcale, biorąc pod uwagę coraz gorsze funkcjonowanie, jeszcze do niedawna mogącej być wzorem doskonałości, Kolei Rzeszy. Musiał natychmiast spakować swoje rzeczy i jeszcze przed południem dotrzeć do Salzburga, gdyż tylko stamtąd miał jakieś szanse załapania się na pociąg jadący na zachód. Nie wiedział dokładnie co ma zabrać i na co się przygotować, ale doszedł do wniosku, że jeśli nie otrzymał żadnych wskazówek w tym względzie, to weźmie tylko rzeczy osobiste i próbki najnowszych Humaczeń. Cały czas pracował nad „deszyfrazem” przekazów związanych z maszynami ręciami, ukrytych dotychczas w hermetycznych manuskryptach.

Przygotowując się do wyjazdu próbował uporządkować myśli i zastanawiał się jakiego to rodzaju „niespodziankę” przygotował mu Himmler, a raczej: do czego będzie zamierzał go tym razem użyć... Wojna niewątpliwie nie toczyła się po jego myśli (przekonywały o tym młodego naukowca potężne formacje bombowców, nisko i całkiem bezkarnie przelatujące nad zamkiem – z coraz większą częstotliwością). Był już ósmy stycznia 1945 roku, i najbardziej prawdopodobne było, że wezwanie miało jakiś związek ze zmieniającym się położeniem Rzeszy. Czyżby Himmler miał przygotowany jakiś plan na taką okoliczność? – zastanawiał się naukowiec. Jeśli tak, to jaki? A może coś wydarzyło się w Tybecie?

Jego myśli błądziły w najrozmaitszych kierunkach.

Sama placówka badawcza w Mittersill, podległa Deutsches Ahnenerbe, nie dysponowała żadnym środkiem transportu, jednak Brandtowi udało się zjednać przychylność dowódcy oddziału ochrony SS, który miał dużego terenowego Horcha – na wypadek gdyby nagle trzeba było ewakuować najcenniejsze oryginały manuskryptów. Udało mu się więc dotrzeć do Salzburga przed południem. Musiał wprawdzie spędzić w poczekalni dworca dobre kilka godzin, ale po południu siedział już w wagonie pociągu jadącego do Monachium. Tam przesiadł się do następnego i tym sposobem, w ciągu trzydziestu godzin dotarł w końcu do Paderborn. Podróż byłaby znacznie krótsza, gdyby pociąg nie zatrzymywał się co jakiś czas aby przepuścić pilne transporty wojskowe z posiłkami wysyłanymi na „front ardeński”.

Zmęczony, ale zadowolony z dotarcia do celu, usiadł w poczekalni dworcowej i cieszył się spokojem prowincjonalnego miasta pałac „deficytowego” w trudnych czasach papicrosa. Miał ze sobą tylko małą walizkę.

Zaczynało się ściemniać, gdy przed dworzec zajechał samochód osobowy z rejestracją SS. Wysiadł z niego podoficer w czarnym, skórzanym płaszczu, który sprężystym krokiem wszedł do budynku. Zatrzymał się i spojrzał na trzymaną w ręce fotografię. Wtedy Brandt domyślił się, że szuka właśnie jego. Wstał więc i podszedł. Podoficer natychmiast go rozpoznał i przedstawił się jako funkcjonariusz ochrony „zamku Himmlera” (czy raczej jego centrum okultystycznego) – Wewelsburga. O nic nie pytał, po prostu wykonywał rozkaz. Widocznie doszedł do wniosku Brandt – wypytywanie ważnych gości o szczegóły czy powody przyjazdów nie było w zwyczaju wśród ludzi podległych Himmlerowi. Dotarli do Wewelsburga już po godzinie jazdy. Naukowcowi przydzielono pokój i zakomunikowano, że powinien przygotować się do narady w ciągu godziny.

W wyznaczonym czasie do drzwi zapukał żołnierz w połowym mundurze i zaprowadził gościa do jednego z pomieszczeń podziemnych. To, zwane wśród bywalców „kryptą” było zwykle wykorzystywane do narad „wewnętrznego kręgu” Reichsführera, złożonego z dwunastu najbardziej zaufanych Gruppenführerów. Mało kto w Rzeszy wiedział o takim zaufanym gronie, mającym być analogią kręgu dwunastu rycerzy króla Artura – strażników świętego Graala, a prawie nikt nie znał nazwisk tych generałów, stanowiących coś w rodzaju ściśle tajnego sztabu Himmlera do zadań specjalnych.

Brandt schodził po odrestaurowanych, spiralnych schodach, po których niesło się znajome już głuche echo, aż doszedł do dużej komnaty z okrągłym, dębowym stołem, wyłożonej kamienną mozaiką na kształt stylizowanej swastyki. Za stołem rozpoznał tylko generała Mazuwa i odpowiadającego za okultystyczne sprawy SS pułkownika Weisthora, pozostałe kilka osób było

w cywilu i nie zostali oni przedstawieni. Usiadł przy stole i w ciszy, razem z pozostałymi czekał, gdyż wzrok wszystkich, od czasu do czasu wędrujący w kierunku schodów, zdradzał że na razie celem całego dziwnego zgromadzenia jest czekanie.

Po kilkunastu minutach na ich twarzach pojawiło się pewne napięcie. Włócznie wyczuli zbliżającego się „szefa” – doszedł do wniosku Brandt. Nie mylił się, na schodach po chwili pojawił się sam Heinrich Himmler. Powiódł po zebranych ponurym wzrokiem, zdradzającym wiele nieprzespanych nocy i zajął miejsce na obitym skórą krześle z jego runicznym „znakiem rodowym”.

Przedstawił sytuację w niewesołych kolorach:

– Witam panów i dziękuję za przybycie. Narada nasza ma charakter ściśle tajny, panowie: los Rzeszy jest w naszych rękach! Jak wiecie, sytuacja nasza jest, co tu ukrywać: zła. Kontrofensywa w Ardenach powstrzymała Anglosasów na pewien czas, być może na kilka miesięcy, jednak jej cele operacyjne nie zostały osiągnięte. Nie przecięto ich dróg zaopatrzenia. Również sytuacja wojskowa na wschodzie jest bliska przesilenia. Front tylko pozornie stabilnie utrzymuje się na Wiśle. Wiemy na podstawie meldunków wywiadowczych oraz od dezertersów z Armii Czerwonej, że Sowieci przygotowują na najbliższe dni wielką ofensywę, prawdopodobnie jedną z największych w tej wojnie. Nasza klęska nie jest bynajmniej przesądzona, ale musimy zdawać sobie sprawę z tego, że będzie nam coraz trudniej działać. Musimy przygotować działania zabezpieczające, które pozwolą zachować nasz najcenniejszy potencjał. Wszelkie prace związane ze znanym panom projektem „rozstrzygającym wojnę” są cały czas prowadzone pełną parą – w obiektach, które nie są obecnie zagrożone, ale musimy się przygotować na konieczność ewakuacji tego projektu. W związku z tym do zabezpieczenia została wytypowana nie tylko sama placówka badawcza, ale i szerzej rozumiane zaplecze naukowe, związane z tym wszystkim, co wchodzi w zakres tak zwanej wiedzy tajemnej. Mowa o zamku Mittersill i o kilku innych kluczowych placówkach „Ahnenerbe”. To jest przecież potencjał, który doprowadził nas na trop wiedzy, będącej obecnie jednym z najważniejszych składników potencjału państwa. Będziemy go bowiem w stanie utrzymać dopóty, dopóki utrzymamy zdolność do prowadzenia badań naukowych w tym zakresie. Otrzymacie panowie w związku z tym zadania, które będą realizowane w przypadku bezpośredniego zagrożenia – to znaczy w przypadku wydania przeze mnie rozkazów szczegółowych, operacyjnych. Czy są jakieś pytania?

Drogi Reichsführerze – zabrał głos Brandt – chyba najlepiej byłoby, gdybym otrzymał jakiś zespół do zmikrofilmowania zbiorów. To będzie

najbardziej efektywnym sposobem ich zabezpieczenia. Byłoby również w moim odczuciu wskazane wytypowanie przeze mnie najbardziej doświadczonych tłumaczy, którzy mogliby, w razie konieczności, kontynuować rozpoczętą pracę gdzie indziej...

– Tak rzeczywiście będzie najlepiej – przerwał mu Himmler – ma pan moją zgodę. Koordynacją wszystkich działań będą zajmować się oficerowie wywiadu SD – dwóch cywilów zajmujących miejsca przy stole skinęło głowami – z którymi zarówno pan, jak i Oberführer Weisthor, będziecie uzgadniać wszelkie konkretne przedsięwzięcia. Chciałbym przy tym jeszcze raz podkreślić, że w waszych rękach spoczywają największe tajemnice państwa i od was również zależy ich dalszy los! A co do panów – Himmler zwrócił się w stronę dwóch cywilów – należy dołożyć wszelkich starań, aby akcją zabezpieczającą objąć i inne obiekty o wyjątkowym znaczeniu. Mam tu na myśli „Włócznie Przeznaczenia”, trójkątny kamień tybetański i archiwa „sekcji do spraw weryfikacji wiedzy tajemnej”. Te wszystkie rzeczy znajdują się tutaj, na zamku i panowie jesteście za to odpowiedzialni. Dr Brandt jest natomiast odpowiedzialny za zabezpieczenie materiałów z Mittersill. Operacja jest jednak jedna i w całości będzie nadzorowana przez SD. W swoim czasie połączycie siły, jeśli oczywiście rozwój sytuacji nas do tego zmusi. Aby natomiast wyjaśnić jakiegokolwiek niejasności w tej kwestii, precyzując: celem operacji jest zabezpieczenie dóbr szczególnego znaczenia przed skutkami działań wojennych. Czy wyraziłem się jasno?

– Tak jest, *Herr Reichsführer!* – odpowiedzieli zgodnie wszyscy zebrani.

– Panie Brandt, przygotowuje pan dziesięć skrzyń, do których w razie potrzeby można będzie zapakować najcenniejsze manuskrypty. Ponadto placówka będzie musiała je zmikrofilmować. To samo proszę zrobić z tłumaczeniami, które są na obecnym etapie najcenniejszym zasobem. Otrzyma pan ponadto zalakowaną kopertę ze szczegółowymi rozkazami na wypadek zarządzenia ewakuacji. Tylko wtedy gdy zarządzona zostanie ewakuacja rozkazy będzie pan mógł odczytać. Proszę traktować sprawę jako tajemnicę wagi państwowej i nie ujawniać faktu istnienia koperty nikomu i pod żadnym pozorem. Musimy się jednak liczyć z tym, że zmiany będą następować szybko...

Brandt wyruszył w drogę powrotną już dwa dni po przybyciu. Rozwój wypadków zaskoczył go, pomimo że zdawał sobie sprawę z wagi prac badawczych zainspirowanych jego odkryciami (o innych „inspiracjach” projektu nie konkretnego nie wiedział). Zmuszony został do zorganizowania wywozu „swego” dorobku – ale dokąd, tego jeszcze nie wiedział. Zaskoczony był też faktem, że Himmler za wszelką cenę starał się zachować przygotowania do operacji ewakuacyjnej w tajemnicy, najwyraźniej również przed kierownictwem

państwa. Znowu, po raz drugi w swej karierze w ramach SS miał nieodparte wrażenie, że zostaje wciągnięty w niebezpieczną grę, której reguł może się tylko domyślać. Tym razem obawiał się rozgrywki jakby na większą skalę, bardziej bezwzględnej. W jakimś sensie wypływał na znacznie głębsze wody. Myśl ta przywołała inną – a może chodzi o wywóz najcenniejszych „skarbów” Reichsführera w ogóle poza Europę? Może i o ucieczkę jego samego?

Wizyta w Wewelsburgu wytrąciła go z względnej błogości, niemal górskiej sielanki, jaką wciąż zapewniał Mittersill. Przywróciła go do rzeczywistości – pokazała, że hitlerowskie imperium, którego de facto stał się częścią, znalazło się o krok od katastrofy. Niepokojące myśli nie opuszczały go ani na chwilę i gdy w końcu na początku marca dostał rozkaz rozpieczętowania koperty, z którą się nigdy nie rozstawał, potraktował to do pewnego stopnia jako ukojenie. Teraz nie musiał już przynajmniej bać się tego, co miało się stać – teraz już wiedział.

Rozkaz, napisany na maszynie, na papierze Osobistego Sztabu Reichsführera SS brzmiał:

„Tajna Sprawa Państwowa!

W ciągu trzech dni od momentu otrzymania polecenia otwarcia koperty należy:

1. Zapakować i zabezpieczyć do transportu dziesięć skrzyń z najcenniejszymi w pana ocenie materiałami, w tym ze wszystkimi dotychczas wykonanymi tłumaczeniami.
2. Skrzynie mają być od tego momentu gotowe do transportu przez cały czas, podobnie jak pan.
3. Wszystkich pracowników zwolnić, informując ich o likwidacji placówki. Oddział ochrony SS dostanie rozkaz konwojowania transportu do wyznaczonego punktu.

Heil Hitler!
Heinrich Himmler“

Brandt nie miał innego wyjścia jak tylko zastosować się do tego polecenia. Utracił jakikolwiek wpływ na rozwój sytuacji.

Przełom

W tym samym czasie gdy Brandt czekał na transport ewakuacyjny, gdy Rosjanie forsowali Odrę a Amerykanie przygotowywali się do sforsowania Renu, w badaniach nad urządzeniem napędowym nastąpił zasadniczy przełom. Prace realizowano w wielkim badawczo – produkcyjnym kompleksie podziemnym, we wciąż bezpiecznej – co niewiarygodne – części Rzeszy. Rosjanie bowiem z daleka omijali góry. Okrążyli jedynie Wrocław, który nadal się bronił, jednak parli wyłącznie na zachód.

W podziemnych laboratoriach udało się w końcu wytworzyć takie wiry, które prawie nie powodowały zderzeń ciężkich jonów ze ściankami urządzenia. Znacznie zmniejszyło się zużycie energii, ale przede wszystkim: ograniczono efekty uboczne do poziomu pozwalającego na przebywanie człowieka w odległości kilku metrów od generatora. Nadal pojawiało się promieniowanie neutronowe i rentgenowskie, jednak na skalę o tyle mniejszą, że można było człowieka uchronić przed ich niekorzystnym wpływem. Radość personelu niemieckiego nie miała granic, pomimo świadomości, że postęp ten przyszedł o wiele za późno, aby można było zrobić z niego użytek – aby mógł uratować Trzecią Rzeszę przed nieuchronnym już upadkiem. W tym czasie gotowe były projekty całej serii obiektów latających z niekonwencjonalnym napędem. W fazie wykańczania znajdowała się pełna infrastruktura produkcyjna – na skalę adekwatną do znaczenia projektu. Powstało wielkie podziemne miasto rozciągające się na obszarze kilkunastu kilometrów kwadratowych; dziesiątki kilometrów bieżących tuneli i hal. Miano w nim wytwarzać nie tylko „środki przenoszenia” – obiekty bojowe, ale także zamierzano realizować prace badawcze i produkcyjne związane z bronią chemiczną oraz atomową. Broń chemiczną najnowszej generacji produkowano na północ od Wrocławia w ilości tysiąca ton miesięcznie (aż do radzieckiej ofensywy styczeńowej), natomiast prace związane z bronią jądrową zamierzano najwyraźniej realizować w samym kompleksie podziemnym. Świadczy o tym zwieźnienie tam rudy uranowej w 1944 r. Ocenia się, że całe przedsięwzięcie kosztowało życie około czterdziestu tysięcy ludzi – więźniów pracujących

w podobozach należących głównie do obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. Nie wszystko jednak miało pójść na marne. Infrastruktura produkcyjna musiała zostać pozostawiona (choć najważniejsze i najtajniejsze odcinki zamknięto i dodatkowo zaminowano nierozbrajalnymi minami), jednak rezultaty prac badawczych, dorobek najwybitniejszych umysłów Rzeszy miał zostać jeszcze wykorzystany. Został uznany za jeden z najważniejszych atutów hitlerowskiego państwa.

Kierownictwo tego projektu także otrzymało specjalne rozkazy ewakuacyjne...

Ostatni akt

Lotnisko wojskowe koło Świdnicy nigdy jeszcze nie było sceną lądowania tak wielkiego, sześciosilnikowego samolotu. Nigdy wcześniej żadne lądowanie nie odbywało się też w atmosferze podobnej tajemniczości, ani nie było oglądane przez delegację wysokich oficerów SS...

Wieczorem, w połowie kwietnia 1945 roku po pasie startowym toczył się powoli prototyp największego samolotu transportowego Trzeciej Rzeszy, sześciosilnikowego Junkersa, maszyny wcześniej projektowanej z myślą o lotach transportowych do Japonii. Teraz jednak oficerowie Luftwaffe z miejsca zorientowali się, że niezwykła tajemnica towarzysząca jego lądowaniu miała związek z jakąś misją specjalną, która nie miała z krajem kwitnącej wiśni nic wspólnego. Maszyna, pilotowana przez pilotów „pułku do zadań specjalnych” (KG-200) nosiła bowiem oznaczenia szwedzkich sił powietrznych i pomalowana była na kolor jasno-niebieski.

Natychmiast po dotarciu do hangaru została szczelnie okryta ciemnymi plandekami i w takim stanie pozostawała przez dwa dni. Cały hangar został obstawiony wartami SS. Zwykłych żołnierzy Luftwaffe nie dopuszczano już nawet w jego pobliże.

Po dwóch dniach na lotnisko, wciąż odległe od frontu, dotarł konwój kilku pojazdów ciężarowych i osobowych noszący z daleka widoczne oznaczenia Czerwonego Krzyża. Samochody wjechały do hangaru. Korzystając ze specjalnej pochylni lądowano do wnętrza kadłuba jedną skrzynię za drugą. Niektóre były małe i lekkie, jedna jednak była przysłowiowym „oczkiem w głowie” oficerów specjalnego komanda SS, noszących rombowe naszywki SD na rękawach mundurów. To pod osłoną nocy umieszczano właśnie w ładowni najnowsza wersję generatora napędowego, owoc kilku lat pracy najwybitniejszych umysłów Trzeciej Rzeszy. Łczął w podłużnej skrzyni na boku i zablokował całą centralną część kadłuba. Teraz aby przejść z kabiny na ogon trzeba było długo przeciskać się w wąskiej szparze jaka pozostała między linami mocującymi a ścianką kadłuba. W środku nocy na lotnisko dojechały jeszcze

dwa samochody osobowe SS. Przywiozły dwóch wysokich oficerów, oddelegowanych przez Himmlera do udziału w „locie specjalnym”. Była wśród nich już za życia legendarna postać – generał Hans Kammler, odpowiedzialny od niedawna za wszystkie przelomowe projekty zbrojeniowe Trzeciej Rzeszy. W ostatnich miesiącach jej istnienia Himmlerowi udało się jednak „położyć łapę” na najważniejszym sektorze przemysłu zbrojeniowego...

Nieliczni ludzie z personelu lotniska, którzy o sprawie co nieco wiedzieli, byli zaskoczeni niezwykłym napięciem widocznym na twarzach esesmanów, ich całkowitym milczeniem w kontaktach z lotnikami oraz trudnym do ukrycia pośpiechem. Do zatankowania maszyny wykorzystano wszystkie dostępne rezerwy jednostki, pewną ilość paliwa SS dostarczyło samo. Jeszcze na długo przed nastaniem świtu samochody ciężarowe odjechały w niewiadomym kierunku, usunięto nieprzezroczone plandeki i wielka, sześciosiłnikowa maszyna zaczęła kołować na pas startowy. Żegnał ją, i to w zupełnym milczeniu, tylko pododdział ochrony SS. Majestatyczny kształt wkrótce rozpląnął się w czerni nocy. Po osiągnięciu pułapu przelotowego minął błyskającą tysiącami wybuchów linię frontu i obrał kurs północno-zachodni. Samolot miał w ciągu kilku godzin dotrzeć do wciąż bezpiecznej niemieckiej bazy lotniczej na północy Norwegii.

W tym samym czasie dr Joseph Brandt jechał ciężkim samochodem terenowym SS na północ. Zabrał ze sobą cenny ładunek i dwóch najlepszych tłumaczy. Kierował specjalnie oddelegowany w związku z ewakuacją znany mu już oficer SS o nazwisku... Schulze. Była to wyprawa niezwykle ryzykowna. Front i wojska brytyjsko – amerykańskie znajdowały się w odległości czasami mniejszej niż sto kilometrów, o czym świadczyła obecność w powietrzu licznych myśliwców wroga oraz pozostałości ostrzelanych przez nie transportów wojskowych. Co parę kilometrów na drodze lub na poboczu leżały wraki spalonych ciężarówek. W ciemności – gdyż jazda możliwa była tylko w nocy – łatwo też było przoczyć mniejsze wyrwy w nawierzchni drogi, spowodowane wybuchami pocisków z działek pokładowych samolotów. Kolumny cywilne – uciekinierów spotykano rzadko. Na ogół były to wozы kunne, z prostego powodu niedostępności paliwa dla ludności cywilnej. Braki paliwa były dla transportu Brandta prawdziwym błogosławieństwem. On sam miał wystarczający zapas na dotarcie do północnej granicy Niemiec, natomiast trudno przewidzieć co działałoby się na drogach, gdyby wojsko miało więcej paliwa. Prawdopodobnie lotnictwo alianckie niszczyłoby równie duży procent pojazdów jak teraz i w efekcie drogi byłyby zupełnie nieprzejezdne...

Gdy zaczęło się rozjaśniać Schulze skręcił do jednej z położonych przy drodze wsi, gdzie przenocowano w budynku nieczynnej już, miejscowej szkoły. W szopie ukryto pojazd a na dziedzińcu szkoły rozgrzano się przy ognisku. Wieczorem znowu ruszono w drogę. Tym sposobem w ciągu kilkunastu godzin jazdy pokonano prawie tysiąc kilometrów i dojechano do granicy z okupowaną Danią.

Tam Schulze miał dotrzeć do jednego z nielicznych, funkcjonujących jeszcze niemieckich lotnisk polowych. To jedno wciąż utrzymywano w pełnej gotowości – właśnie w związku z koniecznością zapewnienia kontaktu z licznymi dywizjami znajdującymi się w Norwegii, gdzie jeszcze do niedawna obawiano się drugiego desantu aliantów. Teraz jednak kraj ten miał znaczenie tylko w związku z ewakuacjami i dlatego też do końca utrzymywano z nim komunikację lotniczą – w sytuacji gdy paliwa nie starczało już nawet dla maszyn bojowych.

Formalności na lotnisku były problemem Schulzego. Jego transportem zajęto się w sposób zupełnie inny niż miałoby to miejsce w Rzeszy. Tu wciąż wszystko funkcjonowało doskonale i z podziwu godną sprawnością. Samoloty transportowe odlatywały na północ i wracały stamtąd regularnie. W gotowości utrzymywano nawet eskadrę myśliwskich Focke-Wulfów 190, przeznaczoną do ochrony lotniska. Już po kilku godzinach Brandt, Schulze i skrzynie znajdowały się na pokładzie transportowego Ju-52 kołującego na start. Samolot bez problemu wzniósł się w powietrze i z każdą minutą oddalał się coraz bardziej od Niemiec, kompletnie zdezorganizowanych przez przechodzące przez ich terytorium linie frontów.

Samolot wylądował w tej samej bazie lotniczej, do której poprzedniego dnia dotarł Junkers ze Świdnicy. Ładunek został błyskawicznie umieszczony w potężnych schronach przeciwlotniczych wykutych w skalistych wzgórzach przylegających do bazy. Brandt po raz pierwszy od wielu dni mógł cieszyć się poczuciem względnego bezpieczeństwa. Mógł zjeść normalny obiad i wypaść się w ogrzewanym pomieszczeniu. Gdy doszedł do siebie mógł obserwować jedno z najbardziej ruchliwych lotnisk niemieckich – i zarazem jedno z najbardziej od Niemiec oddalonych! Widział innych „podróżnych” i dziwne ładunki im towarzyszące. Widział też potężne zapasy paliwa i żywności zgromadzone w podziemnych halach. Tony żywności w skrzyniach noszących oznaczenia Kriegsmarine... Słyszał rozmowy naukowców z różnych dziedzin, inżynierów, agentów służb wywiadowczych – zakwaterowanych w sąsiednich pomieszczeniach. Im więcej widział tym bardziej oczywiste było dla niego, że Norwegia nie jest bynajmniej celem przedsięwzięć ewakuacyjnych. Była zaledwie trampuliną do dalekiego skoku.

Świadczyły o tym okręty podwodne wpływające pod osłoną nocy do jednego z długich, pobliskich fiordów. Brandt ujrzał je podczas jednego ze spacerów. W osłoniętej zatoce rozpoznał nawet prawdziwy szczyt ówczesnej techniki, wyprzedzający dotychczasowy stan posiadania niemieckiej floty podwodnej o całą epokę: osnuty mgłą tajemnicy smukły okręt podwodny typu XXI. Widział sześciosilnikowego, „szwedzkiego“ Junkersa tankowanego w nocy do ostatniego, jak podsłuchał, lotu. Powietrzny gigant długo rozpędzał się po pasie aż, lecąc nisko, zniknął gdzieś nad Atlantykiem.

Z jakiegoś powodu Brandt przeczuwał, że coś go łączy z pomalowaną na niebieski kolor maszyną. Miał zupełnie irracjonalne wrażenie, że ją jeszcze kiedyś zobaczy.

Fikcja i fakty

Książka ta jest powieścią i jako taka przedstawia oczywiście pewne wyobrażenia. Zostało ono jednak oparte w większości na rzeczywistych wydarzeniach, prawdziwych mrocznych epizodach z historii Trzeciej Rzeszy. Poniżej zamieszczono w związku z tym krótki „opis“ czy „suplement historyczny“, w którym przypomniano podstawowe wątki i sprecyzowano na ile były one fikcyjne a na ile prawdziwe.

Zacznijmy więc od początku...

Postać dr Josepha Brandta została wymyślona i jest jakby połączeniem cech kilku różnych ludzi, badaczy-tybetologów jacy stali za opisanymi przedsięwzięciami. Inni ich bohaterowie są natomiast autentyczni, prawdziwe są też ich nazwiska: m.in. Schäfera, Brandta, Hedina...

Sama kwestia zainteresowania Himmlera Tybetem, wręcz jego obsesji na tym punkcie jest natomiast jak najbardziej rzeczywista. Jak podano, zajmował się tym specjalny wydział w ramach Deutsches Ahnenerbe, paranaukowej organizacji SS, z której później wydzielono specjalny instytut zajmujący się Tybetem i Azją wschodnią. W tym zakresie zgodność z faktami jest dosyć duża, dotyczy to też opisanego domu w Monachium, gdzie miały miejsce mistyczne ceremonie. Faktycznie istniało także Towarzystwo Thule, grupujące wiele osób z najbliższego otoczenia Hitlera, w tym np. Hessa i Haushofera.

Całkowicie fikcyjny jest natomiast „Kamień Hitlera“ i wszystko co się z nim wiąże.

Przedstawiony w książce mistycyzm i okultyzm szefa SS nie został za to wcale przesadzony. Świadczy o tym i przypadek Wewelsburga, mającego po wojnie stać się centrum duchowym narodowosocjalistycznej pseudoreligii, ale nawet wiara Himmlera w „teorię lodową“, reinkarnację itp. Faktycznie zawsze nosił on ze sobą Bhadavad Ghitę – świętą księgę hinduską. Jego mistycyzm przejawiał się m.in. w finansowaniu tajemniczych wypraw, mających poszukiwać mistycznych przekazów, w tym w szczególności do dziś tajemniczej ekspedycji do Tybetu z 1939 r. Była ona oficjalną ekspedycją SS, w czasie której naprawdę afiszowano się z nazistowskimi proporcjami... Opisy

poszczególnych wypraw zostały jednak w książce nieco pomieszane, a te dotyczące docierania do „skarbnic pradawnej wiedzy” – wymyślone, gdyż w rzeczywistości nie jest jasne skąd konkretnie Niemcy pozyskali tybetańskie manuskrypty. Ich przywiezienie jest jednak prawdą, podobnie jak to, że główną „zdobyczą” był Kangschur.

Sprawa „grobu Chrystusa”: według muzułmanów, mieszkańców Pakistanu, w Srinagarze naprawdę znajduje się ciało Odkupiciela. Nic jednak nie wskazuje, aby SS w istocie próbowało do grobowca dotrzeć i wykorzystać to do własnych celów. Nie istniał też opisany w książce szpieg Watykanu. Cytat „słów Chrystusa” pochodzący z archiwum w Srinagarze jest natomiast autentyczny.

„Oś świata” przedstawiona jest w książce niejako w dwóch wcieleniach: jako oś geograficzna prowadząca z Azji aż do Wyspy Wielkanocnej oraz jako druga nazwa tybetańskiej góry Kalias, mającej tą oś symbolizować. Wszystkie szczegóły dotyczące obu spraw są prawdziwe – z wyjątkiem zaangażowania SS. To nie jest bowiem całkiem jasne. Prawdą jest, że Niemców – a w szczególności dr Begera i prof. Hedina interesowały pozostałości dawnej, wymarłej rasy białych ludzi na terenie Azji – a to przecież jest częścią „osi geograficznej”. Nie wiadomo jedynie czy i ewentualnie w jakim stopniu traktowali oni to jako część łańcucha dowodów ciągnącego się aż w poprzek Pacyfiku, jako część większego śladu pozostawionego przez zaginiony lud... Niesamowite odkrycia na chińskiej pustyni są całkowicie zgodne z prawdą, prawdziwa jest nawet enigmatyczna wypowiedź Hedina na temat zaginionej cywilizacji na tym terenie (istotnie budzącej skojarzenia z legendarną Aghartą czy Szambalą). Nie jest jednak pewne czy ekipa Schäfera odwiedziła w opisanym okresie Hedina w Sinkiangu...

Sprawa geograficznej „osi świata” została szczegółowo opisana w książce „Oś świata”, dostępnej w sprzedaży wysyłkowej wydawnictwa.

Wyrocznia – nie jest pewne, czy rozmowa z Schäferem w Świątyni Wyroczni dotyczyła miejsc przechowywania starych księgozbiorów, jednak poza tym wszystko zgadza się ze stanem faktycznym, włącznie z wiernie zacytowanymi słowami przepowiedni dotyczącej upadku Tybetu i wybuchu wielkiej wojny. Schäfer naprawdę ośmielił się wziąć na pewien czas złoty hełm wyroczni (w czasie transu?) i go zważyć!

Jest też niezaprzeczalnym i dotychczas niezupełnie wyjaśnionym faktem, że służby SS były od końca lat trzydziestych niezwykle aktywne na tym terenie i byłoby dosyć dziwne, gdyby nie miały one swego udziału w zaskakujących sukcesach ostatniej wyprawy SS. Wzmianka o tym, że żyjącego do dzisiaj Dalajlamę (teraz na wygnaniu) uczył i wychowywał w czasie wojny przysłany specjalnie podoficer SS odpowiada prawdzie!

Incydent z „myśliwym” na pograniczu Bhutanu jest fikcyjny, podobnie jak opis wizyty w klasztorze Sanye – ale tylko dlatego, że nie wiadomo na pewno skąd pochodziły poszczególne księgozbiory zabrane przez Niemców.

Opisano, że po powrocie ekspedycji do Rzeszy, na krótko przed wybuchem wojny, na jej członków spływały niezwykle laury, wyrazy uznania nawet ze strony samego Hitlera. To prawda, Sven Hedin również naprawdę został przez Hitlera odznaczony jednym z najwyższych orderów Rzeszy – „za wybitne osiągnięcia”. Prawdą jest też stworzenie specjalnej placówki badawczej na zamku Mittersill. Prowadziła ona oficjalnie „studia językoznawcze” prawie aż do końca wojny, nie wiadomo jednak na ile treść tłumaczonych manuskryptów miała wpływ na decyzje związane z „projektem rozstrzygającym wojnę”. Sam projekt jednak istniał, jest to poparte dokumentami.

Wszystkie cytaty ze starożytnych pism, zaprezentowane w książce – związane z ręką, są prawdziwe. Prawdziwy jest nawet opis rysunku obiektu latającego, stanowiącego ilustrację jednej z kart Kangschuru, na którym „właz” przypomina przesłonę aparatu fotograficznego (nota bene pokazał to Däniken, który jakimś sposobem uzyskał dostęp do przywiezionych w 1939 r. manuskryptów).

Prawdziwe w szczegółach są opisy prac Gerlacha, Thirringa i Kapicy z lat międzywojennych, podobnie jak „wizjonerski” charakter teorii Thirringa. Jej weryfikacją zajmuje się obecnie (dopiero teraz!) amerykańska agencja kosmiczna NASA, która wysłała w kosmos specjalnego satelitę badawczego, na pokładzie którego znajduje się odpowiednia, bardzo precyzyjna aparatura. Projekt ten kosztował podatników amerykańskich kilkaset milionów dolarów, co świadczy o wadze teorii i związanych z nią nadziejach na przełom. Sądzi się, że w ciągu kilku lat można będzie na podstawie tych badań stworzyć zmodyfikowaną wersję teorii grawitacji...

Opisany pierwszy eksperyment z generatorem, w Berlinie, luźno jedynie nawiązuje do faktycznych wydarzeń. Jego wpływ był rzeczywiście zabójczy dla ludzi i miał podobny charakter, jednak eksperyment przeprowadzono w tajemnicy – bez żadnych „gości” i prawdopodobnie nie w Berlinie. Wiadomo za to z kolei, że narada na której przydzielono projektowi status „rozstrzygającego wojnę” rzeczywiście się odbyła w podanym czasie, co potwierdzają dokumenty. To samo dotyczy udziału w niej wymienionych w książce osób i późniejszego raportu prof. Gerlacha dla Bormanna, w którym donosił on, że prace nad projektem są w stadium zaawansowanym. Szerszy opis tych wydarzeń, oparty na dostępnych materiałach źródłowych, został zawarty w książce „Prawda o Wunderwaffe”.

Postać różokrzyżowca – dr Farella jest wymyślona. Była jedynie pretekstem do przedstawienia autentycznego przekazu Różokrzyżowców związanego z ręką. Chodzi o symbol nazwany w książce „herbem”.

Eksperyment z generatorem „docelowym” również luźno nawiązuje do rzeczywistości, gdyż nie wiadomo gdzie dokładnie i kiedy został po raz pierwszy przeprowadzony. Znane są tylko szczegóły związane z końcowym etapem prac, w byłej kopalni.

O planach uderzenia bronią kierowaną (według wszelkiego prawdopodobieństwa bronią masowego rażenia) istotnie świadczyły m.in. aresztowania, w 1944 r w USA, agentów niemieckich wyposażonych w nadajniki naprowadzania dalekiego zasięgu.

Incydent opisany w rozdziale „Spotkanie w przestworzach”, dotyczący wydarzeń rozgrywających się nad Hamburgiem, jest w całości zgodny ze stanem faktycznym – włącznie z datą i faktem późniejszego opisanego go przez aliancką prasę. Był jednym z wielu podobnych – również opisanych szerzej w książce „Prawda o Wunderwaffe”. Ten dziwny aspekt wojny jest wbrew pozorom bardzo dobrze udokumentowany. Fikcyjne są tylko pojawiające się w rozdziale „Spotkanie w przestworzach” nazwiska. W wspomnianej książce „Prawda o Wunderwaffe” szeroko opisano również zakrojoną na szeroką skalę operację Kriegsmarine związaną z transportem ręki do Japonii – z odniesieniami do konkretnych źródeł i dokumentów, podobnie jak w przypadku opisów innych działań.

Etap związany z przygotowywanymi ewakuacjami, będący tematem ostatniego rozdziału tej powieści w ogólnych zarysach odpowiada prawdzie. Nie ma jednak pewności, czy teksty tłumaczeń z zamku Mittersill także były ewakuowane. Lot sześciosilnikowego Junkersa do Norwegii i dalej odbył się jednak naprawdę, chociaż – jak podano – w większości przypadków podstawowym środkiem transportu zamorskiego były okręty podwodne...



Ekspedycja SS w Tybecie – przemarsz karawany.